



# Ostrze i krew

Bogusław Kołodziej

**Bogusław Kołodziej**

**Ostrze i krew**

Jest poranek, 20 lutego 2015 roku. Jestem trochę znudzony, nie mam żadnego zajęcia, a pogoda jest brzydka, gdyż za oknami pada śnieg z deszczem. Typowa środkowoeuropejska plucha. Chociaż jeszcze parę dni temu było całkiem ładnie. Ale nie będę się już o tym rozpisywał, gdyż zła aura nie jest jedyną rzeczą niewygodną dla mnie. Czuję się bardzo dziwnie, choć zapewniam was, że jakiś czas temu przeżyłem niesamowitą przygodę, a świadomość, że nic takiego mnie już nie spotka, jest przygnębiająca. Poza tym wszyscy siedzą w domach, a ja jestem jedynym członkiem rodziny, który czuje potrzebę wychodzenia na zewnątrz. Nie ma zbyt wielu miejsc, które mógłbym odwiedzić, mimo iż wiem, jak trafić na piechotę z Poznania do Wrocławia, z Warszawy do Krakowa i z Zielonej Góry do Berlina. Uwielbiam podróżować, szczególnie rowerem albo motocyklem. Mimo złej pogody zawsze idę za miasto i robię zakupy. Gdy wracam, zawsze wita mnie pustka w mieszkaniu, nieco wypełniona jedynie przez szafę, w której niegdyś znajdowało się więcej ubrań, niż w tej chwili możecie sobie wyobrazić. Znam wielu ludzi, których świat, jego monotonia i przewidywalność dobija. Oczywiście istnieją ludzie „mądrzy i roztropni”, którzy uważają, że tak ma być i na to nic nie można poradzić. W końcu według nich żyjemy po to, żeby umierać, i umieramy po to, żeby inni mogli żyć, a ich największą przygodą w życiu jest wbijanie tyłka w fotel. I ci, którzy próbują nam to wmówić, nic nie wiedzą o naszym świecie, mimo iż myślą, że przed ludźmi XXI wieku nie ma on tajemnic. To samo mówił niejaki pan Korytkowski, do którego jeszcze rok temu zwracałem się „Tomasz”.

*Beniamin Modrzejewski*

## I

Beniamin, jednego z tych zwykłych jesiennych dni, kiedy to świat stał w miejscu, a Polska budziła się do życia jeszcze po dniu wczorajszym, pełnym coraz to gorszych wiadomości, przemierzał wiele wrocławskich ulic w drodze do domu. Wracał wtedy z jednej ze swoich pieszych wędrówek po polskich wsiach. Chodząc tam, rozprawiał się ze swoimi myślami. Głównie dotyczyły one dawnych dni Europy, tych pradawnych dziejów nieskażonych złem i niebezpieczeństwem współczesności. Rozwahał o prastarych zwyczajach, mrocznych, lecz pięknych zagadkach historii, a następnie układał rozprawki dotyczące wojen, nacji, epickich poematów i opowieści heroicznych, baśni, czy w końcu sławnych zwycięstw jego wielkiego narodu – Polaków.

Wróciwszy do swojego rodzinnego miasta – Wrocławia, w okolice własnego domu, spotkał dawnych znajomych. Kim byli? Musiałbym wam przybliżyć cały życiorys Beniamina, aby po prostu ich przedstawić. W każdym razie siedzieli na ławce między blokami, coś pili, prawdopodobnie słabe wino. Przebywało tam dokładnie czterech chłopaków i jedna dziewczyna. Byli to znajomi Beniamina, z którymi zadawał się już od czasów szkolnych. Jednym z nich był Tomasz – jego najlepszy kumpel. Choć, jak widać, nasz bohater nie był jedynym druhem Tomasza. Ten zawsze miał przy sobie wiele adoratek i ogromną liczbę towarzyszy. Czy sam Beniamin kiedyś ich lubił, lub czy chociaż ich akceptował? Nie. Nie byli oni dla niego kimś więcej niż niedojrzałymi ludźmi, młodzikami z dowodami osobistymi. Beniamin miał oficjalnie dziewiętnaście lat, lecz uwierzcie mi, był od nich znacznie dojrzałszy. W ogóle dojrzałszy niż jego przeciętny rówieśnik. Przyczyny tego zjawiska miał niedługo poznać właśnie Tomasz Korytkowski.

Beniamin próbował nie patrzeć na to towarzystwo, lecz oto odezwał się jeden z nich:

– Ej, ty!

– Kto?

– No ty.

– Ach, więc o mnie mowa. Słuchaj, młody, nie takim tonem.

– Ale ty jesteś Beniamin, znajomy Tomka. Chodź do nas! Wypij, zapal, poczujesz się lepiej. Cały dzień chodzisz i nic nie robisz, a mógłbyś czasem przyjść do nas i się zabawić.

Te słowa brzmiały dość głupio, jakby mówiło je dziecko, chcące, aby ktoś się dołączył do jego zabawy, przekonując o rzekomej atrakcyjności jakiegoś zajęcia. Oczywiście ten chłopak wiedział, że Beniamin odmówi i nie będzie chciał dołączyć do owego kręgu, a jedynie miał zamiar w ten sposób go rozdrażnić.

– Tak, tak... zaczął odpowiadać Beniamin. – Chcesz się zabawić, ale ja mam to gdzieś, bo jesteś nic niewartym debilem, nieróżniącym się od nędznego gimnazjalisty, i czujesz się, jakbyś był najważniejszy na świecie! Ale powiem ci coś, czego być może nikt nigdy ci nie powie. Ja jeszcze mam plany na kolejne lata, które z tobą szybko i przyjemnie mi na pewno nie upłyną. Więc o zabawianiu się mi nie mów. Dodam jeszcze, że nikt z was nie jest tak genialny i zabawny, jak wam się wydaje, a jesteście tylko tępymi

młodzikami. Rozumiecie to? I mówiąc to, jestem waszym najlepszym przyjacielem. Dlatego też mnie wysłuchajcie, jeśli nie chcecie źle skończyć.

– Nie no, nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała jedna dziewczyna, siedząca koło nastolatka, który rozpoczął tę rozmowę.

– No właśnie, więc jak nie chcesz nawet porozmawiać, a mówisz do nas w ten sposób, to idź do tego swojego domku, wsadzać nos w książki.

– Zamkniesz się wreszcie? Słuchaj, załatwię to po bożemu, i pamiętaj: po tym, co zrobię, nie jestem już dla ciebie kolesiem do zabawy. Umowa stoi?

– Ale o co ci chodzi? – zapytał, po czym wstał z ławki.

Wtedy Benjamin napiął mięśnie, zrobił krok do przodu, a potem rzucił się na owego maślaka, tak jakby miał go zaraz zabić. Zapamiętał na zawsze ten stan duszy, kiedy nie obchodzi cię nic oprócz tego, żeby patrzeć na wystraszoną twarz osoby, która jeszcze przed minutą uważała cię za totalnego debila.

– Jak masz jakiś problem, powiedz mi to teraz – odezwał się jeszcze raz ów młody mężczyzna.

– Tak, mam.

Wtedy Benjamin rzucił się na chłopaka. Ten upadł. Napastnik zaczął walić go po twarzy, tak że tamten zaczął krwawić.

– Co ty robisz?!

– Może teraz dasz mi już spokój, no, ale w końcu czasem nad złością trzeba niestety panować. Ja tego w zwyczaju nie mam. Im mniej takich jak ty, tym lepiej.

– No to teraz dowaliłeś.

– Pójdźmy na ugodę: ty dajesz mi spokój, a ja daję go tobie. Ja trzymam się z dala od twoich spraw, a ty od moich.

– Niech będzie. Tylko wiesz, co spotyka takich jak ty?

– Śmierć w późnym wieku i święty spokój? No, faktycznie, takiej przyszłości nikomu bym nie życzył – powiedział z ironią.

– Nie za bardzo o to mi chodziło...

Wtedy Tomasz oddalił się z Beniaminem na kilkanaście metrów, pożegnał się z towarzyszami i powiedział, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Ty właściwie cały czas sprawiasz wrażenie takiego spokojnego i niewinnego, jednak drzemie w tobie bestia, która tylko czeka, aby ją rozdrażnić.

– A tak właściwie po co mi to podsumowujesz, skoro i tak nikt tego nie weźmie pod uwagę?

– Nie podsumowuję, tylko chcę dać ci do zrozumienia, przyjacielu, że nie mogę wyjść z podziwu, że taki człowiek jak ty postanowił pewnego dnia tak się w sobie zamknąć, i jeszcze się obrazić na najlepszego druha.

– Masz na myśli siebie?

– No, przepraszam, ale ty zbyt wielu przyjaciół raczej nie miałeś.

– Nie, bo nie chciałem.

– A czy mógłbym pójść z tobą do domu? Porozmawiamy jak starzy, dobrzy kumple.

– Niech będzie... ale nie na długo. Mam nadzieję, że ty nie jesteś tacy jak oni.

– Oczywiście.

Podczas marszu do domu trochę rozmawiali. Beniamin poruszył między innymi temat współrozmówcy i jego znajomych:

– Irytuje mnie, że jesteś taki jak oni. Trzymasz z nimi, a przecież to banda prostaków.

– Jak już mówiłeś, lepiej, żebyśmy w swoje sprawy się nie wtrącali, ale jeśli już mamy ich tak specjalnie dla ciebie omijać, to chciałbym cię zapytać o twój wygląd. Masz dziewiętnaście lat, a wyglądasz co najmniej na trzydzieści. Podobnie z twoim głosem. Jak to jest? To od alkoholu, tytoniu, czy czegoś? To mnie bardzo niepokoi – podzielił się swoimi spostrzeżeniami Tomasz, a następnie przez dłuższą chwilę oczekiwał odpowiedzi.

– Nie, nie. To nie ma żadnego związku. Po prostu tak mam z wyglądem, a co do mojego głosu, to jak ma się chociaż trochę przypominać męzczyznę, to nie można mieć głosu jak mysz, która wpadła w pułapkę. Ale dlaczego tak cię to interesuje?

– Nie wiem, ale to jest po prostu jest dziwne.

– Ach... nieważne, po prostu o tym nie gadajmy.

Po drodze Tomasz przyglądał się mu wnikliwie. Być może to dzięki jego oświeconemu umysłowi podejrzliwość dawała się tutaj we znaki. Uważał, że świat dla niego nie powinien mieć żadnych tajemnic. Chociaż wcale nie dawał po sobie poznać, że już coś podejrzewa, ale niestety lepiej jest czasami mówić to, co się przeczuwa.

Dom Beniamina miał bardzo sympatyczny wygląd. Wydawał się duży, lecz w rzeczywistości był niewiele większy od przeciętnego mieszkania. Był otoczony miejscem na ogród, ale Beniamin nic tam nie posadził. Gdy weszli, Tomasz zobaczył skromne pielesze swojego druha. Zastanawiał się, skąd on wziął pieniądze na sam dom, nawet nie uwzględniając kosztów reszty rzeczy. Tomasz nic nie wiedział o jego pracy, lecz prawda była taka, że rodzice Beniamina byli niezwykle bogaci i nie zostawili syna z niczym, gdy ten postanowił się wyprowadzić. Czy się uniezależnił? Można tak powiedzieć, gdyż był świadom, że jest zdany wyłącznie na własny rozsądek. Musiał zdawać sobie sprawę, że w tak młodym wieku nie może szastać pieniędzmi. Wiedział, że musi pracować w miarę ciężko i być sumienny oraz oszczędny.

Gdy weszli, Beniamin zamknął drzwi i powiedział do gościa, iż może się rozejrzeć. Przeszli się po domu i wrócili do przebieralni, aby ściągnąć z siebie odzież, którą nosili w te chłodne, jesienne dni. Beniamin rzekł do przyjaciela:

– Dobra, teraz ściągnij tę kurtkę i...

Gdy nagle Tomasz zaczął sięgać do jednej z szaf, wyciągnął spokojnie rękę i powiedział, żeby tego nie otwierał.

– Dlaczego?

– Bo tak. Trzymam tam prywatne... rzeczy i nie chcę, żebyś tam zaglądał. Powieś kurtkę w korytarzu.

Teraz właśnie sytuacja zaczęła się robić niezręczna dla Beniamina, a przerażająca dla Tomasza. Mimo okropnego zdziwienia Tomasz dopytywał się dalej:

– Dlaczego nie chcesz, żebym tam nawet spojrział?

– Ech... Dobra, otwórz, ale nie licz na nic zaskakującego – powiedział, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli Tomasz chce faktycznie tylko spojrzeć, nie ma ku temu

żadnych przeszkód.

Pociągając za drzwi, czuł, jakby zaraz miał zobaczyć kosmiczny statek. I choć nie zobaczył nic aż tak fascynującego, ani nawet przykuwającego jego uwagę, to jeszcze bardziej wciągnął się w tę zagadkę.

– Prywatne rzeczy, tak? Wiesz co, ty po prostu jesteś wariatem.

– Ale o co ci teraz chodzi? To, że nic tam nie ma, powinno wyłącznie ciebie uspokoić, więc dlaczego się tak awanturujesz?

– Ponieważ nic mnie nie uspokoiło. Wchodzę tam...

– Nie, czekaj!

– O co ci znowu chodzi. Sam przyznałeś, że tam nic nie ma.

– To skoro też tak uważasz, to dlaczego chcesz tam wchodzić?

– Może dlatego, że zachowujesz się jak wariat. A twoja szafa? Dlaczego jest taka głęboka? Nie widać dna, mimo że tuż za nią jest ściana! Może coś tam dalej się znajduje. Coś takiego, czego nie chciałbyś pokazać nie tylko mnie – mówił, jeszcze bardziej denerwując Beniamina swoją wścibskością.

– Zamknij się. Gadasz głupoty. To ty zachowujesz się jak wariat! – mówił, po czym zapadła głucha cisza, a on się zastanawiał. Następnie odezwał się ponownie: – Dobra. Możesz wejść... ale chcę, żebyś wszedł tam razem ze mną.

– Jasne, tylko chcę dojść do końca.

– To wchodzimy.

– Ale...

– Nie gadaj, tylko wchodź!

Weszli równym krokiem, choć ich wędrówka nie trwała długo.

Obudzili się w jakimś lochu, cali nadzy. Cały brud na skórze, paprochy, a nawet kolczyk, który miał w uchu Tomasz, zniknęły z ich ciał. Natomiast obok nich, na jednym z regałów znajdujących się w owym pomieszczeniu, leżały dwie zbroje. Jedna z nich była cała zrobiona z kolczugi i pokryta jedwabną koszulką z trzema czarnymi lwami, oddzielonymi poziomo grubymi, czarnymi liniami. Koszula była wykonana w bardzo starym stylu, zdawała się gruba, miała kolor szaroniebieski. Druga zasłonięta była połyskującą, zieloną szatą, z krótkim materiałem przypominającym spódnicę, sięgającym do góry kolan. Zbroja była wielką płytą szlachetnego metalu. Obydwaj ubrali się w te pancerze. Właściwie tylko Beniamin wyglądał na wiedzącego, co robi. Tomasz dalej był w szoku, a tylko naśladował czyny druha. Założył, podobnie jak on, hełm, nagolenniki i naramienniki. Oczywiście obok nich leżała broń, którą Beniamin wziął do rąk bez wahania. Tomasz ociekał potem. Ściana wsunęła się do góry. Obydwaj wyszli na jakąś arenę. Wtedy Beniamin zaczął krzyczeć do ludzi zebranych w tamtym dziwnym miejscu, jakby wiedział o wszystkim, co miało się wydarzyć. Trzymał w rękach dwa średniej długości miecze, mówiąc nagle w ten oto sposób:

– Dzisiaj pokonam na tej arenie człowieka, który nigdy mnie nie szanował, choć próbował mnie zwodzić swoimi marnymi słowami, i pokażę mu, że jednak jestem wart więcej, niż mu się zdawało, a na dodatek uświadomię mu, że jestem dziesięć razy mocniejszy od niego.

Wtedy obrócił się w stronę tego, o którym mówił, a następnie, napinając mięśnie



i rzuciwszy bronią, przebił mu udo mieczem w nieuzbrojonym miejscu. Wtedy Tomasz upadł się na ziemię i zaczął wołać o pomoc. On podszedł do niego, uniósł swoją broń i kazał mu wstać. (Wiadomo było, że Benjamin zna to miejsce i kiedyś tutaj był, wnioskując po jego pewności siebie). Wtedy z niesamowitą furią roztrzaskał mu tarczę i ugodził go w rękę. Potem trzymał ostrze przy jego szyi, ale po chwili rzucił miecz w stronę widowni. Oręż wbił się sztywno w grubą drewnianą ścianę, oddzielającą arenę od trybun, tuż pod stanowiskiem – jak można było wywnioskować po ubiorze i miejscu na trybunach – króla. Był to wysoki mężczyzna z siwą brodą, w czerwonym aksamitnym ubraniu i w klasycznie wyglądającej koronie, takiej jak na portrecie na przykład Bolesława Chrobrego autorstwa Jana Matejki. Ogólnie całe otoczenie przypominało to z różnych wizji średniowiecza.

Widać było, że dwór zebrał się tutaj, aby zobaczyć zmagania rycerzy podczas jakiegoś uroczystego dnia. Benjamin uznał, że nie mógł to być przypadek, przez co uczynił coś takiego. Król jednak sprzeciwił się takiemu zachowaniu i oznajmił:

– Dość! Na Heniqueza, co się tutaj wyrabia?

– Nic. Chciałbym, aby ten człowiek wstąpił do służby twojemu królestwu i aby trafił do mojego wojska, walcząc i umierając za wolność naszego kraju. Aby przyjął godną karę. Proszę cię, abys zgodził się na to, królu Henryku! – mówił Benjamin tonem unizonego sługi, którym jako lord miasta Vareal (może to się wydawać dziwne, lecz historia Beniamina zostanie wyjaśniona przez niego samego, gdy opowie ją Tomaszowi) był wobec króla Henryka.

Król próbował odpowiedzieć wściekłemu mężczyźnie:

– Ale... Czy masz zgo... – mówił, po czym przerwał mu wzburzony Benjamin:

– Żadnej zgody. To więzień. Mój więzień, z którym mogę zrobić, co chcę, a póki mam stanowisko lorda Enicenu, które jest ważne ze względu na to, iż ty mnie nim mianowałeś, panie, i do tego zapotrzebowanie na piechotę, chcę, aby ten człowiek poznał smak chwały i prawdziwego celu naszego życia, którym jest służba ojczyźnie i swoim rodakom – mówił patetycznie Benjamin, nie zdając sobie sprawy, że ten styl zażenował Tomasza. Król za to zwrócił się, zgadzając się ze swoim wasalem.

– Dobrze. Niech tak będzie.

Król kazał opuścić widownię, a potem podszedł do naszego bohatera i zaczął mu mówić o swoich planach. Obok nich kroczył ze zranioną ręką przyjaciel Beniamina.

– Za jakiś czas wypowiemy wojnę Walkii, atakując miasto Bänqlue i plądrując tamtejszą wioskę. Chciałbym, żebyś ty poprowadził pierwszy atak.

– To dla mnie wielki zaszczyt.

– Ej, zaraz! – wtrącił się Tomasz. – Ale o co tu chodzi? Ja nawet nie wiem, gdzie jestem. Co robiły tu te pajace w pizamach i jak się tu znalazłem... Przecież... Aaa... – powiedział, zaciskając zęby z bólu, który ponownie go naszedł.

– Przecież i tak się nie dowiesz.

– Ale to nie ma sensu.

– Życie nie ma sensu, a jeżeli chcesz się w nim ogarnąć, i tak dojdiesz do tego samego.

Ich rozmowę przerwał król.



– Pójdź z nim do koszar, tam mu wszystko wyjaśnisz. A co do ataku na to miasto, to pomoże ci lord Farqäl. Zaczniecie od rozbicia obozu z dwóch stron zamku. Poczekacie, aż lord zacznie się wami interesować, potem powiecie mu, o co wam chodzi. Jeżeli wybuchnie panika, poprowadź łuczników do ataku, a potem zobaczymy, jak oblężenie się potoczy.

– Dobrze, wszystko mu przekażę – mówił do króla. – A teraz chodź ze mną, wszystko ci wyjaśnię – zwrócił się do Tomasza.

Gdy Benjamin doszedł do koszar, podtrzymując rannego na ramieniu, czekała tam na niego wielka armia, gotowa do wymarszu, jakby mieli ruszyć za minutę.

– Elrich talaranabia! – krzyknął Falach w pradawnym języku Enicenii.

– Panie, jesteśmy gotowi na rozkazy.

– A więc dobrze. Przekażcie lordowi Faräqalowi, że król każe mu zebrać armię do piątego dnia tygodnia, aby zdążyć przed siódmym. Ma być gotowa do ataku i zebrać się w dolinie Relin. Tam rozbijemy obóz.

– Tak, panie.

Obaj weszli, będąc w całkowitym porządku i opanowaniu, krok po kroku ze względu na krwawiącą do tej pory ranę.

Benjamin rozglądał się dookoła, jakby sprawdzał, czy dookoła nie kręci się nikt podejrzany. Ludzie nieposiadający wiedzy, którą chciał przekazać Filipowi, nie mogliby o niczym się dowiedzieć. W końcu rozmowa się rozpoczęła.

– A więc to było tak – zaczął Benjamin. – Trzy lata temu wprowadziłem się do naszej dzielnicy. Chciałem znaleźć mały, jednoosobowy dom niedaleko centrum. Na początku było fajnie, trochę przemeblowałem, udekorowałem. Do czasu gdy znalazłem to.

I obrócił dłonie, wskazując dookoła. Po chwili wahania Tomasz zapytał:

– Co?

– To, co cię otacza, to, czym, oddychasz, to, co masz na sobie. – Kucnął, oglądając się w jedną stronę. – Okazało się, że w tym miejscu, w którym stał mój dom, jest coś w rodzaju portalu. Oczywiście ty mi nie uwierzysz, bo nie chcesz uwierzyć nawet w to, co cię otacza, i w to, co widzisz. Z całego wszechświata był akurat pod moim nosem. Gdy się o tym dowiedziałem, postawiłem w to miejsce szafę, w której, jak się zarzekałem, trzymałem prywatne rzeczy. Zrobiłem to, żeby nikt nic nie podejrzewał. Takie przejścia istnieją w obu światach, więc mogłem z nich zawsze korzystać. Czas, który mijał tutaj, nie miał żadnego odzwierciedlenia w naszym świecie, który zastawałem takim, jakim go opuściłem. Po pewnym czasie przechodzenie z jednego wymiaru do drugiego spodobało mi się, więc zadomowiłem się tu na dobre. Zdobyłem szacunek ludu, który mówił, odkąd pamiętam, w języku polskim, lub bardzo podobnym do niego. Najpewniej inni Polacy przedostali się do tego świata właśnie przez ten portal. Następnie wiele działałem w służbie króla, byłem niezwykle zaufanym człowiekiem i dobrze radziłem sobie z mieczem w ręku. Brałem udział w bitwach, zostałem rycerzem, wiele razy stawałem się bohaterem bitew w wojnach z wieloma podbitymi już państwami, aż w końcu dostałem własne lenno w jednym z tych krajów, a nazywało się Vareal. Po pewnym czasie zrozumiałem, że jednak w tym zdarzeniu zaistniał jeden istotny haczyk. Żaden przedmiot,

który nie jest ciałem żywym, nie może się tutaj przedostać. Nie licząc wiedzy, niczym nie mogłem się podzielić z tym światem. Ludzkość tutaj jest na naturalnym etapie rozwoju, więc miejsce to przypomina średniowieczną Europę, ale tylko dlatego, że jak głoszą filozofowie: ludzie mają podobny tok myślenia. Każdy sławny wynalazca mógłby znaleźć swój odpowiednik w tym świecie. Mogę dodać jeszcze, że wiedza o tych przejściach nie jest tajemna, ale mało kto zaprzęta sobie głowę czymś takim. Jednak ostrzegam cię przed jednym: jak mnie uczono, portal ma pewne ograniczenia. Niegdyś portal stąd do naszego świata był w miejscu, w którym się znaleźliśmy, jednak przez moją nieodpowiedzialność... Oczywiście można znaleźć w tym świecie portal podobny do tego, lecz to by zajęło wiele czasu...

– Powiedz mi wreszcie, co to za ograniczenie.

– To, że przeciąży się, gdy przejdzie nim więcej niż jedna osoba. I... po prostu się zniszczy.

– To dlaczego nalegałeś, abym ja też przeszedł?

– Chciałem ci dać nauczkę za twoją zuchwałość i pychę, którą okazywałeś całe życie – mówił, nawiązując do dawnych zwad. – Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo, ponieważ nie miałem czasu. Poza tym mógłbym tu spędzić resztę życia. Uznałem, że taka kara dla ciebie byłaby odpowiednia. Wierz lub nie ale ten „portal” nie jest powiązany z nauką, czy też nie da się go logicznie wytłumaczyć. Nasza wiedza na jego temat jest niezwykle abstrakcyjna i głosząca metafizyczne wytłumaczenia tego zjawiska.

– A więc jaki mamy plan? Ja w każdym razie nie mam żadnego – mówił Tomasz, zmęczony tą sytuacją.

– W związku z twoją nogą, bitwą czy tym, co będzie dalej?

– Co będzie dalej.

– Będziemy musieli tutaj pozostać. Później opowiem ci o niepewnym wytłumaczeniu powrotu do domu, które głoszą zakonnicy.

– Zakonnicy? Chyba faktycznie wolę o tym usłyszeć po bitwie, kiedy najprawdopodobniej już będę zabity.

Nie było wiele czasu na posiłek i ogarnięcie sytuacji. Wrócili do zamku, by zaszyć nogę towarzysza. Po krótkiej rehabilitacji Tomasz, podskakując i wywołując u siebie zawroty głowy, próbował upewnić się, że nie jest we śnie. Następnie odbył się krótki trening, niedaleko poza murami zamku. Tomasz wziął do ręki miecz i wymachując nim, czekał na rozkaz Beniamina.

– Widzisz te kukły za tym płotem? Wypatrosz je.

– Ale przecież to strachy na wróble.

– Jesteś nieludzko spostrzegawczy, przyjacielu. A więc są to strachy na wróble, a ja ci każę je wypatroszyć, jakby były mną. Zaprezentuję ci!

Bez wahania rozciął przedmiot, po czym dołączył do niego towarzysz.

Tak oto zaczęły się przygody Tomasza w tym niebezpiecznym świecie.

## II

Lord wstał nazajutrz o poranku, a następnie zażywał świeżego powietrza w stroju nocnym. Nagle dobiegł go posłaniec, widziany przez Beniamina i Tomasza zeszłego dnia.

– Mój panie! Lord Faruqäl odmówił towarzyszenia nam podczas ataku.

Na te słowa Beniamin oburzył się.

– Wetknijcie jego głowę na włócznię i postawcie przed pałacem króla, a jego wnętrzności roześlijcie po wszystkich lennach młodych lordów, aby widzieli, jak kończą zdrajcy – mówił, czym wystraszył posłańca, który uznał, że skoro ta wiadomość tak rozżłościła lorda, to strach pomyśleć, co zrobi, gdy usłyszy następną nowinę:

– Mało tego. Jest w Bänqlue, lecz sam nie zamierza atakować. Być może przyłączył do lorda Aqüeda i chce zdradzić nasze plany, a przy okazji znalazł u niego schronienie.

– Nędzna gnida. Niech się smaży w piekle. Jedź z żołnierzami do wioski najbliższej od Bänqlue, i spal ją, ale nie zabijaj mieszkańców, wygnaj ich. W końcu powinni niedługo znaleźć się w swojej wiosce z powrotem. Tym razem będzie ona należeć do nas – powiedział, po czym klepnął konia zwiadowcy i kontynuował: – Ja zajmę się Faruqälem i miastem.

– Tak, panie.

Beniamin rozsznurował szlafrok i czerwony ze złości, poszedł w stronę komnaty, gdy nagle się zatrzymał i pełen niepokoju i czarnych myśli spojrzął w stronę wschodzącego słońca, po czym rozgłosił wieść o zdradzie, a jego wojska bez zwlekania wyruszyły ku zamkowi. Wojownicy byli ubrani w lekkie zbroje, pokryte jedwabnymi materiałami, z herbem na przodzie. Ich wierzchowce były silnymi końmi bojowymi, zdolnymi unieść dwóch dorosłych mężczyzn w średnim uzbrojeniu. Za oręż posłużyły długie włocznie – nie takie używane w krótkiej potyczce, podczas której kawał drewna się rozłamywał, lecz długie, grube, ciężkie belki z metalowymi zakończeniami, podobnymi do grotu strzały (choć zakończenia te były większe, miażdżące, a nie tylko przebijające kości i mięśnie).

Wyruszyli desperacko razem z królem i jego wasalami. Oni również byli na koniach, a nawet na silniejszych i szybszych niż te, których dosiadali rycerze. Tomasz był nieszczęśliwy, gdyż nie mógł się pogodzić ze swoim niewyspaniem i roztargnieniem, podobnie jak reszta piechoty, która musiała długo maszerować przez następne godziny.

Na miejscu zobaczyli ogromny zamek, opasany rzeką, otoczony wzgórzami, mostami i lasem, którym nie musieli przechodzić, gdyż król ruszył drugą stroną. Zdawało się, że nikt w zamku nie interesował się eniceńską armią, choć w środku wszyscy sposobili się do bitwy. Prawdopodobnie Faruqäl bał się sromotnej porażki, a co gorsza – śmierci. Chociaż wielu uważało, że już dawno całkowicie okrył się hańbą.

Z początku zarządzono ostrzał grodu, lecz okazał się nieskuteczny. Nie był możliwy żaden bezpośredni atak, a lordowie wzywani do negocjacji nie odzywali się. Rozbito obóz.

Oto pojawiły się wątpliwości, pytania oraz została wyjawiona Tomaszowi

tęsknota za domem u zwerbowanych żołnierzy.

– Ja niegdyś byłem walkijskim krawcem – mówił jeden z żołnierzy – a niedługo będę służył pod dowództwem lorda Falacha w moim rodzinnym mieście.

– Lord Falach to inaczej Beniamin. Ty go tak nazywasz. A jak ciebie będziemy nazywać? – mówił jeden do Tomasza.

– Nadałem mu imię Filip. U nas to królewskie imię – odrzekł przysłuchujący się rozmowie Falach.

– Ja natomiast jestem z Akh-Ram, inaczej nazywanego Rameńskim Akh. Nazwa ta oznacza w naszym języku „kraj walecznych”. Nigdy nie zapomnę tych pięknych chwil spędzonych wśród natury i kontemplowania o filozofii przodków. Nie zapomnę też zwierząt, roślin, wzgórz, jezior. Nie widziałem nigdy w tamtych okolicach żadnych kopalni ani fabryk trucizn – mówił, a jego wywód szczególnie zrozumieli Falach i Filip, znający świat, w którym ten piękny krajobraz jest rzadkością, a „fabryki trucizn” są na porządku dziennym.

Mężczyźni w rozmowie z Falachem i Filipem posługiwali się w miarę czysto językiem polskim, gdyż wiedzieli, że był to rodzimy język lorda dowódcy.

– Ja zaś jestem stąd, z Enicenii. Ale byłem podróżnikiem. Miałem gęstą brodę i kędzierzawe włosy, opadające na ramiona. Zapamiętałem głównie wzgórze, drzewa, potoki, zwierzęta. Chcę przed śmiercią znaleźć się nad valkirańskim morzem. Zapamiętałem je z obrazów, które ojciec, również podróżnik, przynosił mi zawsze ze swoich wypraw: woda zielononiebieska od flory tamtych stron połyskiwała w blasku zachodzącego słońca. W pobliżu była tylko półpustynia i kawałek stepów, wychodzących z sąsiednich krajów północy: Rameńskiego Akh i Welerii. Mimo to jest stamtąd widok na zamki i wioski kraju. Kiedy się tam znajdujesz (mimo że jesteś sam), czujesz pierwotną obecność czegoś. Być może są to tylko zwierzęta tamtych stron. To w sumie tyle, co chciałem powiedzieć.

– To musi być naprawdę piękne miejsce – przyznał Filip. – Ale czemu jesteście tutaj, skoro nie chcecie należeć do naszego wojska?

– To niewolnicy z podbitych terenów. Niedługo staniemy się mocarstwem, Filipie, a gdy wszystkie sąsiednie kraje będą nasze, wszystkie ludy tego świata padną na kolana przed nami.

– Nie mówiłeś, że jesteście w tak dobrej sytuacji.

– Nie musiałem, gdyż powinieneś to widzieć od początku. Ale mniejsza. Może chcielibyście usłyszeć historię z moich stron?

– Z twoich stron? – spytał Filip. – Masz na myśli Wrocław?

– Tak.

Wszyscy uczestnicy rozmowy z entuzjazmem zaczęli słuchać.

*Kiedy na kontynencie zwanym Europą żyli jeszcze poganie, wśród nich był pewien książę zapomnianego już słowiańskiego królestwa. Żył on samotnie, gdyż błąkał się po dzikich lasach, z nadzieją, że własnoręcznie upoluje jakieś zwierzę. Pragnął tego dokonać, aby udowodnić, iż jest utalentowanym wojownikiem oraz że jest gotowy do nauczenia się rzemiosła wojennego. Jednak, ku jego nieszczęściu, nie udało mu się pozbawić życia żadnego dzikiego zwierzęcia przez wiele, wiele lat. Za to jego zajęciem*

było pisanie przy każdym drzewie swoich inicjałów oraz przydomka, które wyglądały tak – Falach nakreślił palcem na piasku napis: „G. V. Mieczu Sławny”.

W końcu zaprzestał tych bezskutecznych łowów. Jednak pewnego dnia, kolejny raz obracając swoją głowę w stronę drzew, ujrzał młodego tura z krwawiącym tułowiem. Księżę podbiegł zdesperowany do rannego stworzenia i zaniósł go do osady.

– Gardomirze! Kogo ty trzymasz na rękach? – zakrzyknął król, ojciec młodzieńca.

– Znalazłem go krwawiącego w lesie. Myślałem, że żyje – oświadczył.

– I też myślałeś dobrze, lecz powinienes był go dobić. Musimy go zanieść do uzdrowiciela!

Gdy lekarz zajmował się rannym zwierzęciem, Gardomir chciał się dowiedzieć, co stało się z tym nieszczęsnym stworzeniem. Okazało się, że pozostało przy życiu, ale Gardomir nie wiedział, co ma dalej z nim zrobić. Gdy zwierzę zostało zaniesione przez młodzieńca do lasu, za każdym razem biegło w stronę człowieka, któremu zawdzięczało życie. Gardomir postanowił w końcu go zatrzymać. Jednak nieszczęsny tur zdechł po kilku miesiącach w zagrodzie, gdzie mieściło się zdrowe bydło.

Jednak po pewnym czasie Gardomir poznał o sześć lat młodszego chłopaka, który stał się jego towarzyszem. Osobą tą był niejaki Falimir. Pochodził on, żeby nie urazić nikogo, wyrażę się: z prostej rodziny. Za każdym razem wprowadzał on Gardomira w niebezpieczną grę z życiem, biegając po budynkach i murach osady, co bardzo denerwowało jej mieszkańców. Natomiast na dachach mieszkań ci młodzi ludzie ćwiczyli szermierkę. A gdy ojciec i dowódca osady zmarł, jego syn rozkazał najlepszemu kowalowi w mieście wykuć miecz, który byłby w stanie siekać przeciwnika obiema stronami ostrza. Gardomir musiał poświęcić największe rodzinne bogactwa, aby miecz ten lśnił w słońcu niczym boski grom. Między innymi dlatego oręż ten nosił nazwę podobną do imienia ojca Gardomira, Gromisława. Miecz ten został okrzyknięty Gromem.

Za to jednego ze zwykłych dni szesnastoletni syn księcia Gardomira – Drogowit, biegając po lasach z dorosłym już Falimirem, ujrzał pewną drogę. Nie była to z pewnością droga stworzona przez znanych mu ludzi, gdyż wiodła do nieznanym nikomu miejsc, w głąb lasu, gdzie widać było tylko ciemność.

– Falimirze, idziemy! – nalegał młodzieniec, ujrawszy tę niebezpieczną ścieżkę.

– Jesteś pewien, że chcesz iść właśnie w tamtą stronę? – zapytał mężczyzna z cynicznym uśmiechem na twarzy.

– Tak, na pewno tam pójdę – zapewnił swego opiekuna. – Tak dobrze znam tę okolicę, że miejsce, w którym nie byłem, nie powinno istnieć.

– Podobno tak samo sądzą duchy – zauważył.

– Dlaczego akurat duchy?

– Podobno duchy wędrują w ciągu nieskończonych dni pośmiertnego życia w miejsca, w które nikt się nie zapuścił, i mogą łamać prawa logiki. Tak przynajmniej ja słyszałem.

– Duchy to nie królowie. Ja nigdy nie zostanę królem, dlatego uważam, że powinienem znać każdy zakamarek tego kraju.

– Mówisz, że duchy to nie królowie. A właśnie tu nie masz racji. To zawsze najpotężniejsi władcy nie mogą dostać się do krainy bogów, a ich dusze błąkają się po

*naszym świecie.*

*– Ale dlaczego tak jest? – spytał przerażony młodzieniec.*

*– Z czasem to zrozumiesz. Jeśli jest coś, co bez względu na wszystko prędzej czy później uderzy do głowy, to na pewno jest to władza.*

*– Ale ja też kiedyś będę rządził – mówił Drogowit głosem, który wskazywał na jego lęk i oburzenie. – Chyba nie sądzisz, że będę złym władcą.*

*– To się oka...*

*W tym momencie przerwał Falimirowi głos z oddali, który mówił:*

*– Stoop!*

*– Co tym razem się stało? – spytał podirytowany Falimir.*

*– Nie możecie tam iść!*

*– W takim razie musimy biec – powiedział do Gardomira.*

*W tym momencie rozpoczął się pościg. Ani Drogowit, ani Falimir nie wiedzieli, kto się do nich odezwał, jednak jeśli ktoś by wiedział, jaką reputację posiadał Falimir, domyśliłby się, że ktoś, kto wzywał go takim głosem, nie mógł mieć neutralnych zamiarów wobec niego. Towarzysze, których przeraził ten odgłos, poczuli biec w głąb owej ciemnej ścieżki. Jedyne, czego mogli być pewni, to tego, że mieli kłopoty. Warto dodać, że ciemne szaty Falimira stapiały się z tłem pni drzew, które stawały się coraz bardziej czarne. Dwóch druhów przyspieszyło kroku, gdyż głosy ludzi goniących ich brzmiały coraz bardziej nienawistnie i stawały się coraz lepiej słyszalne. Właśnie wtedy, gdy Drogowit zaczął biec najszybciej, jak mógł, potknął się o zwalony pień spróchniałego drzewa. Właśnie tam uciekający ujrzeli stary kurhan. Drogowit uniósł głowę i wtedy ujrział siedem postaci, odzianych w czarne togi. Miały blade lica, siwe włosy oraz przekrwione oczy i trzymały stare, pokryte rdzą na całym ostrzu miecze. Miecze te były wyjątkowo dziwne, gdyż nie miały żadnych wgłębień ani ozdób.*

*– Czekał, czekał – przerwał Filip. – Dość sporo posiadasz informacji, jak na rzecz, która działa się tak dawno temu.*

*– Cicho! Taką wersję ja słyszałem.*

*– Więc sporo pamiętasz.*

*– Zamknij się!*

*Te tajemnicze stwory zbliżały się do naszych bohaterów, mając w rękach wysunięte miecze i wymachując nimi szaleńczo przed twarzą Drogowita, ruszyły się o kilka kroków wprzód. Falimir wyciągnął swój, niestety zniszczony miecz i odbijał nimi ciosy tych kreatur. Wtedy młodzieniec wbił swoją broń w brzuch jednej z tych dziwnych postaci. Potem został porażony jakąś nieznaną siłą, która parzyła jak ogień, ale pojedynczo, w różnych miejscach ciała. Następnie odrzucił swój oręż, tarzając się z bólu po ziemi. Falimir postanowił walczyć na odległość i zaczął rzucać kamieniami w potwory. Te uciekły z krzykiem na swoich bladych ustach. W tej oto chwili dogonili ich ludzie, którzy prowadzili przed momentem pościg, a mianowicie synowie brata Gardomira. Gosław, Izbor oraz Kanimir i spyтали się z przejęciem:*

*– Co się stało?*

*– Co ci się stało? – powtórzył za nimi Falimir.*

*– Aaa... Moja ręka! – krzyczał. – Czuję się, jakbym płonął.*

– Nic ci nie jest – zapewniał. – To tylko chwilowy ból, który zostanie uśmierzony z czasem.

– Kim oni byli? – spytał Drogowit.

– Otóż były to duchy kurhanów. Dawni królowie. Wiedziałem, dokąd prowadzi droga. Pewnie spytasz: „dlaczego nie zabroniłeś mi tam iść”. Otóż odpowiadam ci: moim zamiarem było nauczyć cię walczyć oraz znosić ból. No i może nauczyć się trochę historii naszego narodu. Królowie, którzy przemienili się w te stwory, byli okrutni lub nie cenili ludzkiego życia. To dobra przestroga dla młodego władcy. Wstań, Drogowicie. Oto jest miecz twojego ojca, Gardomira. Miały być na nim wyrzeźbione imiona wszystkich ludzi, którzy go dzierżyli w swych dłoniach. Teraz czas na ciebie.

Po tych słowach Falimir wyciągnął miecz owinięty w jakiś szlachetny materiał. Drogowit ściągnął to płótno, aby ujrzeć Grom.

– Skąd go masz?

– Dał mi go twój ojciec tuż przed śmiercią. Powiedział, że póki krew jego i tym samym krew jego potomków będzie spływać po ostrzu tego miecza, nasz ród nie wyginie. Dlatego musisz się zmierzyć z tymi duchami. Te zjawy prawdopodobnie udają się teraz do miasta, a póki są w stanie przybrać fizyczną postać, nie ma dla nas innej nadziei niż ty. To nie tylko test. To pewna zasługa twojego ojca, którą jest jakaś nauka, przekazywana tobie, nawet po jego śmierci, za pomocą tego miecza, który znajduje się w tej chwili w twoich rękach.

– A więc na co czekamy? – spytał Drogowit, który zdawał się już wracać do siebie.

– Gosław, Izbor, Kanimir, idziecie na zwiady. Ja i Falimir spróbujemy załatwić sprawę tych poczwiar podstępem.

Trzej bracia podjęli wyzwanie dane im przez Drogowita, a więc ruszyli. Biegli bardzo krętą drogą – od pól i łąk po niewielkie wzgórza. Nagle natrafili na ruiny rzymskiej budowli, postawionej przez pewnego zdolnego architekta, który pochodził najprawdopodobniej ze stolicy Zachodniego Imperium. Mimo że obiekt wybudowany w tym miejscu był już zniszczony, dalej zachowywał swoje romańskie piękno. Wszyscy trzej wpatrywali się z zachwytem w ową budowlę, jednak byli podejrzliwi co do tak egzotycznej dla tego miejsca, budowli. Jednak podeszli bliżej. Gosław wystawił swój łuk i nałożył na niego strzałę, po czym zaczął celować w stronę wieży, na której zauważył ciemną postać. Ze strachu rozluźnił ręce, przez co strzala została wystrzelona wprost w twarz potwora. W tej właśnie chwili wbiegł Drogowit, wystawiając swój Grom i stając na progu podstawy zburzonego muru. Wtedy spostrzegł sześć dokładnie takich samych stworów jak w starym kurhanie. Zawahał się, czy uczynić to, co chciał, ale po krótkim namyśle postanowił to zrobić. Krzyknął zatem z nienawiścią w głosie w stronę poczwiar:

– Odeślę was z powrotem na tamten świat.

Po wypowiedzeniu tych słów rzucił się na jedną z istot i zaczął siekać ich ciemne szaty. A gdy spostrzegł nieobecność Falimira, jeden z upiorów uciął Drogowitowi jeden palec, na którym chłopak nosił swój rodowy pierścień. Wśród okrzyków bólu można było jednak usłyszeć świst strzały wystrzelonej zza pleców zjawy. Strzala ta ugodziła upiora w głowę. Falimir stojący przy oknie na wieży strażniczej, ze śmiechem wskoczył na mur, a następnie pobiegł, jednocześnie strzelając. Biały budynek, mimo że niestabilny, nie walił



*się pod ciężarem mężczyzny. Falimir, jakby szaleńczo płasając, likwidował kolejne upiory. Natomiast Drogowit, mając krwawiącą rękę i wymalowaną złość na twarzy, odciął głowę ostatniej postaci. Pokonani byli oczywiście tylko duchami, które dostały się z powrotem do krain wiecznego spokoju. Pod ubraniami, które nosiły na sobie, nikogo nie było, więc Drogowit i Falimir mogli z czystym sumieniem zapomnieć o incydencie. Jednak po tym, jak odetchnęli chwilę, pojawiła się wielka, czerwona postać, przypominająca diabła ze świątynnych malowideł., a która dzierżyła w prawym ręku wielki morgensztern. W drugiej dłoni trzymała kark przestraszonego Kanimira i równocześnie uniosła swoją broń na Drogowita.*

*– Zostaw go! – krzyknął nienawistnie Drogowit, unosząc oręż i uderzając nim w zjawę. Ta zniknęła, a miecz Drogowita wyleciał z jego ręki i wbił się w ziemię. Diabelski potwór zniknął przed ich oczu, co przyniosło ulgę naszym bohaterom.*

*– Ten miecz mógł jeszcze napisać tak wspaniałą historię rodu – odrzekł Falimir.*

*W tej historii ich losy rozłączyły się ze względu na to, że władca tej krainy nie mógł mieć znajomych wśród swych poddanych. Po upadku królestwa tam, gdzie wbiło się ostrze Gromu, wyrosło drzewo. Natomiast w miejscu drzewa został zbudowany Wrocław przez czeskiego księcia Wratysława, dawnego i dalekiego potomka Drogowita, ale również spokrewnionego z Falimirem. Owo miejsce nazwano Ostrowem Tumskim, a w miejscu tamtej fortecy wybudowano katedrę oraz klasztor, gdzie znajduje się muzeum opowiadające o wielkich czynach wrocławian.*

– Ekhm. Sam wymyśliłeś tą historię – powiedział Filip Falachowi na ucho, gdy ten ukończył opowieść.

– Spokojnie – odpowiedział po cichu, lekko zirytowany. – Nie psuj atmosfery.

– Cóż – mówił jeden ze słuchaczy. – Ty pochodzisz z miasta Wrocław. Ale czy jesteś potomkiem Drogowita?

– Yyy... Cóż... Nie do końca. Ale to nieważne.

– Ależ tak, tak! – mówił Filip. – Falach jest z książęcego, prasłowiańskiego rodu.

– Dlaczego sam nie chce się do tego przyznać?

– Dlatego iż... moje pochodzenie nie jest pewne. Inni mówią, że jestem królewskiej krwi, inni, że nie.

– Ależ to nieważne, czy jesteś królewskiej krwi czy nie. Najważniejszy jest twój królewski charakter i godność, a to sprawia, że możesz być moim królem, jeśli tylko będziesz chciał.

– Nie mów tak. To niemożliwe, a poza tym nieuczciwe wobec króla tak mówić – mówił Falach, choć sam był dumny ze swojej królewskiej charyzmy i obiecał sobie kiedyś wykorzystać swoje monarsze predyspozycje.

Po skończeniu rozmowy Falach udał się do króla, najprawdopodobniej po to, aby omówić strategię.

Nazajutrz, od razu gdy wstało słońce, wszyscy atakujący powstali, a łucznicy podpalili swoje strzały. Żołnierze szybko oblali bramę olejem i wódką, przygotowaną wcześniej przez samego króla i przyniesioną z rozbitego obozu przez mężczyznę o funkcji dostarczania potrzebnych materiałów do bitwy. Następnie strzelili w nią płonącymi grotami. Zanim furta całkowicie się spaliła, łucznicy w grodzie wychylili się

zza blanek i zaczęli strzelać we wrogą armię pod bramą. Mieli również zamiar wylać na nich jakąś wrzącą ciecz, ale nie posiadali takowej, a przygotowanie czegoś równie skutecznie odstraszającego wroga było zbyt czasochłonne, zwłaszcza że wystarczyło Falachowi kilka minut, aby przejść przez żarzącą się bramę. Lord dowódca, aby lepiej ochronić się przed lecącymi ze wszystkich stron pociskami, zarządził szyk podobny do znanego nam „żółwia”. Było to możliwe dzięki wcześniej przygotowanym prostokątnym tarczom. Zabicie kogoś znajdującego się w takim szyku było praktycznie niemożliwe.

Stali w miejscu, aż Falach nie wyskoczył spośród tarcz, prosto w deszcz strzał, omijając sprytnie amunicję przeciwnika, a następnie wyważył zwięgloną już bramę wściekłym kopnięciem. Dał sygnał towarzyszom. Tamci wbiegli do miasta, zabijając wojowników i strażników świątyni, a Falach zgładził kilku lordów. Nie było to zwyczajne zamieszanie, gdyż widoczna była z daleka precyzja i umiejętności walczących ludzi. W tym czasie synowie króla udali się do sal lordowskich. Powiedzieli, że to miejsce należy do nich i nikt ma się nie ruszać, jeśli chcą przeżyć. Faruqāl od razu został poinformowany o wyroku (mianowicie za zdradę stanu), czyli o tym, że zostanie zamknięty w więzieniu dla wrogów politycznych, a następnie powieszony. Jednak zabito właściwie każdego, kto miał odwagę sięgnąć po broń. Faruqāl uchwycił ozdobny miecz, by zabić Falacha, którego już wcześniej nienawidził. Jednak ten drugi był szybszy i krew lorda zdrajcy znalazła się na klindze. Przebił mu czaszkę, a krew rozbryznięła się na wszystkie strony, tworząc okropne wzory na ścianach. Falach nie wahał się, a mimo wszystko nie były to bezsensowne ciosy psychopaty, tylko jedyna słuszną ostateczność. Żony lordów zaczęły krzyczeć i pisać, a Falach uciszył je, pokazując im ostrze zatopione we krwi. Na zewnątrz trwał ostrzał ludzi Falacha, odparty cichym i zręcznym atakiem na kolumny, balkony i schody, na których stali strzelcy. Ludność miasta okazała się liczniejsza, a mimo to Enicenianie byli obdarzeni wyczuciem wojennym i ruszyli na odsiecz. Bandery lordów i unoszony przez nich oręż lśnił w blasku południowego słońca. Przebijali na wylot wrogów lancami, włóczniami i kopiami rycerskimi.

– Witaj, Falach. Chcieliśmy tylko zobaczyć finał waszego pewnego zwycięstwa, ale nie wiedziałem, że wasza sytuacja jest aż tak opłakana – przyznał jeden z lordów.

– To jeszcze nic. Czekaj nas odwrót. Zostawiliśmy konie w dolinie. Powinniśmy zawrócić.

Ruszyli, lecz drogę blokował tłum żołnierzy walkijskich. Nie było praktycznie wyjścia, dlatego trzeba było pozostać w mieście i walczyć dalej. Rozkazano eniceńskiej piechocie odwrót, lecz Filip znalazł się między młotem a kowadłem, ponieważ stał wtedy na stanowiskach łuczników, którzy wcześniej strzelali w stojących pod miastem rycerzy. Otoczyli go i gdyby nie jego brak spostrzegawczości, bitwa zostałaby przegrana. Nie zauważył kierunku ani nie dowiedział się, jaki był sposób ucieczki wojsk eniceńskich, a był nim skok z górnych stanowisk. Stanowiska te były bardzo wysoko, a mimo to zamortyzowałyby ten skok dachy niższych mieszkań. Filip zauważył jednak widoczny słaby punkt w uzbrojeniu Walkijczyków. Rozciął gardło jednemu z nich i biegł dalej po stanowisku.

W tym czasie Falach toczył krwawy i zacięty bój pod bramą, lecz poza zamkiem. Blokowano się tam prostokątnymi tarczami, przypominającymi raczej te starożytne

aniżeli średniowieczne. Kopie bez dużej prędkości nie stanowiły zagrożenia i w zwartym ataku byłyby wręcz niepotrzebne, więc je odrzucono. Jednak odziały Falacha miały lepszą pozycję, a włócznie (nie kopii, jak oddziały, które przybyły w czasie bitwy) użyli jak oszczepów – rzucali nimi. Wojownicy dzięki temu, iż mieli wolne stawy (zbroje rycerzy zostały zniszczone), mogli osiągnąć wystarczającą do zabicia przeciwnika prędkość rzutu i dobry kąt padania. Jednak włócznie były wielkie i ciężkie, a rzucanie nimi zdawało się być wyrazem desperacji. Potem jednak żołnierze Falacha wyciągnęli miecze, podbiegli do zwartej potyczki i zadawali ciężkie oraz precyzyjne ciosy. Krew znalazła się zbrojach szybciej niż w jakimkolwiek zaplanowanym ataku. Było bardzo możliwe, że momentami zabijali oni własnych żołnierzy, lub nawet szlachetnych sług króla – rycerzy; mniej prawdopodobne, że lordowie ginęli z rąk sojuszników, gdyż ich śmierć byłaby na pewno bardziej przewidywana i chronione byłoby ich życie. Jednak walka przebiegała tak chaotycznie, że trudno było cokolwiek dostrzec, a po skończeniu bitwy – zliczyć straty. Nie można było zarządzić odwrotu, gdyż na pewno by ich po chwili zabito, zaatakowawszy od tyłu.

Dochodziło późne popołudnie, słońce i niebo zdawały się być krwistoczerwone, a w zamku Bänqlue dalej toczono walkę.

Jednak starcie w pewnym momencie dobiegło końca, gdyż stanowiska, po których biegał Filip, poprowadziły go do dźwigni otwierającej tylną bramę, wykonaną z jakiegoś metalu ułożonego w kratę. Widząc sytuację towarzyszy, podniósł tę konstrukcję, alarmując ich najgłośniejszym, jak potrafił. I tak we wrogim wojsku pozostała jedynie garstka niedoświadczonej piechoty, składającej się ze zwykłych chłopów, ale ucieczka była jak najbardziej wskazana. Głównie zmuszały ich do tego obrażenia oraz zmęczenie wojska Enicenian. Bitwa została wygrana, a miasto i wioska zostały przyznane Lordowi Falachowi. Filip nie został ogłoszony bohaterem, ale jeśli chodzi o zmianę mniemania o nim, to jedynie Falach zaczął go doceniać.

Zaraz potem Filip oraz lord udali się do komnat i wbili maszt z flagą Eniceniei prosto w najwyższy punkt wieży strażniczej. Falach siedział cały czas w swoim pokoju, patrząc na mapę kraju, odrysowując linie i przekreślając miasta sąsiadujących państw. Komnata, w której się znajdował, była niewielka, ciemna, a jej mrok rozświetlał wyłącznie mały ogarek. Było to właściwie puste pomieszczenie, gdyż znajdował się w nim tylko stół, szachownica, mapa i nie można było dostrzec nawet małych otworów w ścianie, przez które przechodziłoby słońce. Po chwili zawołał Filipa. Gdy ten przyszedł, zaczęli rozmawiać.

– Co możesz mi powiedzieć o swoich zajęciach?

– Cóż, niezbyt wiele. Sam często zastanawiam się, co mogę tu robić. Przecież tutaj... yyy... w średniowieczu... po prostu tutaj ludzie ręcznie ubijają masło, wszędzie chodzą pieszo. To na pewno zupełnie nowe doświadczenie, ale... CIĘŻKIE! Nie mam zamiaru tutaj zostać na więcej niż...

W tym momencie przerwano mu.

– A nie uważasz, że po prostu robimy za mało? Tutaj mamy czas na bardzo wiele. Moglibyśmy się rozerwać jak normalni ludzie.

– To znaczy jak?

– Zapolować, pobalować, napić się, wziąć udział w turnieju.

– W sumie tak.

– No właśnie. Słuchaj! O ile mamy wolny czas, staramy się go wykorzystać jak najlepiej. Dlatego możemy jeszcze robić to, co w czasie pracy. – Wyciągnął szachownicę i rozłożył pionki. – Bijemy, ruszamy pionkami i głową – powiedział z ironicznym tonem Falach.

– Fascynujące. Ale czy nie moglibyśmy w końcu wziąć udział w tym turnieju, albo zapolować?

– Ale wtedy nie odpoczniemy po walce.

– Cóż... właśnie powiedziałeś, że gra w szachy to to samo co walka!

– Więc... Zauważ, że wiele można by ci zabrać, wiele zniszczyć, ale tego, co masz w głowie, nikt nigdy nawet nie ruszy. Możesz to zrobić ty sam, jeśli nie będziesz o ten umysł dbać. Gra w szachy może i nie jest konserwantem dla umysłu, ale przypomina o tym, że używanie mózgu przydaje się.

– A więc co zamierzasz zrobić?

– W związku z czym? Z podwładnym, który o wszystko musi się głupkowato pytać, z sytuacją militarną i polityczną, czy tym, kiedy w końcu powrócisz do domu?

– Z tym drugim. No i z rozerwaniem się, oczywiście.

Potem Falach poprzestawiał figury na kształt granic królestw. Zbił królowkę koloru czarnego, a zamiast tego postawił gońca.

– Największe miasto już zbiliśmy. Zostały nam zamki, którymi są pionki, i mniejsze miasta i wsie, które ustawiłem jako konie. Kiedy podbijemy te królestwa, reszta świata klęknie przed nami w strachu i podziwie. Będziesz pionkiem szachownicy świata, a ja jego głównym gońcem. – Pochylił nad nim głowę i zacisnął pięść. – To już niedługo.

I zrzucił resztę pionków, poza białymi.

### III

Tak jak powiedzieli, udali się w końcu na arenę w celu odbycia treningu walki. W ten sposób Falach chciał zrealizować pierwszy punkt rozrywania Filipa. Gdy w końcu znaleźli się na stanowisku trenera, nie zastawszy go, Filip zaczął się niecierpliwić i spytał:

– A więc co mam robić?

– Czekaj, aż trener wyda rozkazy – mówił Falach.

– A ja nie chcę tutaj walczyć!

– Nie! Jesteśmy na platformie trenera, a poniżej jest arena. Zapłaciłem za pojedynek.

Czekali jeszcze chwilę, aż w końcu, po kilkunastu minutach, zjawił się właściciel areny i rozkazał przybyszom, aby zdjęli strój, oprócz spodni, a następnie wybrali sobie broń ćwiczebną.

– Co? – zdziwił się Filip.

– Nie słyszałeś? Będziemy walczyć. Będzie wielu zawodników. To tylko dla treningu.

– Ale ja nie mogę!

– Dlaczego?

– Bo nie potrafię walczyć.

– To się nauczysz.

– Kto mnie nauczy?

– Ja.

– Przecież ty miałeś ze mną się bić.

– Owszem.

– Więc nie będziesz mnie uczyć.

– Bynajmniej. To praktyka czyni mistrza. Nie słyszałeś o tym?

– Słyszałem.

– A więc zauważ, że w czasach, kiedy nie walczone bronią palną ani nie straszono się bombami atomowymi, właśnie w ten sposób konserwowano tężyznę fizyczną. Teraz mamy siłownię, i tak dalej, ale ty nie możesz teraz tam pójść.

– Bo nie ma tu siłowni.

– Można tak powiedzieć. Ale za to są właśnie takie miejsca, w których możesz walczyć ze swoim dobrym znajomym. Poza tym będę starał się nie łamać ci kości, ani nic z tych rzeczy. Po prostu ucziwa walka. Dla przyjemności.

– Dobrze. Przekonałeś mnie. Ale to mój ostatni raz.

– Nie martw się! Spodoba ci się to.

Tak oto Filip zgodził się, aby stoczyć kilka pojedynków. Walczono drewnianymi imitacjami różnych broni. Filip i Falach wybrali miecze oburęczne. Były one prawie tak ciężkie jak prawdziwy oręż i bardzo łatwe w użyciu: uderzało się nimi mocno w nieosłaniane ciało przeciwnika, a ten padał nieprzytomny, a narzędzie walki odlatywało mu z ręki. Falach był kimś w rodzaju nieoficjalnego trenera. Sam na początku się popisował, ale na pewno nie przed Filipem, tylko by podnieść swoją wartość,

pokazując różne akrobacje i aby zapomnieć o sztywnej walce w zbroi. Jego kocie ruchy w zbroi były niepraktyczne i mimo żelaznej zasady, o jakiej mówił Filipowi, czyli aby nie odsłaniać pleców przed przeciwnikiem, nie martwił się tym, ponieważ i tak wszyscy się go bali, choć niektórzy nieskutecznie próbowali go zaskoczyć. Filip radził sobie również bardzo dobrze, mimo że niepotrzebnie osłaniał ciało przed przeciwnikiem, kiedy mógł szybko i bez ostrzeżenia uderzyć w odsłoniętą część ciała przeciwnika, ale nawet te sytuacje zdarzały się rzadko. Na końcu Falach i Filip stanęli ze sobą twarzą w twarz. Patrzyli sobie w oczy jak tygrysy walczące o ostatni kawałek mięsa i nawet naśladowali ruchy tych zwierząt. Gdy zaczęli wkręcać się w ten bezsensowny taniec, Filip uderzył Falacha swoim drewnianym mieczem w ucho. Płyny w ślimaku Falacha zaczęły wibrować, a on upadł, wypuścił ostrze i sam się poddał. Jednak nie pogodziwszy się z powodu porażki, rzucił się na triumfatora tej potyczki i zaczął go wściekle gryźć. To zachowanie było zupełnym kontrastem, a nawet przeciwieństwem turniejowych porachunków. Falach odpowiedział później przed królem za nieprzepisowy i okrutny napad na członka piechoty, do której Henryk rościł sobie „prawo własności”. Jednak zaraz po uspokojeniu się Falach przeprosił Filipa i wręczył mu garść złotych monet z własnej kieszeni jako wynagrodzenie za dobrą walkę. Po całym zajściu Filip go spytał:

- Bardzo mi przykro, ale... dlaczego w ucho?
- Chciałem cię zaskoczyć – odparł.
- Ha, ha. To ci się udało.

Potem lord poszedł wraz ze swoim przyjacielem do zamku, aby pozatławić sprawy lordów walkijskich, którzy tutaj przebywali przed bitwą oraz którzy pozostali tam do tamtej pory. Nie można było ich zabić, a jeńcami czy więźniami wcale nie byli, gdyż spokojnie chodzili sobie po mieście, nie martwiąc się nawet o to, że ktoś mógł się na nich zezłościć i dać przegranym lub rywalom (zależnie od tego, kto by to zrobił) w zęby. Falach i Filip najpierw musieli się ubrać, podziękować za pozwolenie na walkę, a potem udać się w odpowiednie miejsce. Falach pozwolił sobie być w komnacie lorda zdrajcy, a Filipowi kazał rozglądać się wokół tego miejsca, czy ktoś przypadkiem nie przybywa do samego Falacha dać mu nauczkę za podbicie miasta. Siedząc na czymś w rodzaju tronu dla lorda, Falach rozmyślał o dawnych czasach i cieszył się, że Filip tu trafił. Prawdę mówiąc, nie myślał już o dawnych zwadach z przyjacielem, więc traktował od pewnego czasu Filipa jak swego pupilka w armii. Lecz czemu się dziwić? Falach był surowy i ekscentryczny, ale wszak przyjaźń potrafi odmienić każdego. Przyjaźń jest jedną z cnót, która sprawia, że człowiek ma kogoś, kto może otwarcie go skrytykować i nawrócić na dobrą drogę. Choć nie zapominajmy, że Falach był wspaniałym mężem stanu, więc nie mógł pozwolić sobie na sentymenty ani niezdrowe relacje z kimkolwiek. Wyrzekł się takich relacji nawet z kobietami, co dla wielu ludzi wydawało się nieprawdopodobne. Wiadomo jednak, że wojna potrafi wzbudzać zwierzęce instynkty, ale w przypadku Falacha, obserwującego prawie na co dzień cierpiących, a często również umierających ludzi, takie żądze są tylko studzone.

Tymczasem lordowie znajdujący się w tym mieście zostali powiadomieni przez posłańca Falacha, że nie zostaną tu i bez względu na swoje choćby najszczerze chęci nie przejdą na stronę wroga i nie będą służyć królowi Eniceni.

– Biegnijcie do króla i krzyczcie, że ponieśliście sromotną klęskę. Powiedzcie, że pokonało was jedyne prawdziwe mocarstwo tego świata, które niedługo obróci wniwecz Walkię – mówili Enicenianie, którzy znaleźli się w murach tego grodu.

Właśnie w ten sposób potoczył się los lordów tego królestwa, a lord Falach z czasem pożałował tego, co postanowił. Teraz odpoczywał w lordowskiej komnacie podbitego miasta, jednak odpoczynek po wygranej batalii został przerwany, gdyż Filip podbiegł do przyjaciela jako posłaniec, aby wyznać złe wieści.

– Benek! Chodź coś zobaczyć!

– Tutaj jestem lord Falach i tak też masz się do mnie zwracać – przerwał druhowi próbującemu zawiadomić pana.

– Ale zobacz, kto jest przed zamkiem.

Król Henryk zasiadał wtedy w stolicy Enicenu. Wiedział, że lord Falach brał udział w oblężeniu Bänqlue i że robił to, aby dorwać zdrajcę Faruqäla, i miał nadzieję, że niedługo wróci do swojego zamku, czyli Vareal. Chciał jednak go zaprosić na pewną naradę wojenną, na której oprócz nich mieliby znaleźć się najznamienitsi przedstawiciele Enicenu. Aby zrealizować ten plan, musiał wysłać dziesiątki posłańców w różne strony kraju z wiadomością o tym spotkaniu. Oprócz tego, że król potrzebował trochę mądrych słów i zapewnienia, że jego wasale są gotowi do dalszych działań, chciał też po prostu się do kogoś odezwać. Miało to być również – a może nawet przede wszystkim – spotkanie towarzyskie. Lord Falach już wtedy wydawał się być dowódcą i wasalem dość popularnym, a więc jego obecność u boku króla miała zapewniać prestiż samemu władcy. Lecz zanim to wszystko miało nastąpić, trzeba było powiadomić wszystkich potencjalnych gości o urządzanej imprezie. Z tym raczej nie było problemów, ale lord Falach znajdował się tak daleko, że nikt nie zdążyłby dojechać do niego w ciągu następnych kilku dni. Mimo to ta wiadomość powędrowała również do Bänqlue. Oprócz tego przybył inny posłaniec, lecz ten był przysłany przez szpiega Walkii. Król Henryk dowiedział się, że Walkijczycy zbliżali się na wszelki wypadek do Bänqlue, aby w razie czego odbić to miasto. Ta wiadomość wstrząsnęła królem, który teraz nie był pewien, czy Falach dożyje kolejnego spotkania z nim.

Była siódma rano, ale że Enicenianie mieli w zwyczaju wstawać o świcie oraz dzięki rygorowi narzucanemu wojskom w tym kraju, wszyscy w Bänqlue byli na nogach. Jednak nie byli na służbie, lecz spokojnie czekali na rozkazy od zwierzchnika. Mimo iż miasto należało całkowicie do Falacha, to nikogo nie było w tym miejscu oprócz jego oddziałów, które, na jego nieszczęście, zostały prawie wytłuczone. Przed bramą stał wysłannik króla i dwóch lordów Walkii: Dertino, Bellir i Galdur VI. Niestety król Enicenu – Henryk XIII nie mógł ruszyć na odsiecz ze względu na jego dalekie położenie. Władca Walkii powiedział:

– Wasze królestwo było z nami w stanie wojny od czterech lat. Warunki były takie, aby każdy atak był zapowiedziany oraz abyście nie mogli zabić nikogo nieposiadającego broni. Jeżeli ty nie będziesz miał broni, a ktoś, kogo atakujesz, nie będzie posiadać broni, może sięgnąć po nią albo walczyć bez niej, czyli po prostu pobić. Ostrzegając was przed atakiem i dając wam czas na uniesienie broni, oznajmiam, że odbijemy to miasto, jeżeli tylko będzie to w naszej mocy.



– A więc chcę, żeby walka odbyła się na polach Yallden – odparł Falach. – Jeżeli uda wam się nas pokonać, to macie prawo zabrać nasze miasto na mocy prawa paktu ustnego, który chcemy z wami zawrzeć. Macie prawo również być wzburzeni z powodu zaistniałej sytuacji – starał się zachowywać dyplomatycznie – lecz my również mamy prawo was teraz zabić. – Po czym odwrócił się i wydał rozkaz uzbrojenia się i wyszykowania koni dla kawalerii.

– Ależ nie jesteśmy w ogóle przygotowani – zaczął Filip. – Poza tym ich jest prawie tysiąc a nas garstka pięćdziesięciu członków kawalerii i sto piechoty.

– Ale jesteśmy sprawniejsi i lepiej wyszkoleni.

– I do tego w ogóle nie mamy uzbrojenia.

– Ale mamy ogień, kilku łuczników i plan.

– No dobra. Powiedzmy, że ci ufam.

Zatem przyszykowali olej i wylali go na tamtejszej bujnie rosnącej trawie, przynieśli strzałę z grotem specjalnie przygotowanym do podpalenia oraz garstkę żołnierzy stojących za nimi. Chcieli wykorzystać również drzewa, za którymi mogli się ukryć. Natomiast w zamku byli odważni ludzie, którzy broniliby go, choćby mieli przyplącić to życiem.

– To chyba najlepszy moment, abym powiedział ci, w jaki niepewny sposób można się stąd wydostać – powiedział Falach ze złośliwym uśmiechem.

– Słucham – odparł, oczekując cynicznej odpowiedzi.

– Trzeba zginąć, mając czyste sumienie. Upewnij się, że je masz – odpowiedział całkowicie poważnie.

– Już jadą, wodzu – odezwał się jeden z rycerzy.

– Jeszcze kilkaset metrów. Poruszają się niezwykle szybko.

– Dziesięć... dziewięć... – rozpoczął żołnierz.

– ...osiem... siedem... sześć... – zaczął Falach.

– ...pięć... cztery... trzy... – wznowił cały lud.

– Co oni odliczają?

– ...dwa... jeden...

– Ognia!

Nagle pierwszy szyk po strzale łucznika utopił się w ogniu.

– Uderzyć flanką!

Po wypowiedzeniu tego rozkazu wszyscy ruszyli, najeżdżając na wroga z boku, po czym nadziewali większość napotkanych Walkijczyków na swe włócznie. Ci, którym udało się uniknąć eniceńskich ostrzy, ginęli pod ciężarem galopujących wierzchowców. Na dobrą sprawę wokoło było tyle krwi, ile wody w dość dużych brodzikach, a w niektórych dalszych miejscach wyglądała jak rosa. Falach uderzał piechotę z dużego przysiadu, nadziewając żołnierzy na włócznie, a walkijską kawalerię, rozcinał mieczem, którego używał po odrzuceniu włóczni. Później zobaczył króla, który zdawał się płonąć, lecz zajęła się ogniem tylko jego zbroja, ponieważ większość zbrojmistrzów przyszykowała się na taką ewentualność i swego pana, nakładając szaty na grubą zbroję. Później Falach zatrzymał konia, patrząc na sytuację ludzi z tyłu, i zsiadł z niego, lecz na początku wyglądało to jak przysiad. Po drodze wyciągał z ciał nieboszczyków wbite

włócznie, a następnie przebijał nimi ciała wierzchowców, a później tego, kto upadł, dobijali łucznicy. Wszyscy się rozproszyli i gonili za sobą w wolnej potyczce na rozleglejszym terenie. Natomiast Falach zabijał piechurów mieczem, rozcinając im gardło tak, jak niedawno robił to Filip łucznikom w mieście, o które toczy się ten bój. Za to Filip włócznią przebił rycerza znajdującego się na koniu, a wierzchowca dogonił i dosiadł. Nauczył się tego, gdy przed rozpoczęciem przygód w tym świecie był niegdys z Beniaminem na obozie konnym.

– Uhu! Widzę, że dzisiaj starasz się nas zaskoczyć – krzyknął uradowany i zaskoczony umiejętnościami druha Falach, gdyż myślał, że ten stracił swe umiejętności jeździeckie.

– Ma się to coś – odparł Filip, po czym razem pospieszyli na odsiecz towarzyszom, a ci w jednym momencie rozcięli obie strony klatki piersiowej pewnemu rycerzowi, który spadł z konia. Biedak, gdyby nie to, że cios ten zabił go w ułamek sekundy, może by poczuł najokropniejszy ból oraz chrzęszczenie złamanych kości wraz z wilgocią krwi, która poleciała na wiele metrów. Na koniec ucięli głowę królowi i zabili łuczników stojących w szeregu ustawionym na tyłach. Wszyscy uciekali na widok tych wojowników. Wtedy Falach, zszedłszy z Filipem z wierzchowców, podniósł z ziemi łuk i kuszę, a następnie pozbył się jeszcze kilku uciekających. Podobnie uczynili walczący Enicenianie. Jednak lord wraz z przyjacielem stracili konie, a ich wrogowie musieli zarządzić odwrót w stronę rzeki, która płynęła niedaleko zamku. Tamci dwaj schowali się za drzewami i przebili swym orężem Walkijczyków, którzy nie w czasie usłyszeli rozkaz dotyczący odwrotu i biegali w kółko, nie wiedząc, co zrobić. Jednak w tym czasie, ci, którzy zdołali uciec przed wojowników w furii, w konsternacji próbowali naradzać się, aby wrócić w bezpieczne miejsce i umknąć Falachowi.

– Przecież to rzeka. Konie tędy nie przejdą, a ten cały Falach nas pozabija – powiedział król do lorda Bellira.

– Zostawcie konie. One zablokują przejście, a my schowamy się za tym wzgórzem. Falach wpadnie w naszą pułapkę.

Jednak strategia Enicenian była taka:

– Weźcie łuki, sztylety i wszystko inne, czym da się rzucać – rozkazał Falach, który zauważył, że żołnierze uznali chowanie się za drzewami za istotny element strategii.

Walkijczycy oczekiwali w tamtej chwili na zjawienie się lorda Falacha.

– Gdzie on jest? Myślałem, że zaraz się zjawi, a my go zastrzelimy – powiedział lord Walkii.

– Wychylę się i sprawdzę – odparł jeden z żołnierzy.

W tym momencie dął wiatr, a zwiadowca ustawił się w szlachetnej i harmonijnej pozie, po czym zobaczył rękę łuczника wystającą zza drzewa.

– Tutaj są!!!...

Jego głos zanikł wśród gradu strzał. Ruszyli do przodu i spotkali się w brodzie, gdzie szybko zwyciężył oddział Falacha. Woda zrobiła się jasnoczerwona od krwi zabitych walkijskich wojaków.

– Victoria!!! – zakrzyknął Falach, dzięki czemu wszyscy wiedzieli, że bitwa nareszcie dobiegła końca.

Wygrali, nie ponosząc praktycznie żadnych strat, i do tego w tak imponujący sposób. Przez późniejszy czas zaprzestano walk i żadne jednostka ani grupy z Walkii oraz Enicenii nie atakowały siebie nawzajem. Nie opłacało się, ani nawet nie wypadało wszczynać walk z takim mocarstwem, jakim wydawała się wówczas Enicenia. Warto dodać, że Falacha, jak i Filipa w Walkii nazwano Rycerzami Lwów oraz że bano się ich i omijano eniceńskie zamki szerokim łukiem. W końcu kraj ten był w stanie wojny z trzema innymi królestwami, a te również nie atakowały żadnego miasta należącego do króla Henryka. Można uznać, iż była to zasługa Rycerzy Lwów i ich przebiegłości oraz nieprzewidywalności, która zdawała się nie mieć granic. Ktoś w Enicenii zamierzał otworzyć zakon rycerski o tej samej nazwie, aby uczcić czyny Falacha i Filipa i ukazać je jako mistyczną legendę.

Lord Falach zostawił Bänqlue jednemu z eniceńskich rycerzy i miał zamiar po przybyciu do Andy powiedzieć królowi, że podbite miasto obecnie ma zaufanego władcę. Teraz jednak musiał wyjechać z samego Bänqlue. Wziął dwa konie z tamtejszej stajni, dopasował siodła dla siebie i Filipa, po czym powiedział:

– Wsiadaj!

– Znowu?!

– Przecież pamiętasz, jak w młodości nauczyliśmy się jazdy konnej. Poza tym podczas bitwy sam dogoniłeś i dosiadłeś jakiegoś wierzchowca.

Mimo niebycia przekonanym, Filip wsiadł na konia razem z lordem. Pożegnali się, wołając do każdego mieszkańca Bänqlue, a potem od razu pojechali do Andy, mając ze sobą prowiant i wytrzymując niewyspanie. To była pierwsza tak długa jazda w życiu Filipa. Jechali ponad jeden dzień. W końcu dojechali do stolicy. Filip właściwie zasnął na koniu, więc nie pamiętał momentu wejścia do wewnątrz tego grodu.

Zanim odbyło się planowane przez króla spotkanie, w kraju i tak toczyły się rozmowy, w których naradzali się przywódcy państwa i omawiali sytuację polityczną. Licznych rad udzielał również Filip, głównie w rozmowach z Falachem. Ten przekazywał wiele wartościowych rzeczy królowi, a były to głównie informacje na temat szpiegów, które Filip otrzymywał od wielu liczących się podczas wojny person. Filip jako jedna z niewielu osób potrafił rozmawiać i wyciągać informacje od ludzi, z którymi jego przyjaciel pertraktował głównie za pomocą miecza. Falach niezwykle cenił Filipa za te interpersonalne umiejętności. Jednak nie te rozmowy będą tematem mojej opowieści, gdyż w tym czasie miało miejsce inne ważne zdarzenie. Mianowicie Falach napisał w liście do Henryka XIII, aby pasował Filipa na rycerza.

Przy okazji zamierzam przybliżyć relacje, jakie panowały między królem Henrykiem a lordem Falachem. Jak wielu obserwatorów życia dworu zauważyło, Henryk zdecydowanie mniej cenił Falacha (żeby nie powiedzieć, gardził nim) niż tamten jego. Sam lord miasta Vareal miał wrażenie, że jest pupilkiem króla, ale z drugiej strony mógł być przez niego zwyczajnie wykorzystywany, gdyż był świetnym wojownikiem i dowódcą. Cokolwiek by nie zostało powiedziane, sprawa ta była niejasna, ale w każdym razie Falach podziwiał króla i był wobec niego wierny i był mu posłuszny, chociaż wiele rzeczy, które wkrótce się wydarzą, mogłyby wskazywać na coś zupełnie innego.

Jednak wracając do sprawy pasowania Filipa na rycerza, to aby się przekonać

o jego instynkcie i talencie do obmyślenia strategii, król zaprosił również jego do stolicy Eniceni – Andy na rzeczony towarzyskie spotkanie oraz naradę wojenną, na której znaleźli się:

lord Veluka, władający miastem o nazwie pochodzącej od jego imienia; lord Sull władający Werll, podbitym miastem mroźnej północy Jeluqe; Lord San, dziedziczący zamek Verhinxtone; lord Farll, przyjaciel króla, wyprosił u niego lenno; hrabia Porlet z Valkiriany, przyjaciel i (co najważniejsze) przyrodni brat Henryka XIII. Porlet był jednym z niewielu krewnych króla, choć nie był z nim przesadnie zaprzyjaźniony. Różnica wieku między nimi była ogromna, hrabia spotkał się z Henrykiem, dopiero gdy ten wrócił już jako żołnierz do swej rodzinnej wioski, a jedyne, co łączyło tych dwóch mężczyzn, to pokrewieństwo. Oprócz wyżej wymienionych do pałacu w Andzie przyjechało wiele innych ważnych osobistości.

Falach przyjechał ze swoim przyjacielem specjalnym powozem. Przemierzali w nim lasy i pola, pośród których znajdowały się miasta i wioski. Właściwie cała Enicenia była złożona wyłącznie z lasów oraz pól uprawnych. Wyjątkami w tym krajobrazie były przeważnie tylko, wznoszone niedaleko grodów, małe świątynie oraz szubienice, które również znajdowały się bardzo blisko większych miast. Gdy wóz dotarł na miejsce, Filip ujrzał największą kamienną budowlę w życiu. Całe miasto, niewiele mniejsze od znanych mu współcześnie metropolii, było otoczone marmurowym murem, a brama do tego grodu była wielkości dziesięciopiętrowych bloków wybudowanych w Polsce za rządów Edwarda Gierka, które Tomasz oraz Benjamin widzieli na co dzień. Pasażerowie wysiedli z powozu, który od razu odjechał w dal. Filip zapytał druha:

– I co teraz? Otworzą nam tę bramę?

– Mam nadzieję. Henryk powinien być już dawno to zrobić – oznajmił, po czym krzyknął: – Ej!

Po kilkudziesięciu sekundach brama została otwarta na oścież. Z murów wyłonił się sam król.

– Ha, ha! Witam was ponownie. Jestem zachwycony, że po raz kolejny mogę gościć tak wspaniałych ludzi! Moją wychowanką i ulubioną przybyszą z za świątów oraz jego...

– Kumpla? – próbował dokończyć Filip.

– Cóż to znaczy?

– To nasz lokalny język – odrzekł lord. – Slang, socjolekt osiedlowy. Tak bym to nazwał.

– Ach, Falachu, Falachu! Nigdy nie mogę cię zrozumieć. Ale mniejsza o to. Wchodźcie. W środku jest już pełno znamienitych gości, a ja myślałem, że już nie przyjdziecie. Ale jednak przybyliście na czas, bo postanowiliśmy wstrzymać się jeszcze z rozmowami.

Wprowadzono ich do pałacu, prowadząc przez ulice, targi, karczmy czy kamienice. Sala ta była niezwykle przestronna, pełno było w niej dekoracji, złocień, czerwieni i wielu innych rzeczy tak przyjemnych dla oka. Stół był wielką drewnianą dechą, przykrytą obrusem, na którym postawiono świece, naczynia oraz położono chleb i sztuce, a gdy zjawili się ostatni przybysze, podano na niego wiele wspaniałych potraw,

głównie standardowe, znane nam mięsa, ale było również wiele lokalnych i dziwnych wypieków i surrealistycznie wyglądających eksperymentów kulinarnych. Wielu zaczęło jeść, mimo iż nie należało wtedy tego robić. Król zwrócił swym gościom uwagę, a zaraz potem zaczął mówić główny gość – Filip. Co nietypowe dla jego charakteru, poczuł się uradowany, acz onieśmielony możliwością wygłoszenia mowy. Jednak nie zaczął od powitania innych gości i dziękowania za ugoszczenie jego, jak to zwykle się robić w naszym świecie, lecz postanowił rozpocząć swą tyradę od retorycznego pytania:

– Dlaczego wszczęliście w jednym momencie cztery wojny z czterema różnymi mocarstwami? – krzyknął, po czym szybko kontynuował: – Na samym początku powinniście namówić, Valkiranę Walkię i Jeluqę, aby razem rozebrać Rameński Akh, z którym i tak nieźle sobie radzicie. Wojna potoczyłaby się szybciej, byłaby dla nas łatwiejsza i bardziej „pokojowa” w stosunku do reszty kontynentu. Po, na przykład, dziesięciu latach, gdy reszta państw, słabszych militarnie, zapomni o naszej solidarności i wspólnej walce, wtedy napadniecie na nie i zdobędziecie znacznie szybciej kontynent.

– Ależ zaraz, Rameński Akh nie da sobie tak po prostu odebrać miast – rzekł lord Sull. – To grozi nam wieloletnimi prześladowaniami! Nawet jeżeli garść Enicenian przeżyje w tej wojnie, a zapewniam, że nie będziemy mieli w niej zbyt dużych szans, to czy będą w niewoli czy na wolności, to po naszym kraju zostanie rozsiany pasożyt rameńskiej kultury, a wszystko, co eniceńskie, zostanie wyplenione. Oni są fanatykami, którzy zrobią wszystko, by nas poniżyć lub nami wzgardzić, nawet jeśli my jesteśmy silniejsi.

– W sumie jeśli tak wygląda ta sytuacja, możemy to samo zrobić z Valkiraną. Ten kraj jest przecież w stanie naturalnego rozkładu i u szczytu kryzysu w państwie. Skoro ich kraj chyli się ku upadkowi, to Valkiranie się nam nie sprzeciwią.

– A reszta państw podpisze z nami pokój, czy tego chce czy nie – mówił lord Farll. – Tylko dlatego, że się nas boją i wiedzą, że jeżeli tego nie zrobią, splądrujemy wioski i utniemy głowę króla mówiąc: „Nie chcieliście pokoju, pokażemy wam jak wygląda wojna”.

– Takie samo będzie ich uzasadnienie do rozbiorów Valkirany – wznowił Filip.

– A Rameński Akh chętnie dokopie „niewiernym” Valkiranom – rzekł Veluka.

– Hurrra!!! – okrzyknęli zebrani.

## IV

Król Henryk długo stał w osłupieniu. Ta dziwna sytuacja, w której człowiek pojawiający się znikąd wykłada rzemiosło wojenne doświadczonym strategom, długo oddziaływała na władcę. Co prawda jego podwładni, którzy zostali zwołani na radę, wpadliby na pomysł sojuszu przeciwko jednemu z sąsiednich państw, lecz dlatego, że Filip pierwszy otrzymał głos, to wymyślenie tego posunięcia jest przypisywane właśnie jemu. Rozmowy toczyły się dalej, lecz tematy poruszane w dalszej części spotkania nie miały już tak wielkiego wymiaru, a wręcz posiadały charakter luźnej pogawędki i uczt. Na pożegnanie mówiono jeszcze:

- To świetnie, że się spotkaliśmy.
- Tak, kiedyś trzeba to powtórzyć.
- Rozmowa o wojnie była krótka i zwięzła.
- I tak trzeba trzymać zawsze.

Potem wszyscy opuścili pałac, otworzono bramę i pozwolono wszystkim wyjechać swoimi wozami. Wielu zachwalało dalej Filipa, ale inni mówili, że w ogóle go nie znali i nie miał prawa się wypowiadać na zebraniu tak elitarnych osób, albo że sami wpadliby na ten sam lub znacznie lepszy pomysł. Mimo to król Henryk czuł, że miał obowiązek docenić to zdarzenie i pogratulować bystrości swojemu nowemu podopiecznemu, chociaż był to tylko plan prowadzenia wojny, a nie zbawienia świata, ani nawet odnowy kraju. Tak czy owak król kazał zostać Filipowi w pałacu, a gdy wszyscy (wraz z Falachem) opuścili tamto miejsce, powiedział mu w cztery oczy:

– Naprawdę, nie wierzyłem, że to, co mówi Falach o swoim (zresztą zniechęconym) przyjacielu z innego świata, jest prawdą, ale zaskoczyłeś mnie mile. Nikt z naszych najbardziej zdolnych polityków nie wpadł na taki pomysł i nie poprowadził tak efektywnej narady – mówił, choć zdawał sobie sprawę, że wyolbrzymia zasługi młodzieńca. – Powiedz mi, sir Filipie...

– SIR? – przerwał szybko Filip, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

– Tak – odpowiedział łagodnie na niedowierzanie rozmówcy. – Właśnie zamierzam mianować cię moim rycerzem, ale chciałem cię przedtem o coś zapytać. Moje pytanie brzmi: Czy przysięgasz mi dożywotnią wierność na służbie i w obowiązku obywatela?

– Tak – odrzekł bez zastanowienia.

– Dobrze. Uważam, że będziesz niezwykle cenną osobą w szeregach mego rycerstwa. Jesteś niezwykle zdolnym wojownikiem i politykiem. A więc od kogo pobierałeś lekcje szermierki, a u kogo strategii?

– Talent do szermierki przyszedł mi niespodziewanie podczas mojej pierwszej bitwy, a strategia głównie od tego sztywniaka Falacha, mówiącego, że historia lubi się powtarzać lub aby uczyć się na błędach oraz czerpać dobre przykłady od naszych przodków.

– A więc Falach stoi za twoim wyszkoleniem. Zawsze uważałem go za dobrego człowieka, za przywódcę i przyjaciela czy też historyka, ale za nauczyciela jeszcze nie.

W takim razie czy chcesz udać się z nami na ucztę, a następnie na przygotowania do pasowania?

– Nie chcę zwlekać, więc pasujmy mnie od razu – powiedział z entuzjazmem.

– Ach, nie ma sprawy jeśli tak ci się śpieszy, to odbędzie się to teraz, w tym mieście. Nawet nie wiesz, jak długą i chwalebłą historię miało to miejsce.

– A ilu ludzi tutaj mieszka?

– Nigdy nie liczyłem.

– A jak stare jest to miasto?

– Zależy, od czego byś liczył początek jego istnienia. W przeciwieństwie do większości miast, to z początku nie był gród, lecz zwyczajna wioska. Jeden z moich poprzedników przeniósł tutaj swą siedzibę, gdyż jest to zwyczajnie centrum kraju. Prowadził wtedy wojnę ze wszystkimi swoimi sąsiadami. Chciał mieć jak najbliżej do każdego krańca państwa.

– I co jest w tym takiego chwalebного?

– To, że miasto zostało wybudowane rękami ludzi, stopniowo, dla władcy.

– Cóż... w każdym razie jest duże i ładne.

– Tak, trudno się z tobą nie zgodzić.

Zanim odbyło się pasowanie. Filip przyszedł Falacha, który akurat spożywał kolację w wielkiej jadalni, aby o wszystkim go powiadomić. Reakcja lorda była mało entuzjastyczna.

– Ha! – krzyknął, po czym zaczął się śmiać. – I to za to, że powiedziałaś o tym, co król ma robić?

– Nie wiem, ale chyba nie awansuje się kogoś do rangi rycerza z grzeczności.

– To prawda. Ci ludzie mogli się nie spostrzec, ale ja przecież wiem, że mówiłaś po prostu o rozbiorach Polski.

– No tak, ale to chyba nie jest zbrodnia.

– Oczywiście, że nie. W końcu historia to nauczycielka życia.

Obydwaj udali się potem na spoczynek, a następnego dnia Filip był już rycerzem na służbie u Króla Henryka XIII. Falach powiedział mu, że udają się na oblężenie Rillun – miasta Valkirany, gdzie stacjonuje król tego kraju – Ender. Mówili też, że będą walczyli w pierwszym szyku bez wierzchowca, za to z łukiem lub kuszą. Lord miał obowiązek wyjaśnić Filipowi, jak będzie wyglądał bój. Poprosił go, aby wszedł z nim do komnaty przydzielonej lordowi w stolicy. Ta była znacznie większa, przytulniejsza oraz jaśniejsza niż ta, w której ostatnio sypiał Falach. Zbudowana wyłącznie z szarych kamieni, ale posiadała wygodne łóżko z grubą i kolorową pościelą, otwór w ścianie otwierający widok na miasto, osobne wejście do niewielkiej, prowizorycznej łaźni, stół, szafę oraz naprawdę piękne, nieznane wcześniej Falachowi kwiaty. Gatunki, które kwitły w tamtej doniczce, były tak fantastyczne i zmyślnie, że aż trudno było je opisać nieabstrakcyjnymi określeniami. W każdym razie miały kształty przypominające sylwetkę smoka i równie smocze, ogniste i wyraziste kolory. Oprócz tego Falach otrzymał nowy miecz. Jego własny oręż znajdował się w Vreal i póki nie przybył do swojego miasta, nie miał okazji wziąć do ręki tej broni. Nie nadał jej wcale żadnego imienia ani nie rozpowiadał legend na temat swojego własnego miecza, ale niezwykle go lubił i zawsze pragnął nim walczyć.



Przez ostatnie dni nie miał ku temu sposobności, a miał jeszcze na długo pozostać w Andzie.

Filip poszedł do tego pomieszczenia, tak jak mu kazano. Falach od razu zaczął opowiadać:

– Będzie to bitwa inna niż dotychczasowe. Zwykle z miasta wychodzi i wchodzi się często, a do zamków rzadziej, więc nie będzie bramy. Za to drabiny lub wieża oblężnicza. Zanim dojdzie pod same mury, można się za nią kryć przed strzałami z zamku.

– A więc będzie ciekawie – odrzekł Filip.

– Owszem, jednak nie możemy być nierozważni. Oczywiście nigdy nie możemy, ale wtedy będziemy musieli szczególnie zwracać na to uwagę. Nie kombinujmy nic, zanim zjawią się posiłki. Będziemy wyposażeni w broń miotane i miotające, ale nie wychylajmy się z nimi zbytnio.

Zapadła na chwilę cisza. Filip zniecierpliwił się i zapytał:

– To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

– Na razie tak. Przecież nie nauczę cię teraz całej sztuki oblężniczej. Zapoznasz się z nią w praktyce. A ty masz jakieś pytania?

– Nie.

– Więc idź.

Lord udał się od razu na spoczynek, a jego rycerz opuścił jeszcze tego dnia miasto, aby wykapać się w rzece znajdującej się nieopodal stolicy. Zmęczył się tą wędrówką, więc po powrocie położył się od razu w swym pokoju.

Władca Enicenu nie chciał jechać osobiście na oblężenie valkiriańskiej fortecy, gdyż pragnął w tym czasie zaoferować niejakiemu królowi Müttejiemu pokój, stając z nim twarzą w twarz. Mütteji rządził Walkią, a stolicą tego kraju było Atenberg. Henryk przybył w towarzystwie swojej świty oraz z ludźmi, których można by nazwać jego ochroniarzami. Gdy po dniach wędrówki znalazł się pod Atenberg, Mütteji niespodziewanie powitał króla w miarę serdecznie.

– Kogóż to ja widzę? – zakrzyknął radośnie Mütteji od razu po wyrznięciu przez zamek. – Czyżby to był słynny i wojujący z całym moim król Henryk?

– Tak, to ja, Mütteji. Tym razem pragnę ci oznajmić, że już nie musisz się o nic bać.

– Jak to „bać”? Czy ja się czegoś boję?

– Tak. Mojego gniewu. Ale nie musisz już ze mną wojować, wystarczy, że zgodzisz się na zawarcie pewnego paktu.

– Dobrze. Zapraszam cię do mojego zamku, jeśli masz coś ważnego do powiedzenia. Chociaż nie. Sam zejdę do ciebie.

Gdy Mütteji znalazł się pod murami swojej siedziby, począł słuchać słów eniceńskiego władcy.

– Doszedłem do wniosku – zaczął Henryk – że nie musimy wszyscy ze sobą walczyć. W końcu nikt na tym nie zyskuje, a wszyscy na tym cierpią.

– Ale mów konkrety.

– Mamy zaatakować Valkirianę. Mimo że kraj ten jest właściwie cały w brudzie

i pleśni, jeśli chodzi o władze, które tam zagościły, to kawałek tamtej ziemi powinien być dla nas atrakcyjny, a więc może ty też byś mógł pomóc nam w takim boju z Valkirianami. Nie musiałbyś się specjalnie wysilać, a część podbitego obszaru będzie pod twoim władaniem.

Mütteji nie odmawiał Henrykowi, gdyż sam nie miał zamiaru pozostawać obojętnym wobec słabnącej Valkiriany. W takim układzie wystarczyłoby jedynie czekać na swoich sojuszników, aż ci załatwią całą robotę za ciebie. Król Henryk od razu skierował się w stronę Andy, gdzie zjawił się już po kilku dniach.

Nie można zapomnieć, że w tym czasie trwało obleganie niewielkiej, acz warownej fortecy, w której przebywał inny król, tym razem valkiriański – Ender. Oblężenie Rillun miało nastąpić z nienacką, ale mimo to król Ender był w miarę przygotowany do ataku. Był właściwie pewien, że w ciągu kilku następnych dni jego zamek zostanie najechany. Cały czas stacjonował w tej fortecy, ale nie był pewien, czy będzie w stanie się obronić przed wojskiem dowodzonym przez słynnego Falacha. Legendy o tym jakoby lord dowódca z Vreal był niepokonany, dotarły do uszu samego Endera i nawet on musiał traktować je poważnie. Obecny król Valkiriany chciał jeszcze kogoś się poradzić, dlatego szukał swojego doradcy – Valdammera. Jediną rzeczą, której się dowiedział, było to, że ów młody mężczyzna znajdował się obecnie poza zamkiem. Nikt nie wiedział, dokąd ten wyjechał, ani w jakim celu, ale wiadomo było, że miał wrócić następnego dnia. Aby nie zaprzętać głowy żadnej innej osobie, wziął ze sobą dwóch żołnierzy. Powiedział im, że będzie zwyczajnie omawiał strategię bitwy i dlatego wojacy poszli ze swoim panem do jakiegoś tajnego pomieszczenia w podziemiach zamku, a wtedy król zaczął mówić:

– Słuchajcie! Wybrałem was losowo, ale mam nadzieję, że będziecie potrafili dochować tajemnicy, szczególnie, że przekazuje ją wasz król.

– Tak – odpowiedzieli obaj.

– Dobrze. Myślę, że mogę zacząć mówić. Nie jestem pewien, czy wygramy nadchodzące starcie. Przewiduję, że będę zmuszony uciec.

– Jak to? – spytali się z gorszeni.

– Po prostu jestem królem. Nie mam następcy. Nie potrafię walczyć i nie chcę trafić do niewoli. Poza tym Valkiriana potrzebuje władcy. Pojmujecie to?

– Dlaczego mamy to robić? – pytał jeden. – Zabijesz nas, jeśli odmówimy. Jesteś słaby i nie masz żadnego poparcia.

– Żaden człowiek mnie już nie popiera. Za to mam pieniądze.

– Sądzisz, że damy się przekupić? – mówił drugi.

– Taką mam nadzieję. W końcu jesteście tylko ludźmi, a nie świętymi.

Chwilę milczeli, ale po krótkiej naradzie odrzekli z przekonaniem:

– Dobrze.

– Ale pamiętaj, że nie dość, iż nie masz poparcia, to jeszcze wielu chce cię pokonać – przypomniał pierwszy. – Jutro wróci tutaj Valdammer. Wiesz, co on robi za twoimi plecami? Podburza przeciwko tobie rycerstwo z miasta i całego kraju! Nie masz szans, jeśli uciekniesz, a Rillun przetrwa bitwę. Valdammer cię odnajdzie i zabije. Twoje przedsięwzięcie to jedna wielka loteria! Ryzykujesz życie swoje i nasze. Na twoim

miejscu wolałbym być wzięty do eniceńskiej niewoli.

Ender po tej rozmowie miał obowiązek wrócić do swoich codziennych zajęć oraz do sposobienia się do bitwy.

Następnego dnia Falach musiał zbudzić wszystkich mężczyzn w zamku, aby udali się przed zamek w pełnym rynsztunku. Poszedł tylko jeszcze do zbrojowni i przekazał Filipowi nowy ekwipunek. Został dostarczony kufer z pancerzem, a sam lord przyniósł wielki żelazny miecz i wręczył go osobiście swojemu przyjacielowi, przy czym powiedział:

– Ty głupku. Powinieneś po to wszystko przyjść sam.

Filip wziął do ręki ową broń i zaczął nią wymachiwać.

– Ale ona mi nie pasuje. Jest nieporęczna i ciężka – mówił.

– Nie musisz jej używać. Jest to po prostu zwykły miecz. Ja ci tylko pomagam, ale to ty jesteś kowalem własnego losu. Jeśli kujesz oręż ze stali, sam decydujesz, jakie runy zostaną na nim wyryte. Inaczej każdy będzie ci dyktował, kiedy masz spać, kiedy jeść, kiedy pić i kiedy umierać.

Te słowa brzmiały jak wymuszone, ale dość mądre. Benjamin zawsze zdawał się umieć przemawiać patetycznie i kierować się w swym życiu wolnością i honorem. Teraz jeszcze tylko trzeba było włożyć pancerz. Filipa i Falacha uzbroił ten sam giermek. Potem zaczęli iść przez miasto, aby wyjść poza mury, a gdy znaleźli się w miejscu, w którym żyli cywile, Filip zapytał jeszcze przyjaciela:

– A skąd ty masz tę zbroję?

– Tak samo jak ty, dostałem ją tutaj.

– A wcześniej jaką miałeś?

– Też mi ją dostarczono tuż przed bitwą.

– Czyli nie miałeś własnej.

– Mam. Jest ona w Vreal. Tam trzymam swoją zbroję, ale najbardziej cenię sobie własny miecz, którego niestety nie mogę teraz używać. Kiedy wrócę do własnego miasta, to się zmieni. Jestem do tej broni bardzo przywiązany.

Obydwaj opuścili strefę mieszkań, aby dołączyć do czekających tam żołnierzy. Słońce już dawno wstało, a niewielu ludzi było gotowych do starcia. Mieli złe przeczucia co do przebiegu bitwy, lecz to, co się wkrótce miało wydarzyć, zniweczyło wszelkie złe myśli.

Kolejne etapy wyruszania przebiegały prawidłowo. Wszyscy zwarci i gotowi czekali na decyzję Falacha. Ten dał rozkaz ruszenia za sobą, a wojownicy tak też zrobili. Szli w stronę Rillun. Po drodze zatrzymali się tylko raz w jednej z eniceńskich wiosek, aby spożyć posiłek. Wędrówka toczyła się po myśli lorda. To była jedna z najdłuższych podróży, w których wziął udział Filip. Jednak nie narzekał wcale na nic i nie skarżył się na żaden dyskomfort, może dlatego że zrozumiał, iż jego przyjaciel do tej pory uważa go za kogoś słabego, i trzeba sprawić, aby zmienił o nim mniemanie. Popisy w walce należało zostawić na później, a zacząć od zwykłego spokoju i dyscypliny.

Po ponownym zajściu i wzejściu słońca, gdy wojska Falacha dotarły do Rillun, w mieście tym wybuchła panika.

– Królu, mamy nieprzyjaciół – powiedział jeden ze sług Endera, który przybył do

sali reprezentacyjnej króla.

– Wiesz, co robić.

– W tym rzecz, że nie wiem – odparł zaniepokojony.

– Wszystko zawsze muszę za was robić – powiedział, a potem poszedł na zamek i zaczął dawać rozkazy swoim poddanym. – Łucznicy, na pozycje! Rozstrzelać kogokolwiek, byleby było dużo krwi i zero nieprzyjaciół.

Król Ender postanowił wziąć ze sobą jeszcze jednego człowieka do pomocy w ucieczce. Nie myślał wtedy o tym, czy będzie on mógł go wydać lub utrudnić ten czyn. Tak czy inaczej, potrzebował jednej osoby, która by czuwała, i dwóch, które by pomagały królowi przygotować się do wyjścia. Powiedział do przebiegającego obok żołnierza:

– Chodź ze mną! Musisz mi w czymś pomóc.

Mężczyzna zgodził się i pobiegł ze swoim panem oraz dwoma innymi wojakami.

Wtedy pod murami zamku można było dostrzec zmierzające w stronę lorda Endera oddziały Enicenian, którzy przywieźli ze sobą wszelkiej maści obiekty służące do przeprowadzania oblężeń. Rillun nie było dużym grodem, niewiele różniło się obszarem od dość dużego hipermarketu, gdyż właśnie takie skojarzenie miał Filip. Ten rozmyślał tylko nad wielkością obiektu, który zaraz miał być zaatakowany, ale to w tej chwili nie było najważniejsze, ponieważ obrona nie mogła zależeć od tego, czy obiekt, który może zostać przejęty, jest duży czy nie. Dodatkowo Falach musiał przyznać panu tego zamku, że potrafił bardzo dobrze zadbać o ochronę swojej posiadłości. Zamek nie był otoczony ani fosą, ani wokół nie znajdowały się żadne pale, które miałyby utrudniać dostanie się do środka nieprzyjaciółom, a mimo to eniceńskie wojska nie mogły sobie poradzić z jego obrońcami. Zaraz po tym, jak władca zamku dał znać swoim ludziom, wszyscy łucznicy oraz kusznicy rozpoczęli ostrzał. Stanęli za blankami lub wyglądali z okien w najlepiej ukrytych komnatach, napięli łuki i czekali na zbliżenie się któregoś z najeźdźców. Gdy zdecydowali się wystrzelić, wśród wojsk Falacha słychać było świsty strzał oraz jęki umierających. Aczkolwiek jego ludzie poczęli bronić się bez wahania. Lord dowódca oraz Filip wraz z większością żołnierzy schowali się za wieżą oblężniczą, a następnie zaczęli razem ją pchać. Machina ta była właściwie wielką budowlą na kółkach, którą stworzono z drewna. Posiadała trzy poziomy, na których mogli przebywać żołnierze, oraz oczywiście mostek, który można było w każdej chwili spuścić, aby przeszli po nim wojownicy i mogli rozprawić się ze swoimi przeciwnikami znajdującymi się w jakimś niedostępnym miejscu. Strzelcy z Enicenu co jakiś czas wychylali się zza owej maszyny i (przeważnie celnie) kierowali swoje pociski w stronę łuczników będących na zamku, pomiędzy blankami. Zaś król Valkirany wspinał się po poziomach zamku, żeby dojść na górę i oglądać swoje „zwycięstwo”. Jednak nie było mu dane obserwować wygranej jego ludzi, gdyż po kilku minutach wieża dotarła do wyznaczonego miejsca, a Falach rozkazał opuścić mostek. Wódz zasłaniał się tarczą, aby ochronić się przed gradem strzał, jednak na jego nieszczęście jego osłona się roztrzaskała. Filipowi, jako człowiekowi z naszego świata, ta sytuacja sprawiłaby trudność i przede wszystkim groziłaby mu śmierć z dziesiątkami grotów w ciele. Falach natomiast tracąc swą osłonę, miał lżej w rękach i dzięki temu szybciej dobiegł na wieżę niż reszta jego wojska.

– Chronić lorda! – krzyčeli Enicenianie.

Poddani króla Henryka już przeszli przez próg zamku, lecz nie mogli dostrzec niczego poza korpusami swoich przeciwników, którzy zjawili się tam natychmiast i starali się bronić grodu oraz swego pana przed wściekłymi Enicenianami. Podwładnym Falacha udało się wejść już prawie całkowicie do zamku, a wtedy mogli już łatwo dostrzec, jak wyglądało jego wnętrze. Nie widać było tam nawet śladu życia. Nie było żadnych rozstawionych namiotów, żadnych komnat, w których mogliby przebywać kapłani, ani niczego innego. To miejsce było po prostu ubogie i brzydkie. Enicenianie jednak dalej napierali i radzili sobie coraz lepiej ze swoimi wrogami. Szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę najeźdźców.

Gdy trzech valkiriańskich żołnierzy oraz ich władca biegli korytarzami znajdującymi się w dolnej części zamku, nie obyło się bez trudnych pytań. Dwóch mężczyzn szło z tyłu i na samym przodzie, trzymając pochodnie, które rozświetlały tę mroczną drogę. Pomiedzy nimi siedł król oraz zwerbowany przed chwilą wojownik, który właśnie w tamtym momencie miał w rękach cały bagaż króla, potrzebny podczas wielkiej ucieczki przed wojskami Falacha. Gdyby mu się udało, a Ender pozostałby anonimowy do końca swoich dni na tamtym świecie, na pewno ktoś musiałby sprawować pieczę nad krajem, a bardzo prawdopodobne, że byłby to doradca Endera – Ventenner. Teraz nikogo nie obchodził los Valkiriany ani tym bardziej to, czy król przeżyje na uchodźstwie lub czy nie zostanie złapany i zniewolony przez Enicenian. Priorytetem było odesłanie Endera jak najszybciej i zobaczenie, w jakiej sytuacji są obrońcy zamku, gdyż wygranie bitwy i obronienie tej fortecy było jeszcze w zasięgu Valkirian. Mężczyzna niosący bagaże zapytał jeszcze króla:

- Panie! Czy na pewno chcesz uciekać?
- O co ci chodzi? Co innego mam robić?
- Walczyć! Obrona miasta jest zadaniem nas wszystkich.

Gdy wypowiedział te słowa, król zatrzymał się na chwilę i powiedział:

– Nie będziesz mówić, co mam robić i co jest moim zadaniem. Cokolwiek się za chwilę nie wydarzy, póki co jestem twoim królem i to ty masz mnie słuchać.

Potem wszyscy czterej pobiegli dalej, aby dostać się do pokoju króla, w którym mieli zebrać najważniejsze rzeczy, a potem od razu dać swemu władcy uciec.

Wielu Valkirian dalej się śmiało, ale przestało im być do śmiechu, gdy wojsko obróciło w perzynę obrońców jednego z najważniejszych miejsc w zamku – tuż przy jego najważniejszych fortyfikacjach, czyli przy górnej części murów. Tam znajdowały się blanki, stamtąd też biegły schody na dół i korytarze w stronę komnat. Właśnie w tamtym miejscu odbyła się prawdziwa rzeź walkijskich łuczników. Jedno z najsilniejszych wojsk zachodu zostało zmasakrowane przez „czerwonych rycerzy”. „Czerwoni rycerze” to kolejny przydomek, jaki otrzymali eniceńscy wojownicy, a trafił do nich przez kolor, jaki przybrały ich zbroje od krwi przeciwników. Pół godziny później przy głównych fortyfikacjach zamku nie było żadnego obrońcy, tylko krew, która spływała na trawę przy zamku. Byli tam również rycerze z Enicenu, jednak zeszli oni na dół, nie przewidując niebezpieczeństwa ani nie rozważając spenetrowania komnat. Pobiegli w stronę tych łuczników, którzy zdążyli zbiec. Falach bez tarczy wyginał swe ciało, aby uniknąć strzał. Jedyne, co miał na sobie, to ciężka lordowska zbroja, w której najbardziej rzucał się

w oczy przeciwników. Przyspieszył kroku, podskoczył, rozciął klatkę piersiową młodego łucznika i pobiegł dalej. Wbiegł po schodach zamku, wcześniej rozkazawszy swoim ludziom się rozdzielić. Weszli oni do podziemi w zamku Rillun. Okazało się, że są rozleglejsze niż reszta zamku i nie było wcale trudno o zgubienie się w takim miejscu.

W chwili, w której ucieczka króla Valkirany prawie się udała, w podziemnej komnacie służącej za prywatny pokój władcy, z której można wyjść przez długi tunel prowadzący do góry, przeprowadzona została taka rozmowa:

– Dajcie mi konia. Ale najpierw sprowadźcie mnie po schodach, a konia posadźcie poza zamkiem. Ja do niego dobiegnę – rzekł władca do swych dwóch poddanych, którzy pomagali mu w ucieczce.

– A co z nami? My też chcemy przeżyć – mówił jeden z żołnierzy.

– W takim razie walczyć za waszą zapłutą ojczyznę! – Słowo „ojczyzna” wypowiedział ze wstydem, gdyż wiedział, że nawet w jego rodzimym języku to słowo, oznaczające kraj przodków, nie pasuje do tak niegodziwego wywodu.

– Ty tyranie! Nienawidzę cię! – Wojak uderzył swojego króla w twarz.

– Głupcze! – krzyknął król ciężkim i chrypliwym głosem, chwytając swój miecz.

Po tych słowach słudzy usłyszeli brzęk klingi i to, jak została zanurzona w ciele towarzysza. Przełknęli ślinę, wyciągnęli ostrza i z radością patrząc na twarz króla, która wyrażała żal za swój czyn, wstyd oraz strach, zadźgali go na śmierć. Ich władca upadł martwy na parkiet. W tym momencie wbiegła służka króla i upuściła dzban z wodą, patrząc na zakrwawione sługi i zmasakrowane ciało króla, któremu za życia była bezmyślnie oddana, ponieważ nie wiedziała o jego krwawych rządach ani terrorze, który stosował wobec swoich poddanych. Zresztą w kwestii polityki nie była zbyt postrzegawcza. Zaczęła więc płakać i rzuciła swoje dziewczęce, ale szczere obelgi na mężczyzn. Potem dodała:

– Potwory! Potwory!

– Zamknij się, paniusiu. To był głupek i narcyz, do tego doprowadziłby nas do upadku – mówił Valkirianin, jakby chciał opowiedzieć cały życiorys byłego pana, aby przemówić do rozsądku kobiecie, która aż nadto kochała swego władcę. Wojak dodał jednak jeszcze, że wolałby służyć „Henrykowi Najgłupszemu” niż królowi Enderowi.

– Nie pogarszaj sytuacji, panie bracie – upomniał z szacunkiem druha drugi sługa byłego króla. – Ta kobieta jest w szoku, bo nie wie, co jej kochaś tak naprawdę robił. Każdy Valkirianin na ten widok by tańczył i śpiewał z radości.

Wielu ludzi dworu valkirińskiego uważało, że kobieta ta ewidentnie jest kochanką Endera. To jednak nieprawda, mimo iż ta młoda dziewczyna podkochiwała się w swym władcy i nawet tego nie ukrywała. Jednak król miał dość kobiecego charakter, a oprócz wyglądu nie miał nic z mężczyzny i z pewnością nie można było nazwać go „mężem stanu”. Służąca jednak łkała i krzyczała dalej:

– Oni nas zabijają! Zadźgają i wypatroszą, te okrutne świnie – mówiła o wojsku Falacha.

– Mocarne świnie, chciałaś powiedzieć. Widziałaś, co oni robili w innych miastach? Wiesz, że nazywano ich Rycerzami Lwów? Nie wiesz, jak potężna jest Enicenia? Pod przywództwem takiego króla, jakim jest Henryk, i za takim wojownikiem

jak Falach poszedłbym na śmierć z uśmiechem na twarzy, by skończyć z naszym BYŁYM królem.

Po chwili milczenia wbiegł do komnaty oddział eniceński. Z początku Falach nie rozpoznał zwłok króla Valkiriany, więc nie wiedział, że wypadało schować broń. Jednak słudzy Endera nie mieli się czym bronić, więc Falach i tak nie miał prawa ich zabić. Za to ruszył dalej i rozglądał się za niedobitkami lub uciekinierami wśród wojsk wroga. Resztę uzbrojonych, lecz poddających się Valkirian zakuł w kajdany i ruszył dalej. Zamek został przejęty, więc trafił pod władanie Henryka, a wieść o śmierci króla Valkiriany rozeszła się szybciej, niż można było przypuszczać, mimo iż w kraju ludzie właściwie nie zauważyli zmian. Nic zresztą dziwnego. Mimo iż najlepsi valkiriańscy patrioci najchętniej urządziliby z tego powodu wielki bal w stolicy, to nie było ich w kraju zbyt dużo. Większość mieszkańców Valkiriany to „lud tubylczy”, który nie należał do narodu Valkirian, lecz żył obok niego. Nie obchodziły go losy państwa, czyli ani jego niepodległość, ani to, czy król godnie ich reprezentował, a właśnie to drugie było największym problemem ich byłego władcy.

Zamek, w którym ukrywał się Ender, został zdobyty, lecz państwo dalej istniało i miało całkiem niezłe zaplecze fortec i miast. Co prawda państwo nie było w rozkwicie, ale dalej miało szanse na przetrwanie. Z racji tego, że król nie miał potomków, jego następcę wybrano w wyborach, w których uczestniczyli valkiriańscy wasale. Wybrali oni Valdammera – dwudziestoletniego doradcę króla, a imię, które przyjął jako nowy król Valkiriany, brzmiało: Brados I. Ten wysłał raz swojego posłańca, który powiedział osobiście Henrykowi:

– Nasz nowy pan pragnie, abys mu oddał Rillun w zamian za kilka innych valkiriańskich miast.

– Dlaczego tak tego pragnie?

– Rillun to najbardziej warowna i potężna forteca na całym cywilizowanym świecie. Król chce tam stacjonować, a ty będziesz mógł czynić z częścią jego ziem, które ci podaruje, co będziesz chciał.

– Zależy to od tego, jakie obszary mam dostać. Zastanowię się nad tym i powiem waszemu władcy, jak zadecydowałem.

Henryk przystał na podane warunki, a więc oddał Bradosowi Rillun, a w zamian otrzymał kawałek ziem z południa Valkiriany. Falach przeniósł się wtedy ze swoimi ludźmi z powrotem do Andy, gdzie miał przecież wcześniej stacjonować.

Kraj Bradosa pozostał w nieładzie i dalej wymagał wielkich reform, a traktat pokojowy między Rameńskim Akh'em, Walkią i Enicenią jeszcze bardziej utrudniał sytuację, w której został postawiony nowy władca. Lęk przed tymi mocarstwami wśród jego ludu wzrósł, a ten niepokój przeobraził się później w niemoc i brak jakiegokolwiek nadziei. A wiemy przecież, że nadzieja umiera ostatnia. Tak oto rozpoczął się upadek Królestwa Valkiriany. Choć trzeba dodać, iż owa wojna i cały rozlew krwi, który nastąpił wraz z pierwszymi wygranymi Henryka, nie miał miejsca z powodu Eniceniei, lecz Valkiriany, gdyż ta bez przerwy prowokowała do ataku. Te prowokacje miały bardzo prosty przebieg, gdyż Valkiriana prowokowała wyłącznie swoją słabością. Enicenieianie nie mogli nie wykorzystać tej sytuacji, gdyż wystawiliby samych siebie na pośmiewisko.

Jedynym wyjściem było wszczęcie walki ze słabym państwem... lub oczywiście przegrać tę wojnę.

Król Henryk chciał sprostać wyzwaniu, które ciążyło na nim. Tym wyzwaniem było oczywiście przeprowadzenie planu przedstawionego przez Filipa. Należy podkreślić, że plan ten zakładał wygranie wojny, a nie tylko uciszenie konfliktu, który panował między Enicenią, Walkią oraz Rameńskim Akh'em, kosztem Valkiriany. Król jednak od początku słyszał z ust swoich wasali opinie, że ta wojna powinna zostać jak najszybciej zakończona. Nie zmieniało to faktu, iż wygranie jej przyniosłoby sławę i chwałę narodowi eniceńskiemu, chociaż od samego początku kraj ten miał respekt państw na całym kontynencie. Jednak cóż jeszcze przyniosłaby wojna? Śmierć tysięcy ludzi? Zniszczenie? Zasiałaby zło w sercach ludzi? Co wojna robi z ludźmi, wiedzą tylko ci, którzy ją przeżyli. Inni uznają, że to tylko dalsza część polityki. Król Henryk, jako jeden z niewielu, traktował ją niczym kwestię wyłącznie prestiżu. Inni liczyli się z tym, że mogą zginąć lub stracić swą niepodległość, czy nawet osobistą wolność. Henryk w ciągu lat swych rządów nabrał cynizmu i obojętności na ludzkie życie. Lecz nie można było go za to winić. To naturalne, że człowiek z taką władzą w rękach traci zmysły. Lub po prostu dobry człowiek nie byłby dobrym politykiem.

Miecz króla, przedmiot utożsamiający człowieka z jego rolą, był coraz bardziej stary, podobnie jak jego posiadacz, lecz równie mocny i użyteczny jak na początku. Można powiedzieć, że był tak samo doświadczony, ponieważ wszystkie bitwy stoczone przez Henryka, zarówno te wygrane, jak i te, w których Enicenie ponieśli sromotną klęskę, były zwieńczone potęgą miecza bohaterskiego męża, który w przyszłości stał się królem.

Henryk wychował się w zwykłej wiejskiej rodzinie. Jego rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo. Był jedynakiem. Nieciekawe, momentami wręcz pieszkie życie budziło w nim chęć do działania. Po prostu chciał wyjechać.

Pewnego dnia postanowił służyć w eniceńskim wojsku, choć znalezienie się tam nie było wcale łatwe. Wydawało mu się czasami, że zrobił w ten sposób wyłącznie na złość swym rodzicom, którzy zawsze troszczyli się o syna, ale prawda była taka, że od początku chciał poznać w swym życiu smak przygody. Ta przygoda trwała nie tylko, gdy walczył w armii, ale przede wszystkim, gdy z własnej inicjatywy toczył boje na arenach czy tłukąc się ze zwykłymi prostaczkami i bandytami oraz kiedy dokładał wielu starań, aby w końcu móc znajdować się w szeregach eniceńskiej armii. Najpierw jednak musiał kupić broń. Jego tułaczka mogła mieć miejsce tylko dzięki temu, że utworzona przez niego kompania miała dostęp do sporej ilości złota. Byli to bogaci ludzie, którzy nie należeli jednak do żadnych zamożnych rodzin. Gdy powiedział, że wybiera się do wojska, ci dali mu część swoich bogactw. Dzięki nim mógł udać się do niejakiego miasta Arlem, a tam kupić dowolny oręż. Wziął pewien niezbyt wyróżniający się estetyką, ale bardzo poręczny i ostry. W Enicenie na ogół nie ozdabiano broni, gdyż te zwyczaje nie były typowe dla plemion, które zasiedliły ten kraj. Za to Arlem było sanktuarium sztuki uzbrojenia z całego świata. Spośród najróżniejszych twórców ludzkiej wyobraźni i pięknych okazów owego rzemiosła ten najbardziej niepozorny, bez wrytych na rękojeści ornamentów symbolizujących jakieś wzniosłe treści, bez tajemniczych run na



ostrzu, trafił w ręce przyszłego króla Henryka i towarzyszył mu przez całe życie, w tym służbę w wojsku. Był tam wtedy, gdy trwał wielki konflikt między Enicenią a Valkiriana, a trwał on do czasu, kiedy Falach znalazł się z Filipem w Eniceni. W roku, w którym wybuchła dodatkowo wojna z Rameńskim Akh'em, Henryk (wtedy Benehamon) wykazał się niezwykłym heroizmem, robiąc zamęt wśród wrogich sił. Stał się nieoficjalnym dyktatorem, a po śmierci ówczesnie panującego króla ogłoszono go następcą tego monarchy. Poprowadził do boju naród Enicenian. Po bitwie nazywanej Bitwą Tysiąclecia władca nadał imię swemu ostrzu w prastarym języku, używanym jeszcze przed przybyciem ludzi z za świata. Imię to brzmi Burnuehild. Od tamtej pory miecz ten był najpopularniejszym, a uważanym przez wielu za największy symbol narodu, którym panował już wtedy Henryk. Zastanawiano się nawet nad osadzeniem tego oręża na fladze państwa Eniceni.

Zły zwiastun przyszedł wraz ze zgubieniem go na polach jednego z obszarów Valkirany. Mówiono, że tak jak jego miecz zniknie, tak król przyniesie zgubę narodu. Właśnie w tamtych dniach rozpoczęło się *Genesis* upadku Eniceni. Falach nie przejmował się pesymistycznymi wróżbami, a jedynie, za wszelką cenę, choćby miał niegodnie zginąć lub trafić do niewoli czy zwieść swój lud w przepaść, chciał podbić Valkirana, a później inne królestwa na kontynencie. W tym czasie stoczono trzy wielkie bitwy i przeprowadzono siedem równie imponujących oblężeń. Oblężenia, jako pasja Falacha, były najczęściej z nim utożsamiane. Wziął udział w aż pięciu takich starciach. Wojownicy mieli okazję ujrzeć go w tylko jednej, niezbyt imponującej bitwie na valkiriańskich polach na granicy z Enicenią, krzyżując tam miecze z chłopskimi powstańcami i z popierającymi ich wojskami Bardosa. Tam również niewielu ludzi mogło mu dorównać w walce, jednak trudno było mu popisać się miażdżeniem wroga i ciągłym zabijaniem valkiriańskich wojowników, gdyż walka toczyła się na bardzo dużym obszarze, a jej uczestnicy nie byli gęsto rozmieszczeni. Król Henryk natomiast nie był pogrążony w rozpacz ani nie dolegała mu żadna choroba. Władca walczył wraz z poddanymi i wziął udział w dwudziestu czterech bojach. Wśród nich było trzynaście oblężeń i jedenaście bitew na otwartej przestrzeni. Z jego ręki padły setki wrogów, a pod jego stopami wylało się wiele krwi.

Tak jak przewidywano, przyszedł czas na ostateczne starcie między Valkirianami i Enicenianami. Mieli oni stoczyć ze sobą bitwę na obszarze zwanym Galfast, znajdującym się na granicy Eniceni i Valkiriany, a który nadawał się najlepiej do tak wielkiej batalii. Okolica ta była prawie całkowicie pusta, a poza wysoką trawą oraz kilkoma pagórkami nic nie wystawało poza poziom ziemi. Na horyzoncie można było dostrzec tylko góry, które właściwie otaczały pole walki. Galfast było miejscem, wokół którego znajdowało się więcej gór niż gdziekolwiek na kontynencie. Masywne wzgórza były zjawiskiem typowym dla zachodu Eniceni oraz wschodu Valkiriany i Walkii. W tych miejscach nikt nie żył ani nikogo one nie interesowały. Były one niczym więcej jak tylko wywyższonym kawałkiem tamtejszej ziemi.

Lord dowiedział się o tym, że ma zostać stoczona ta walka, ale nikt wtedy nie podejrzewał, że liczebność wojsk wroga będzie tak wielka, dlatego nie szykowano na ten bój zbyt wielu ludzi. Falach podszedł pewnego dnia do króla i powiedział:

– Chcę, aby w końcu ta wojna się skończyła. Po prostu pragniemy spokoju, a plan Filipa dotyczący dalszej wojny tylko utrudnia jego osiągnięcie. Widzę jednak, że jesteśmy na dobrej drodze i że niedługo będziemy mogli odetchnąć z ulgą.

– To dobrze, że masz takie wrażenie. Ja również marzę o wielkim zwycięstwie.

Jak zwykle przy takich okazjach, przygotowano dla lorda nową zbroję i miecz. Te nie różniły się zbyt wiele od tych, które miał przy sobie podczas ostatniej bitwy. Gdy Filip dowiedział się, że na bitwę na Galfas ma otrzymać nowe uzbrojenie, był bardzo porytowany. Tym razem nie zważał na to, ponieważ był ciekaw, jak będzie wyglądało starcie na tym otwartym obszarze. Najpierw musiał stawić się w szeregach Falacha, mających dołączyć do armii, którą przewodzić miał król Henryk. Wszyscy wyruszyli przed pałac, a potem spotkał ich niesamowity zawód, gdyż ilość wojsk, które miał w zanadru sam król, była śmiesznie mała.

– Królu! – zawołał lord dowódca. – Co to ma być? Czy my będziemy walczyć z garścią valkirijskich wieśniaków?

– Ależ nie mogłem zbierać większej ilości osób! – monarcha zaczął się tłumaczyć swojemu podwładnemu. – Tylu wyszkolonych wojowników mieszka w Andzie.

Wielu miało jeszcze nadzieję, że Brados również nie będzie angażował zbyt wielu wojowników. Ci, którzy tak myśleli, musieli niestety się zawieść. Teraz trzeba było tylko wyruszyć na Galfast. Wielu miało konie (w tym król i lord Falach), ale i tak było konieczne spowalnianie chodu wierzchowca, aby piechota mogła, nie męcząc się, nadażyć za resztą. Po kilku dniach wędrówki (z przerwami na posiłek i wypoczynek) wszyscy dotarli na wyznaczone miejsce. Wyjście w sprawie tej bitwy było jedno: jedna ze stron musiała obrócić w perzynę armię przeciwnika, nie oszczędzając nikogo. Walki miały trwać, dopóki jedni nie poniosą całkowitej klęski. Żołnierze przystępowali do bitwy z wyjątkową niechęcią, gdyż bali się czegoś tak ostatecznego, a więc i nieodwracalnego, jak ta bitwa. Ich obowiązkiem było zginąć lub nie oszczędzać nikogo. Ale to, co wtedy zobaczyli, całkowicie zniweczyło ich nadzieje. Liczebność wojsk Valkirany sprawiła, że Enicenie stracili swe morale. Na miejscu bitwy znalazło się tysiąc dwustu osiemdziesięciu czterech kawalerzystów, cztery tysiące pięćset sześćdziesięciu ośmiu piechurów i dwustu łuczników. Lordowie valkirijskich zamków również się tam zjawili, a było ich piętnastu. Zabrakło niestety króla, którego bezpieczeństwo, szczególnie po oblężeniu Rillun, postanowiono bardziej chronić. Liczebność wojsk Enicenie była śmiesznie mała. Posiadali pięćdziesięciu kawalerzystów i około stu sześćdziesięciu piechurów, z których tylko niektórzy mieli w zanadru bronie miotające.

– Królu! Nie poddamy się! Nie zrobimy tego – powiedział Falach z widocznym strachem w oczach, lecz z nadzieją w głosie.

– Całą naszą armię rozbiją jedną serią strzał! Ale masz rację. Walczmy, bo wiemy, że strzały wchodzą w ciało szlachetniej, gdy mąż jest w boju i biegnie w stronę wroga. Nawet śmierć nie przeraża, gdy ma się u boku tak cnych ludzi jak wy.

Po tych słowach wszedł na swego konia.



Wszyscy ludzie, którzy mieli wziąć udział w tej bitwie, wzniesli radosny okrzyk, a po chwili z nadzieją, że wygrają, ruszyli naprzód, nie zwalniając nawet na chwilę kroku ani nie odwracając wzroku w tył i nie ośmielili się pomyśleć o ucieczce. Ci, którzy byli na koniach, ruszyli naprzód, zostawiając z tyłu resztę. Ich rumaki biegly wielokrotnie szybciej niż te, których dosiadali ich przeciwnicy. Gdy eniceńska kawaleria uderzyła z niezwykłym impetem w armię wroga, Valkirianie przewrócili się i przygnietli swymi ciałami część wojsk przeciwnika. Ich wierzchowce w większości zginęły lub zostały tak pokaleczone, że nie miały szans przeżyć. Jednak w zwartym szyku i podczas tak gęstej potyczki lord Falach miał w końcu okazję się wykazać, gdyż był jednym z najlepszych wodzów i wojowników na całym kontynencie, a wśród tak wielu przeciwników naprawdę mało z nich zostało oszczędzonych przez Rycerza Lwów oraz Czerwonego Wojaka. Lord walczył i rozkazywał swoim ludziom atakować najlepiej, jak potrafili. Nie było mu wygodnie wymachiwać mieczem w momencie, w którym z jednej strony są dziesiątki jego towarzyszy, a z drugiej setki napierających go wrogów, ale ilość tych drugich z każdą sekundą była redukowana, a sam Falach znajdował coraz więcej miejsc, w których mógł dokonywać coraz lepszych manewrów. Jednak jeśli wokół niego było zbyt wielu sojuszników, najczęściej zadawał wyłącznie dźgnięcia, pchając swój miecz jako włócznię i kierując jego zakończenie w nieuzbrojone miejsca przeciwników, w tym ich twarze. Wielu spostrzegło, jak dobrym był wojownikiem, i ci przestali się do niego pojedynczo zbliżać. Jednak nie tylko Falach wzbudził strach Valkirian, gdyż prawie każdy z żołnierzy pod jego dowództwem zabijał po kilkudziesięciu wrogów w tej bitwie. Jedni nawet chcieli urządzić konkurs na ilość pokonanych wrogów, jednak lord po tym, jak zabił sześćdziesięciu piechurów, przestał liczyć swój dalszy wynik. Filip nie radził sobie zbyt dobrze, gdyż cały czas był z tyłu i tylko dwa razy Valkirianin wpadł mu w ręce. Pierwszego zabił zupełnie przypadkowo, trafiwszy ostrzem miecza w jego szyję, a drugiego ledwo zdążył zranić, gdyż właśnie wtedy, gdy zdołał znaleźć się na przodzie i miał tego człowieka właściwie na widelcu, valkiriańscy dowódcy zarządzili odwrót. Krzyczeli:

- Wycofać się!
- Nie mamy szans.

Ich szanse były równie niewielkie, gdy uciekali, ponieważ większość z ich ludzi została przebita eniceńskimi strzałami. Po tym fakcie pojawiło się światło, gdyż podczas tej walki słońce było przysłaniane chmury, które w legendach miały symbolizować żalobę, ale tę, w której pogrążano się po zwycięstwie. Wielu skojarzyło się to tak, jakby sam Bóg nie przewidział, że Enicenianie wygrają tę bitwę, a potem zaczął świętować ich zwycięstwo, którego się wcale nie spodziewał. Okazało się, że starcie to wcale nie było czymś, co zakończyłoby wielką wojnę, a jedynie faktem, który osłabił Valkirianę, a przez którą sytuacja Enicenian nie zmieniła się tak, aby można było dostrzec jakiś kryzys.

To cudowne zwycięstwo długo świętowano, lecz Falach przez długi czas maszerował po polu bitwy i podrzynał gardła konającym lub zbierał trofea z pokonanych,

podczas gdy reszta padała sobie w ramiona i gratulowała wygranej. Wielu przeciwników Enicenian nie zginęło od razu, a dogorywało w męczarniach, nie mając szans na przeżycie. W setkach ciał utknęły dziesiątki różnej maści pocisków, a wielu ludzi miało połamane żebra lub po prostu przebite czymś płuca. Mimo to zachowywali się godnie, byli spokojni. Rzemiosło wojenne było bezwzględne wobec słabszych. Po raz kolejny ludzie mieli świadomość, że giną na polu chwały. Zasłużyli tym samym także na godne miejsce pochówku, więc Enicenianie musieli zebrać martwych i im je zapewnić. Jednak poległych było zbyt dużo, aby ci, którzy przeżyli, sami sprostali temu zadaniu. Ludzie z okolicznych wsi oraz mieszczenie zostali do tego wynajęci. Żołnierze zostali na chwilę obecną zwolnieni ze służby i kazano im się rozejść.

Falach i Filip wyruszyli do stolicy. Filip znalazł się powtórnie pod bramą tego wielkiego miasta, mając dokładnie tę samą obawę co za pierwszym razem. Drzwi zostały otwarte, gdy stacjonujący na szczycie zamku ujrzeli przybyszów. Ci wkroczyli do grodu i pędem wbiegli do swych komnat, gdyż w mieście nie mieli żadnych zadań. Przez większość dnia odpoczywali. W pokoju rycerza znajdowało się wyłącznie łóżko i mały stolik, a w odrębnym pomieszczeniu, służącym za łaźnię, było mydło, wiadro z wodą, wszelkiej maści szczotki oraz brzytwa. Lokator skorzystał zatem z tych dóbr, czyli umył się i ogolił oraz podciął włosy. Dowódca robił często to samo, aby nie na jego ciele nie załęgły się wszy oraz żeby owłosienie nie przeszkadzało mu w walce.

Po jakimś Filip przyszedł do komnaty lorda. Tam się z nim przywitał i ujrzął, że jego przyjaciel opatruje sobie ranę na nodze. Miał dość głębokie cięcie na udzie, które zdołał samodzielnie zaszyć. Posiadał apteczkę tamtejszego chirurga, którą niezwykle chciał otrzymać, gdy przybył do Andy. Kupił ją za parę złotych monet podarowanych przez Henryka. Król miał w swoich skarbcach całe zapasy złota pod różną postacią, czyli tą oficjalną i nominalną, którą można było zapłacić za coś, co nie było warte takiej ilości złota, oraz wielkie złoża, rudy oraz symetryczne sztaby. Za całość można było z łatwością wykupić wszystkie eniceńskie wioski. Władca tworzył te zapasy na „czarną godzinę”, mimo iż sam nie wiedział, kiedy i na co może mu się to przydać. Za to Filip nie zaprzętał sobie głowy rozmyślaniami nad tym, skąd jego dowódca miał te profesjonalne i drogie narzędzia, rzadko spotykane wtedy w tamtym świecie. Miał do niego kilka innych pytań, które zadał śmiało i od razu:

– Słuchaj! Chciałem ciebie o coś zapytać.

– Ależ pytaj śmiało! – powiedział Falach kończąc operację swojej nogi. Oderwał wzrok od rany, która właściwie już od powrotu z bitwy powinna była się zagoić. Wiedział, że jego czyn był bez większego sensu, ale spodziewał się, że to on będzie przedmiotem pierwszego pytania Filipa. Okazało się, że było inaczej, a jego towarzysz cofnął się pamięcią daleko wstecz, aż do momentu, kiedy przybyli do tego świata.

– No więc... kiedy po raz pierwszy zjawiłeś się w tym świecie? Bardzo mnie to interesuje, bo jak tu się zjawiliśmy, ty już byłeś lordem i przyjacielem króla. To dość istotne stanowiska. Jak do tego doszedłeś?

– No cóż... Dom, w którym teraz mieszkam oraz w którym znajduje się portal do tego świata, kupili mi moi rodzice. Nie bez powodu otrzymałem to konkretne mieszkanie. Kiedyś ono należało do jakiegoś znajomego mojej matki, czy coś. Kiedy byłem mały,

miałem chyba dziesięć lat, to przyszedliśmy tam, odwiedzić tego znajomego. Rodzice sobie rozmawiali, a ja zacząłem wtedy buszować po jego mieszkaniu. A że byłem wtedy zawziętym czytelnikiem „Opowieści z Narnii”...

– Czego?

– Jak to? Nie znasz cyklu „Opowieści z Narnii” Clive’a Staplesa Lewisa?

– Nie.

– No cóż... historia ta opowiadała o dzieciach, które weszły do szafy, znalazły się w innym świecie, a tam zostały królami. Podobnie zrobiłem ja. Postanowiłem wejść do szafy, która tam się znajdowała. Było tam oczywiście wiele ubrań, przez które się przeciskałem. Szedłem i szedłem i nic, ale się nie zniechęciłem. W końcu przeszedłem przez portal i znalazłem się, tak samo jak ty ze mną, nagi. Było to to samo miejsce. Niestety nie miałem takiego szczęścia, jak wtedy, gdy trafiłem tu z tobą. Brama była zamknięta, a nikt nie zamierzał jej otworzyć. Czekałem tam parę godzin, będąc całkowicie wystraszonym i zakłopotanym. W końcu ktoś zajrzał do środka, a ja w końcu mogłem oddychać świeżym powietrzem. Jakiś mężczyzna miał przeglądać arenę, lecz nie mógł kontynuować swego zadania, gdyż musiał donieść królowi, że mieli nowego przybysza spoza tego świata. Ten człowiek, który mnie tam znalazł, najpierw mnie ubrał w strój treningowy, który znajdował się na arenie, a potem mi powiedział, że zwykle zjawiał się tutaj inny człowiek, którego zwali właśnie „przybyszem spoza tego świata”. Zdziwiło mnie, jakim językiem posługiwał się ten mężczyzna. Sam chyba wiesz, jak mówią tutaj ludzie.

– Wyrażają się czasem dziwnie, ale da się ich zrozumieć.

– Da się, gdyż niektórych nauczyłem naszej współczesnej mowy. Wielu Enicenian mówi bardzo dziwną mową, podobną do języka polskiego. Właściwie eniceński można uznać za jeden z dialektów naszej mowy. Być może, gdyby nie portale znajdujące się w naszym świecie, Enicenianie w ogóle nie mówiliby żadną zrozumiałą dla nas mową. Człowiek ten mówił, że często zjawiają się u nich ludzie na co dzień żyjący w innym świecie, tak samo jak ja. Powiedział, że takie osoby są niezwykle szanowane i że król z pewnością chciałby mnie zobaczyć. Zaproponował mi audiencję u władcy, a ja się zgodziłem. Bardzo chciałem się spotkać z panem tej nieznannej wtedy dla mnie krainy, gdyż liczyłem, że stanę się kimś ważnym, tak jak te dzieci z „Opowieści z Narnii”. Myślałem, że król mianuje mnie na rycerza, a ja będę sobie walczył w jakichś bitwach. Jednak gdy znalazłem się na dworze, bardzo się zawiodłem. Król Henryk powiedział, że pobyt tutaj będzie dla mnie świetną lekcją życia, i uznał, że rozkaże mi sprzątać jego pałac, a dzięki temu dał wolne swojemu służącemu. Więc zajmowałem się tymi wszystkimi żenującymi i niechlubnymi pracami: ścierałem podłogę, polerowałem różne rzeźby, chodziłem z wiadrem i ze szmatą, licząc, że król w końcu pozwoli mi się zająć czymś ciekawym. Postanowiłem, że gdy wrócę, powiem wszystkim, co mnie tutaj spotkało, nawet jeśli cały czas zleci mi na pozbywaniu się brudów z powierzchni pałacu króla Henryka. Przy okazji chciałem się zapytać, czy ten kolega matki, który żył w tamtym domu, był niegdyś w Eniceni. Gdy wróciłem, on powiedział, że nic o tym nie wie i że chyba mam niezwykle bujną wyobraźnię.

– I co było w tamtym pałacu?

– Nic. Siedziałem w nim dość długo. Raz zapytano się mnie, jak mam na imię. Odpowiedziałem, że nazywam się Beniamin. Enicenianom było obce to hebrajskie imię, dlatego powiedzieli, że aby mnie łatwiej było zapamiętać, nazywany będę Falachem. Zgodziłem się. Przeważnie, kiedy kończyłem pracować w pałacu Henryka, przechadzałem się po mieście, obserwowałem tamtejsze obyczaje i kulturę, przypominające średniowieczną Europę. Do tej pory obserwowałem takie widoki tylko na filmach, a wtedy...

– Przejdź do konkretów!

– W końcu służenie tam zaczęło mi się podobać. W każdym razie się do tego przyzwyczaiłem. Tak w sumie to panował wtedy okres pokoju, więc nie mogłem liczyć, że Henryk dałby mi, czyli cudzoziemcowi, jakieś zadanie w szeregach armii. Jednak w końcu wyznałem mu, że bardzo chciałbym walczyć. Pewnego dnia, gdy skończyłem swoją robotę, zapukałem do komnaty króla. Powiedziałem mu, udając trochę, że mówię po eniceńsku, gdyż już wtedy odrobinę wsłuchałem się w tę mowę: „Wasza wysokość! Oczywiście jestem zaszczycony tym, że mogę panu tutaj służyć. Król ugościł mnie, daje mi łożę, posiłki i tym podobne wygody, na które wielu musi ciężko zapracować”, a on wtedy powiedział coś w stylu: „Faktycznie, mój drogi Falachu. Ale czego teraz właściwie ode mnie chcesz?”, więc ja powiedziałem: „Chcę walczyć w twojej armii!”. No i w końcu Henryk posłał mnie na jakiś trening, a ja oczywiście z wielkim zapałem ćwiczyłem szermierkę i inne rzeczy związane z rzemiosłem wojennym. Świetnie się wtedy bawiłem. Po pewnym czasie powiedziałem królowi, że tęsknię za rodziną, więc wróciłem wtedy za pomocą innego portalu, tym razem prowadzącego stamtąd do naszego świata. Znalazłem się w tym samym mieszkaniu, w którym byłem. Rozmawiałem z rodzicami i z właścicielem tego domku i padły słowa, o których już ci powiedziałem. Ja jednak nie dałem temu facetowi spokoju i często do niego chodziłem, aby mówić przez cały czas o tej średniowiecznej krainie i o mojej służbie na dworze króla Henryka. Ten uznał, że skoro ja tam już trafiłem, a moich rodziców nie było w pobliżu, to mógł mi powiedzieć całą prawdę. Oznajmił, że często tam bywa i że bada tamtejszą kulturę i historię. Mówił, że interesuje go kwestia istnienia innych wymiarów i innych takich tajemniczych zjawisk. Powiedział, że jest członkiem jakiegoś „klubu”, który powierzył mu zadanie polegające na penetrowaniu tamtego świata i spisywaniu swoich obserwacji w notatkach, które przedstawia zainteresowanym na zebraniach tego „klubu”. Właściwie to mu nie wierzyłem, ale czy istniał taki „klub”, nie wiem do tej pory. Gdyby istniał, prawdopodobnie ktoś byłby w nim ruskim albo amerykańskim agentem, a Enicenia byłaby już dawno zamieniona na Imperium Radzieckie, a Valkiriana i Walkia na... sam nie wiem. Może tam Amerykanie by torturowali swoich więźniów. W każdym razie zdaję sobie sprawę, że jestem świadkiem niezwykłego zjawiska. Na naszych oczach rozgrywają się losy świata nieznanego naszym znajomym czy rodzinie. Wracając do mojej historii: Przebywaliśmy często z właścicielem tego mieszkania w Eniceniu, a tam ja coraz lepiej się sprawowałem. Nieraz zdarzyło mi się pomóc w walce królowi czy nawet osobiście go uratować. W nagrodę za dobrą walkę otrzymałem Vareał, które do dzisiaj jest moją siedzibą i własnością. Nasz znajomy – który jak się dowiedziałem, w Eniceniu miał na imię Ennis – pewnego dnia umarł. Nie wiem dlaczego, ale nie w polu bitwy. Powiedziano

mi, że ten, kto miał czyste serce, powinien się znaleźć tam, gdzie jest jego miejsce, czyli wśród jego ludzi. Nie uwierzyłem w to, ale, gdy wróciłem do domu, nie było wcale go między nami. Oficjalnie zaginał. Rodzice byli tym faktem bardzo zdziwieni. Mama pracowała z nim chyba na Uniwersytecie Wrocławskim, ale nie wiem, co robiła. Moi rodzice w ogóle średnio się mną interesowali, a więc ja i nimi nie zaprzątałem sobie zbytnio głowy. W każdym razie powiedziała mi, że ten facet był strasznym wariatem i prawdopodobnie gdzieś wyjechał i wpakował sobie kulkę w łeb. Gdy dorosłem, powiedziałem, że to mieszkanie byłoby dla mnie dobre, więc mógłbym tam zamieszkać. Tak zaczęła się moja przygoda w Eniceniu.

– To strasznie fajna historia. Dzięki, że mi to powiedziałeś. A ty chciałbyś się może mnie o coś zapytać? Dawno się nie widzieliśmy, być może wiele się wydarzyło u mnie.

– Raczej nie. O co mógłbym cię niby zapytać? Nie za bardzo mnie interesują twoje sprawy.

– No to super. To o czym można by jeszcze porozmawiać?

– Nie wiem. Możesz mi się wyżalić i mówić, jaki to ten świat jest dziwny i nudny.

– Nie no, bez przesady! Właściwie to się przekonałem do takiego stylu życia.

Wiesz, wojna, miecze, rycerze i tym podobne sprawy, których nie znajdziemy w naszym zwyczajnym świecie. Zaczęło mnie martwić tylko jedno. Właściwie to nie zginałem w żadnej bitwie...

– Co ty nie powiesz? – powiedział zgryźliwie Falach.

– Ej, ale przyznaj, że sam się tego nie spodziewałeś! Pewnie myślałeś, że zabiją mnie w pierwszej bitwie, najlepiej w jakiejś śmiesznej sytuacji, w której uciekałbym, krzycząc jak dziewczynka.

– Mogłeś też, popisując się przede mną, pobiec w sam środek starcia i zostać tam zmiażdżony przez setki wyszkolonych, uzbrojonych po zęby wojowników. Nie próbowałeś tego zrobić ani razu. Za to cię podziwiam.

– Dzięki... Zaraz! A wtedy, gdy walczyliśmy w naszym pierwszym oblężeniu?

– A co ty wtedy zrobiłeś?

– Uratowałem pół miasta! Sam mnie wtedy chwaliłeś!

– Wybacz. Mam słabą pamięć co do staczanych bitew.

– Niech ci będzie. Ale nie, nie chciałem o tym mówić. Przez cały czas, kiedy walczyłem na śmierć i życie, zastanawiam się, jak to jest mieć rozcięte mieczem gardło albo strzałę w oczodole. Ostatnio bałem się nawet, że stracę zbroję i będę miał setki razy rozcinaną skórę i miażdżone kości. Po prostu wojna nie jest dla mnie! Ja boję się bólu i śmierci. Nie tak, jak ci wszyscy...

– Nie martw się. Będę starał się ratować ciebie ze wszelkiej opresji. Na wypadek, jakby groziła ci śmierć, kapituluj. Może i będzie to spory dyshonor, ale wielu Enicenian tak już robiło, zwłaszcza kiedy bitwa była już dawno przegrana, choć lepiej, żeby nigdy już nie musieli tego robić.

– Myślałem, że dla takich ludzi jak ty najważniejszą rzeczą jest umierać na polu chwały... ZA KRAJ!

– Być może również to. Ale jak dla mnie najważniejszą rzeczą, jaką możesz dla



niego uczynić, jest zabijanie.

– W imię tego kraju?

– Nie. DLA tego kraju! A tak poza tym, to czy uważasz, że walczenie tutaj jest po prostu dla ciebie... rozrywką?

– Tak! Naprawdę jest tutaj niesamowicie. O ile sam nie obrywam, to te bitwy całkiem mi się podobają. No i oczywiście obserwuję je z zapartym tchem. A ty? Jak ty to robisz, że przeżyłeś do tej pory?

– Cóż... tutejszy lud dzieli się na walczących, modlących się i pracujących. Ja również należę do tego ludu, a jestem walczącym. Jak widzisz, moje zajęcie jest na równi z modlitwą kapłanów i zbieraniem plonów przez chłopów. Tutaj też nie zawsze się ginie, ponieważ czasem trafia się do niewoli. A że ja jestem mistrzem w tym fachu, nigdy mi się to nie przydarzyło. Poza tym to miła odmiana w odróżnieniu od naszego świata. U nas wojuje się tylko bombami jądrowymi, komputerami i wynalazkami. To pozostałość po zimnej wojnie. A tutaj! Jesteśmy tu ledwo parę tygodni, a braliśmy udział w tylu niesamowitych zdarzeniach!

– No, ale wracając do tematu dotyczącego tego, co mi się tutaj podoba, zauważyłem, że ludzie, nawet ci starsi, są tutaj znacznie bardziej luzacy. Niby ciężko pracują, ale zawsze, jak widzę człowieka po pracy, zawsze się bawi, pije, czy coś innego. Czy oni tutaj robią jakieś inne rzeczy poza walką, pracą i zabawą? Nie wiem... chodzą chociaż do kościoła?

– Czy pamiętasz może, gdy król, gdy tu przybyliśmy, wymienił imię Heniquez?

– Otóż tak, lecz nie pamiętam co to znaczyło – odpowiedział, po czym Falach zaczął mu wyjaśniać:

– Otóż jest to dawny prorok, czy też jak niektórzy wolą określenie: „Bóg”. Tak jak Chrystus, tylko że w tym świecie. Heniquez, podobnie jak Jezus, zginął w wielkich mękach przez to, że ludzie źle go oskarżyli. Mniej więcej taki był jego życiorys. Chcesz może, abym dłużej o nim opowiadał?

– W sumie i tak nie mamy lepszych tematów do rozmów, to opowiadaj, jeśli chcesz...

– No właśnie o to chodzi, że nie wiem o nim za dużo. Lecz warto by było wytłumaczyć ci, dlaczego nie zauważyłeś ani razu Enicenian podczas ich praktyk pobożnościowych.

– To mów.

– Ludzie tutaj wiedzą, że przybywamy do nich z naszego świata i że tam mamy swoją religię. Nie chcą nam nic narzucać. Oczywiście sprawia to pewien kłopot, czy ma ktoś chodzić do kościoła, jeśli czas w naszym świecie praktycznie staje, ale na pewno nikt nie wymaga od nas, abyśmy czcili ich Boga.

– Czyli wiedza o tych przejściach jest powszechna.

– Po części. Nikomu to właściwie nie robi różnicy. Informacje o tych przejściach istnieją tu prawdopodobnie od początku istnienia ludzkości na tym świecie.

– I dlaczego podróże z jednego wymiaru do drugiego nie są czymś normalnym?

– Tego nie wiemy. Jeśli ktoś chciałby się przenieść stąd do naszego świata, może to w każdej chwili zrobić. Jednak ludzie tutaj boją się tego robić. Nie znają naszych

technologii, nasz język jest dla nich dziwny, w naszym świecie nie ma tyłu lasów, nasze ulice są niebezpieczne.

– W innych krajach również wiedzą o tych przejściach?

– Nie wiem, ale raczej również.

– Mówiłeś, że gdyby istniał klub dotyczący tych przejść, to mocarstwa by urządziły tu sobie siedzibę, tak?

– Mniej więcej.

– To znaczy, że nikt w naszym świecie nie znalazł żadnego takiego portalu?

– Cóż... niekoniecznie. Jeśli ktoś by ten portal znalazł, to gdyby spróbował przejść tam z razem z jakąś inną osobą, to portal by się zniszczył, a sądzę, że żadni kolonizatorzy nie chcieliby tu wchodzić gęsiego, a po drugie, nie mógłby przenieść tu ani broni jądrowej, ani żadnych karabinów maszynowych, i tak dalej. A gdyby spróbował używać przemocy wobec mieszkańców tego kontynentu, to ci by sobie z nim z pewnością poradzi. Szczególnie Rameńczycy.

– A wracając do tego Heniqueza, to gdzie jeszcze go czczą?

– Tego też nie wiem. Prawdopodobnie we wszystkich znanych nam krajach. Co więcej: usłyszałem, że w Rameńskim Akh również uważają go za boga na ziemi, zbawiciela czy mesjasza. Ci ludzie wywodzą się najprawdopodobniej od Arabów, którzy, co bardzo możliwe, choć niepewne, w naszym świecie również znaleźli jakiś międzywymiarowy portal i przenieśli do tego świata swoją kulturę oraz obyczaje. Możliwe też, że ten świat był od początku dziejów niezamieszkały i tylko poprzez podróże ludzi z naszego wymiaru do tego miejsca powstało tu życie i urodzaj. Korzenie tej cywilizacji można znaleźć w naszym średniowieczu – prawil Falach.

– A więc czy Heniquez był męczennikiem?

– W zasadzie tak. Jego żywot jest zapisany na kartach księgi o nazwie *Valqendo*, czyli w o opowieściach o... no, o nim.

– A czy studiowałeś to dzieło?

– Niestety, nie mam ochoty czytać religijnej literatury Enicenian. Przede wszystkim ludzie na tym kontynencie posługują się innym pismem, choć podobnym do łacińskiego. Musiało ono przejść drogę zapisywania go w prostszej, runicznej postaci na drewnie i skale, a potem udoskonalaniu, aby tworzyć estetyczne księgi. Mógłbym się nauczyć tego pisma, ale zanim bym do niego przywykł, nie przeczytałbym żadnego dłuższego tekstu. Poza tym w moim świecie wyznawałem innego boga, moi rodzice modlili się w katolickich kościołach, więc byłbym zdrajcą, gdybym tę księgę zaczął traktować jako źródło wiedzy religijnej, a to mogę nieopatrnie zrobić po przeczytaniu jej. Ale to nieważne. Musimy sposobić się na następną bitwę. Niech ludzie modlą się o nasze zwycięstwo.

– Myślałem jeszcze o jednej rzeczy. Wiem, że to na pewno zabrzmie głupio, ale długo zastanawiałem się, co my tu robimy. Tak właściwie to w ogóle nie jest nasz świat!

– Myślę, że jest mój. Po prostu czuję się tu dobrze. Dlatego tu żyję.

– Ale gdy myślę, że takich światów jest więcej, to aż robi mi się niedobrze. Na tle tyłu istnień czuję się jak najmniejszy robak. Nic niewarty. Wydaje mi się, że dla tak wielu ludzi nie jestem nic wart.

– Co ty mówisz za głupoty? Przecież jesteś w Enicenii jednym z najstłynniejszych ludzi! Cóż... zasłynąłeś głównie jako mój pupilek, ale jednak zawsze to jest jakaś popularność.

– Ale nie chodzi mi nawet o sławę czy o...

– Prestiż?

– Tak. Chodzi mi o to, że nie robimy nic dla tyłu ludzi.

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz? Do tej pory zawsze żyłem tylko dla siebie, znałem tak niewielu ludzi, nigdy nie pomagałem w niczym swoim rodzicom. Czuję się jak jakaś niepotrzebna jednostka!

– Jak grat?

– Dokładnie to miałem na myśli.

– Posłuchaj. Wiem, że często ludzie pragną poczuć, że są częścią jakiejś większej społeczności. Dlatego powstawały różne subkultury czy inne bzdury. Inni ludzie próbują przypomnieć, że stoją na ziemi, po której stąpają miliardy osób, i jeżdżą po świecie, nie zdając sobie sprawy, że człowiek jakieś dziesięć tysięcy lat temu zaczął prowadzić osiadły tryb życia i jest mu przeznaczone jedno miejsce. Ale dla ja nigdy nie odczuwałem takich potrzeb. Jak sam zauważyłeś, byłem indywidualistą. „Ja jestem ja, ja, ja...”. Nie przejmowałem się nigdy, co myślą o mnie inni. Na świecie jest tyle konfliktów wartości i tyłu ludzi, którzy chcieliby rozkazać ci, jak masz żyć, że próba zaspokojenia choćby jednego obcego oczekiwania sprawiłaby, że miałbyś jeszcze więcej wrogów. Jeśli robisz to, co chcesz, to rób to dalej. Jeśli walczysz u mojego boku, to walcz! Jeśli siedzisz u boku króla i ucztujesz, to ucztuj! Nie przejmuj się niczym innym i nie myśl, że zrobisz komuś dobrze, jeśli będziesz przejmował się jego istnieniem. Chyba, że człowiek jest w potrzebie. Tak nakazuje etyka.

– Czyli mam przejmować się innymi ludźmi, tylko gdy grozi im niebezpieczeństwo?

– Ja bym tak proponował. Ale muszę jeszcze dodać, że nigdy nie mogę się płaszczyć przed nikim. Jeśli chcesz, aby ktoś cię szanował, nie możesz prosić go o to jak pies. To ludzie muszą chcieć respektować twoje ideały. I nie dołączaj do żadnej społecznej grupy, gdyż dzisiejsze społeczeństwo jest zepsute i złe. A ja nie znajdę żadnego usprawiedliwienia dla bycia brudasem i moralnym zerem, choćby miał mnie wyśmiać cały świat. Człowiek musi być wolny. I nie ma czegoś takiego jak połowiczna wolność, czy wolność wyznaczana lub ograniczana. Ludzie nie mogą mówić, jak masz żyć! Nie możesz wchodzić w gęsty tłum tylko dlatego, że ktoś od ciebie tego wymaga. Choć muszę przyznać, że przyjaźń jest dobra. Ale tylko ta prawdziwa. Polegająca na szacunku i pomocy bliźniemu. Ale powinieneś również zdawać sobie sprawę, że masz przyjaciela. To dobre. Nie zaprzeczam.

– A kogo, według ciebie, warto darzyć jakąkolwiek sympatią?

– Mam powiedzieć, kogo ja darzę?

– Tak.

– No więc... głównie samego siebie. Na pewno nie jestem wobec siebie przypadkową osobą.

– A rodzina? Ci również nie są przypadkowymi ludźmi.  
– Chyba też. Na przykład bracia są jakby tą samą osobą co ja. Są dziećmi rodziców.

– Tak... ale do czego zmierzasz?

– Do tego, że masz rację. Rodzina przede wszystkim. Zresztą mogę dodać, że wszystko zaczyna się od dzieci. Tak jak je wychowamy, tak będzie wyglądał świat w przyszłości, a chcemy, żeby ten był lepszy... Ta rozmowa zesłała na dziwne tory. Poza tym od początku nie miała żadnego konkretnego tematu.

– I jeszcze stała się taka... filozoficzna.

– Czyli porębana?

– Jakbyś czytał mi w myślach – stwierdził Filip z uśmiechem na ustach.

– Tak. Ale chciałbym podsumować i powiedzieć ci, co robić, aby być człowiekiem dobrym. Przede wszystkim rób to, co jest dobre dla ciebie, nie krzywdź innych, nie wchodź nikomu w drogę, rób to, co ma istotne rezultaty, i używaj słów, które mają znaczenie. Tylko tyle powinienes wiedzieć. Jeśli będziesz przestrzegać tych zasad, będziesz nie tylko człowiekiem silnym i dobrym, lecz również spełnionym.

Nastała potem chwila milczenia. Filip westchnął i rzekł z nostalgią:

– Mam nadzieję, że jeszcze wrócimy do domu.

– Dla mnie tu jest dom – odrzekł Falach, dając tym samym Filipowi odpowiedź, której ten się w ogóle spodziewał.

Filip przez moment milczał, ale po chwili westchnął i powiedział:

– Mógłbyś czasem dawać ludziom nadzieję!

– Nadzieja... tak! To piękne słowo, ale bardzo często puste, a szczególnie w ustach, które za wszelką cenę starają się pocieszyć. Wiesz jednak, przyjacielu... nadzieja często sprawia więcej bólu niż najbardziej gorzka prawda. Jednak ty boisz się prawdy, a więc jedyne, co teraz możesz, to sprawiać sobie ból, dając nam nadzieję. Ja jednak takiej nie potrzebuję, gdyż już pogodziłem się ze swym losem.

– Ależ ja tylko chciałbym ponownie ujrzeć mój dom, rodzinę czy znajomych. Ale muszę przyznać, że jutro bierzemy udział w oblężeniu Burleah. Nieprawdaż?

– Tak, masz rację. Kolejne wielkie starcie. W końcu trwa tutaj wojna.

– Jednak wojska Jelqe od dawna potrzebują pomocy. Prowadzą teraz walkę z Valkirianą. Przecież rola Jelqe jest niezwykle istotna w tej wojnie, a ich sytuacja jest opłakana.

– Nasza również była „opłakana”, a przecież wyszliśmy cało z opresji. Nie pamiętasz? Przecież to było jeszcze parę dni temu – mówił Falach, tym razem dając swemu druhowi nadzieję.

– I właśnie dlatego to my im pomożemy! Choćbyśmy mieli tym razem zginąć! Będziemy walczyć o honor!

– O honor! – powtórzył lord.

– Za Enicenię! – dodał rycerz.

– Za Jelqe!

– Za Walkię!

– Za Rameński Akh!

Filip nie musiał zadawać więcej pytać lordowi, gdyż, jak się dowiedział, w Andzie znajdowała się wielka biblioteka, w której znajdowały się najróżniejsze księgi, zawierające wiedzę z całego świata, a również wiedza, a właściwie przypuszczenia, na temat owych tajemniczych portali między wymiarami. Oprócz informacji dotyczących historii tego kontynentu można było też przeczytać wszystko o ówczesnych dokonaniach z dziedzin, które nazwalibyśmy dziś astronomią, biologią, geografiami i tak dalej. Filip nieczęsto gościł w takim miejscu jak andyjska biblioteka, co wydawało się dziwne, patrząc na jego życiową ciekawość, która momentami osiągała rangę wścibskości. Zwyczajnie wydawało mu się, że ten świat nie różni się niczym od jego świata, a szczególnie od czasów średniowiecznych, które w miarę dobrze znał. Na niebie zawsze znajdowało się tam rażące słońce, mrok nocy rozjaśniały gwiazdy oraz wielka, biała kula. Istniało również coś, co można nazwać porami roku, gdzie po okresie zimna i śniegu następowała pora, w której wiele rzeczy kwitło, potem było gorąco i sucho, a następnie z drzew spadały suche liście. Większość obszarów nizinnych na tym kontynencie wyglądała jak wielkie leśne zacisze, które dobrze znał również z jego rodzimego świata, żadna góra nie różniła się znacznie od Ślęży w Sobótce niedaleko Wrocławia, a jeśli znalazł się teren, na którym nie rosły drzewa, zawsze był tam zamek, forteca, gród, albo po prostu jakaś mała polana lub rzeka. Nikt jednak nie narzekał na nadmiar bystrej wody, gdyż nie było zbyt wielu takich nurtów. Jedyne większe rzeki, które przepływały przez gorącą krainę Enicenu, to Isteréver, kojarzona głównie z Valkiriana, oraz Mukuruat, której źródło znajdowało się w Rameńskim Akh'u. Wiadomo było, że Enicenu leży w miejscu podobnym do północnej Afryki lub Bałkanów, nie ustalono natomiast, co znajduje się na północ lub południe stamtąd. Chociaż flora i fauna tych rzek nie różniła się właściwie niczym od tych z europejskich strumieni, a więc chyba nie było potrzeby trudzić się, aby ją dokładnie poznawać. Czasami w lasach można było natrafić wiewiórki, kruki, wrony, bociany, a jeśli ktoś miał większego pecha, mógł spotkać wilka, dziką lub niedźwiedzia. Często wiał wiatr i padał deszcz. Wsie były bardzo ciekawym zjawiskiem, gdyż nigdy nie były zbyt wielkie, ale mieszkania znajdujące się na takim gospodarstwie były zawsze od siebie bardzo oddalone. Domy budowano bardzo skromnie, a uprawy też nie były zbyt imponujące, co być może było winą zbyt gorącego i suchego klimatu. Jedynie w drodze na wschód Enicenu były wielkie pola uprawne i to stamtąd przywożono do reszty kraju różnego rodzaju warzywa i inne plony. Najwidoczniej planeta ta była po prostu alternatywną Ziemią, choć patrząc na mapę kontynentu, nie widać dużych podobieństw do jakiegokolwiek znanego Filipowi lądu. Ważne było ustalenie, na jakim etapie historii Ziemi znajduje się to miejsce. Nikt nie sądził, że zwierzęta przybyły tu z naszego wymiaru, a ludzie prawdopodobnie tam wcześniej nie żyli. Póki co, Filip nie musiał zaprzętać sobie tym głowy, gdyż jego jedynym celem miała być walka oraz sprawienie, aby Falach mu przebaczył, i powrót do domu. Z tym ostatnim mógł być kłopot, gdyż nawet jeśli słowa Falacha o śmierci z czystym sumieniem były prawdziwe, wychodzi na to, że prędzej by umarli, niż wrócili do Polski.

Zanim bitwa o Jelqę się rozpoczęła, wojsko lorda Falacha wzięło udział w krótkim treningu. Dowódca zabrał swych ludzi na andyjską arenę, przeznaczoną do oglądania klasycznych turniejów rycerskich, a więc i tym razem całość tego zdarzenia mogła

oglądać publiczność. To miejsce nie różniło się bardzo od tego, w którym znalazł się z początku Filip, tylko było (tak jak całe miasto) po prostu większe. Co prawda nie miało wielkości boiska piłkarskiego, ale w porównaniu do standardowych, skromnych aren prezentowało się jako coś gigantycznego. Podłoże było wyłącznie mokrym piaskiem. Był wieczór, słońce zniknęło za horyzontem, ale dawało jeszcze Enicenianom odrobinę swojego światła. Powietrze było chłodne i świeże, co jeszcze bardziej napędzało do pracy i aktywności fizycznej. Na trybunach nie znajdował się prawie nikt, oprócz żon biorących udział w tym pokazie. Kobiety klaskały z byle powodu, a wszyscy znajdujący na arenie mieli cały czas rozpromienione twarze. Była to niezwykle śmieszna sytuacja, a takie nieczęsto zdarzają się w życiu ludzi, których zawodem jest pozbawianie życia bliźnich. Trening zaczął lord i dowódca swoją przemową:

– Dziś chciałbym, abyście nauczyli się tylko jednego. Za waszymi plecami siedzą wybranki waszych serc. Czy nie zrobilibyście wszystkiego dla tych dam? Chciałbym, abyście nauczyli się popisywać przed kimś. Dlaczego tak bardzo mi na tym zależy? Ponieważ gdy zaczniecie się wygłupiać i robić niestworzone rzeczy z własnej woli, nauczycie się robić wszystko. Teraz podzielmy się na drużyny. – Po czym wyznaczył swoich ludzi i porozdzielał ich na dwie strony areny. – Teraz atakujcie się nawzajem. Potyczka ma interesować wasze małżonki. Po prostu zróbcie coś niesamowitego.

Stało się wedle lordowskiego życzenia. Mężczyźni wpadali sobie wtedy na karki, wymachiwali drewnianymi mieczami, a Filip zeskakiwał na swoich rywali, wspiąwszy się na trybuny. Wszystko to okraszone było dzikimi krzykami i innymi wydawanymi dźwiękami. Na tej arenie nie odbył się nigdy równie dziwny pokaz.

Gdy skończyli swoje zawody, byli wyczerpani, ale zadowoleni. Odpoczęli parę godzin, ale wyruszyli w bój jak zwykle. Wszyscy powołani do walki mężczyźni stawili się uzbrojeni przed stolicą. Przewodził nimi oczywiście Falach. Zanim wyszedł do nich, jak zwykle wyszedł ze swojej komnaty i poszedł do Filipa, aby sprawdzić, czy ten był w zbroi. Znalazł się w jego komnacie, kiedy jego podwładni już czekali u wyjścia. Gdy zobaczył Filipa, powiedział udając, zaskoczenie:

– Och! Widzę, że jeszcze nie masz na sobie pancerza.

– Tak, nie mam. Nie mam też żadnego służącego, który by założył na mnie to żelastwo.

– Ja też nie mam, a widzisz, że jestem w tym „żelastwie”.

– Ale ty znasz się na tym wszystkim. Szczerze mówiąc, wolę walczyć bez tego.

– Tak? Przecież ostatnio mówiłeś, że bałeś się stracić zbroję.

– Postanowiłem przezwyciężyć ten lęk.

– Jeśli tak bardzo tego pragniesz, to bardzo proszę.

– Wezmę tylko ten pas i pochwę.

– Ale będziesz musiał założyć coś ciepłego, bo zapowiada się na to, że będzie dość zimno. Wystaraj się na targu o skóry jakichś zwierząt. Powiem, żeby ci je dali, bo jesteś rycerzem na służbie króla Henryka. Chociaż muszę cię pouczyć, że zbroja to najważniejsza rzecz.

– Jak to? Jeśli będę się tylko bronił, a nie atakował, nic to nie da.

– Cóż... coś w tym jest. Ale jeśli nie będziesz się bronić, od razu zginiesz.

Filip wybrał zatem dla siebie futro niedźwiedzia, zarzucił na plecy, a swoje lniane ubranie oraz pas, pochwę i miecz znajdujący się w niej przykrył jeszcze dodatkowym płaszczem. Na głowę założył kaptur, który służył do podkładania go pod hełm. Potem wyszli przed zamek i po raz kolejny ruszyli w zwartym szyku. Na czele wojsk szedł Falach, a obok niego znajdował się sir Filip. Część ludzi pchała i niosła ze sobą maszyny oblężnicze. Wszyscy szli do bitwy powoli, ale stanowczo. Wiedzieli, że przybędą ostatni na odsiecz lub że nie będzie już kogo ratować. Sojusznik od dawna był przecież w potrzebie. Być może już nic nie zastaną w fortecy Burleah.

Członkowie armii, którą przewodził teraz Falach, nie byli przyzwyczajeni do śniegu, który podczas marszu sypał się do oczu i nie pozwalał otworzyć powiek, dlatego szli ostrożnie. Lord Falach kroczył przed nimi wszystkimi, a dzierżył w swych rękach chorągiew, na której widniały trzy czarne lwy na niebieskim tle. Był to herb Enicenu. Chorągiew trzepotała na wietrze, a skierowana była w stronę ludzi Falacha. Ci natomiast mieli miecze, buzdygany, sztylety oraz kolczugi, a także zbroje, czepce, natomiast na nie były nałożone czapki z bawełny, potem po raz kolejny włożono im czepiec i czapkę, a na to wszystko hełm z płytowej zbroi. Oprócz tego eniceńscy wojownicy uzbrojeni zostali w naramienniki, nagolenniki, a odziani w szatę z jedwabiu, na której widniał lew z rozwartą paszczą, na niebieskim tle – był to ten sam symbol, który ujrzeli Falach oraz Filip przed wejściem na arenę. Żołnierze mieli ponadto buty z żelaza, a na ręce nałożono im dwie warstwy rękawic, które oczywiście również okrywała zbroja. Ostatni element odzienia stanowiły kurtki, które miały chronić maszerujących przed najważniejszym i najniebezpieczniejszym zjawiskiem, jakie dane było poczuć człowiekowi w historii tamtego czy naszego świata: przed zimnem. To uczucie jest tak złe, że dla wielu ludzi lepsze jest zostać zabitym mieczem, być zmiażdżonym lub uduszonym, niż umrzeć z powodu mrozu, ponieważ mróz zabija powoli, raniąc każdą część ciała, nieważne czy to skóra, pęcherz, kości, mięśnie, ale i tak zimno najmniej oszczędza ludzki umysł. Takie wrażenia odnoszą szczególnie wojownicy, którzy są przyzwyczajeni do tego, że walczą z kimś, kto ich rani, a głodu lub chłodu nie są w stanie się pokonać. Te rodzaje wrogów nie pomyślą również o uczciwej walce ani o pochowaniu zabitego.

Jednak eniceńscy mężczyźni szli dumnie przez pola oraz drogi i napotykali po drodze przechodniów. Widywali jednak również takich, którzy mieli szczęście, że Falach pozwalał im kontynuować podróż, mimo iż ewidentnie ci ludzie porzucili króla, czyli byli dezertkami. Nie wyglądali na podróżnych ani zagubionych. Przede wszystkim byli uzbrojeni w eniceńskie zbroje. Obowiązkiem członków królewskiego wojska było zainteresowanie się sprawą, ale byli oni zbyt zmęczeni marszem, by starać się uchodzić za szermierzy moralności i karać za dezercję, podczas gdy kroczyli na pomoc sojusznikom.

Gdy pewnej nocy dotarli do celu swej wędrówki, zastali prawie pusty i doszczętnie zniszczony zamek. Widzieli trupy, w ciągu ostatnich dni całkowicie przemoknięte od śniegu topiącego się na ciałach mężczyzn, w których jeszcze niedawno pulsowała krew. Falach oraz żołnierze byli przyzwyczajeni do takiego widoku, ale nie do uczucia, że zawiedli lub że przez nich zginęli ludzie.

Chociaż Enicenu tak naprawdę byli na terenie Burleah, to miejscem, w którym

się znajdowali, były tylko obrócone wniwecz ogrody. Te jednak należały nadal do władcy zamku. Falach właśnie tutaj kazał wyciągnąć sztylety. Ta broń, jak wiadomo jest niewielka, ale cechą szczególną tych, które dzierżyli Enicenianie, było to, że są pofalowane i miały nietypowy emblemat. Sztylety te pochodziły z miejsc położonych na południe od Enicenu i Valkirany, a konkretnie z pustyni, gdzie zostały wykute przez tamtejszych koczowników i zabójców. Były też zatrute, ale nadawały się do walki tylko wtedy, gdy przeciwnik nie miał na sobie mocnego pancerza. Na dodatek traciły działanie trucizny już po dokładnie trzech zadanych ciosach. Ludziom pustyni ta właściwość nie przeszkadzała, gdyż nigdy nie uczestniczyli w wielkich bojach, a eniceńscy wojownicy musieli zmierzyć się z wieloma wrogami naraz. Jednak teraz, gdy nikt nie widział żadnego żywego Valkirianina, ale gdy wszyscy wiedzieli, że może się takowy pojawić w każdej chwili, trujące sztylety były odpowiednią bronią.

W ogrodach, w których obecnie znajdowało się wojsko, były umieszczone ławy, a na jednej z nich postanowił spocząć lord. Reszta, wedle rozkazu danego przez Falacha, stała. Lord ruszył naprzód i dał znak, aby jego żołnierze rozpierzchli się w inne strony zamku.

Dowódca zobaczył, że za murami kryją się jacyś łucznicy. Falach uznał, iż byli to strzelcy z Valkiriany. Chciał, aby jego żołnierze zobaczyli, czy ich przeciwnicy nie kryją się w innych miejscach grodu. Okazało się, że owszem. Valkirianie zaopatrzeni w łuki oraz kusze od razu przystąpili do rozstrzeliwania dostrzeżonych członków nieprzyjacielskich oddziałów. Falach szybko odpowiedział na te działania. Jego ludzie prędko ruszyli w stronę murów Berluah, gdzie mieli styczność ze swoimi przeciwnikami. Zamkowa brama była wyważona przez wojska Jelqę, więc Falach mógł wraz ze swoimi pobratymcami bez przeszkody wejść do grodu. Jednak Enicenianie nie pozbawiali życia każdego napotkanego Valkirianina, jako rzeźnicy czynią zwierzętom, lecz ci dobrze wyszkoleni i roztropni żołnierze pobiegli dalej, aby dotrzeć do centrum zamku. Jak się okazało, centrum to było niezwykle rozległe, a więc stanowiło też dobry punkt strategiczny. Świątynia, wzniesiona niegdyś przez samego pobożnego lorda Burleah, płonęła, kapłani znajdujący się w niej trzymali laski lub jakieś narzędzia wyciągnięte ze swoich mieszkań i próbowali się nimi bronić. Jednak rycerze, którzy częściowo opanowali to miasto, rzucali w przeciwników z Jelqę urzniętymi wcześniej głowami ich druhów. W tym samym czasie valkiriański przywódca stanął na wzniesionej w tym mieście iglicy i zaczął krzyczeć: „Niech żyje wasz nowy król! Niech żyje!”, po czym skoczył z powrotem na ziemię. Wpadł, nieszczęśliwie dla niego, na włócznie paru ocalałych mieszkańców Berluah. Po tym zajściu wszyscy byli zmuszeni szybko uciec i odblokować przejście Falachowi oraz jego ludziom, którzy wbiegli w zwartym szyku do świątyni. Tam nakazano im ratować pewną szkatułę. Ludzie krzyczeli po eniceńsku:

– Bierzcie to! Natychmiast! Musicie nam pomóc!

– Kim wy jesteście? – pytał lord wśród zgiełku i w popłochu. – I dlaczego mam to brać?!

– Jesteśmy kapłanami tej świątyni! Trzymaj to, panie i wybawco! – powiedział jeden z nich z pokorą i wcisnął Falachowi ową szkatułę.

Lord, mimo swego zaskoczenia, był zmuszony ją wziąć. Postanowił schować ten



przedmiot pod napierśnikiem, gdyż był na tyle mały, że zdołał się zmieścić pod ową część zbroi. Właściwie mężczyźni, którzy kazali mu zabrać tę rzecz, wyglądali raczej na kogoś w stylu słowiańskich żerców niż na chrześcijańskich księży. Trzymali w rękach coś w stylu kosturów, mieli na sobie kolorowe stroje, nieprzypominające tych liturgicznych, i nosili długie włosy, sięgające im do łopatek. Pomimo tych wszystkich zewnętrznych cech znajdowali się w świątyni Heniqueza i prawdopodobnie posiadali jakieś relikwie, które chcieli chronić za wszelką cenę.

Filip dalej walczył w mieście i było mu dość trudno zachować spokój, nie mając na sobie pancerza, lecz nie poniósł większych obrażeń oprócz kilku niewielkich rozcięć na ręce. Starał się unikać walki, ale gdy przyszło co do czego, nigdy nie zachowywał się zbyt honorowo. Wypatrywał pojedynkującego się Valkirianina i godził mieczem w jego plecy, a sam w żadnym pojedynku tego dnia nie brał udziału. Chciał się kierować wyłącznie sprytem, a nie siłą i heroizmem (w przeciwieństwie do przyjaciela).

Pomiędzy wejściem do oblężonego miejsca kultu a tronem poległego w boju króla Jelqę mieściła się spiżarnia, a na lewo od niej otwór na tyle duży, że zmieściłby się w nim trzynastoletni chłopak. Falach postanowił jednak prowadzić część swych ludzi do wspomnianego już ogrodu. Walka została przeniesiona w tamto miejsce. Stamtąd lord biegł w stronę zaśniewzonego dworu. Lord kroczył wolno, mimo iż groziło przeszywanie walczyliście strzałą. W pewnym momencie usłyszał czyjeś kroki. Przyspieszył z luźnego chodu do marszu, a z marszu do wolnego biegu. Skręcił w lewą stronę i nareszcie trafił do wieży. Nie wiedział, dlaczego ma ratować tę dziwną, chociaż z wyglądu niewyróżniającą się szkatułkę. Położył zatem ten przedmiot na schodach. Ujrzał na stole stojącym kilka metrów od niego pawie pióro z atramentem i kawałek kartki. Uznał to za wskazówkę daną przez los i postanowił zostawić koło szkatułki napis: „Od lorda Falacha dla umiłowanych mieszkańców miasta”. Wieżę uznał za najbezpieczniejsze w chwili obecnej miejsce. Następnie ruszył w stronę zamku, by dołączyć do walczących pobratymców. Lecz jego czerpanie przyjemności musiało się ograniczyć do radowania się z dawno odniesionego zwycięstwa. Jeden z ocalałych wojowników z Jelqę wbił maszt z ich narodową flagą, przedstawiającą młodego wilka, z którego pyska płynęła krew. To zwierzę miało symbolizować samo Jelqę, które było małym państwem, jednak jego obywatele uważali Jelqę za silne. Charyzmatyczny żołnierz zwrócił się do mieszkańców Berluah w ten oto sposób:

– Moi drodzy! Wiemy, że walczyliśmy nie tylko z innymi ludźmi, ale przede wszystkim z utrapieniem i brakiem nadziei w naszych sercach, ale spójrzcie, bracia, na tę flagę! Z powrotem widnieje na tej wieży uradowany wilk, z rozwartymi pazurami i krwią dobywającą się z jego boku oraz z paszczy. Symbolizuje to, że wywalczyliśmy to zwycięstwo własną krwią, ale uradowaliśmy się krwią wroga, która spływa po naszych zębach! To miasto nadal należy do nas! Niech żyje Jelqę!

– Niech żyje Jelqę! – powtórzył lud.

Wszystko to wypowiedziane było w obcej dla Enicenian mowie, która brzmiała faktycznie jak mieszanka języków europejskich. Nikt dziś nie wiedział, czy istniały na tej ziemi jakieś języki przed przybyciem tu ludzi z innego wymiaru. Te, które były za takie uważane, w większości były językami sztucznymi wymyślonymi przez uczonych, aby

dodać ludziom poczucie jakiejś tożsamości. Byłoby to dziwne, gdyby nie świadomość ludzi, że są potomkami „kolonizatorów”, którą dawali nowi przybysze, tacy jak Beniamin Modrzejewski oraz Tomasz Korytkowski.

Niektórzy też urządzili zabawę, lub coś w stylu festynu pochwalnego dla eniceńskiego lorda, który uratował wielką królewską szkatułkę Valkiriany, rezygnując przy tym z walk w mieście. Sam bohater tego wydarzenia nie brał w nim udziału, gdyż był teraz zbyt zdezorientowany i nieskory do świętowania.

Jednak nie wszyscy mieszkańcy Burleah reagowali tak entuzjastycznie. Pozostali ludzie skupiali się na innych aspektach wygranej walki:

– No właśnie! Niech żyje Jelqe! Ale nasz król nie żyje! Czy to powód do radości?!  
– spytała osoba w tłumie.

– Pozostawił po sobie wielu potomków – kłócili się między sobą mieszczanie. – W nich nasza nadzieja. Król spisał testament! Od nieruchomości majątków w zamku i poza nim po najcenniejszy przedmiot – wszystko jest rozdzielone zgodnie z jego wolą.

Falach był jedynym Enicenianinem, który rozumiał mowę ludzi z Jelqe. Zmobilizował się do działania i powiedział:

– Ale przecież nikt nie przygotował się do takich zmian. Wasz król nie musiał ginąć! To było nieprzewidywalne! Jego najstarszy spadkobierca ma dopiero dwadzieścia pięć lat.

– Fakt, śmierć naszego króla nie powinna być opiewana w balladach przez bardów ani minstreli. Jednak śmierć naszego władcy nie jest niczym, co mogłoby zaszkodzić dalszym losom kraju ani jego mieszkańcom – mówił przywódca wojsk Jelqe.

– Zobaczmy, co się stanie – uspokajał jeden z żołnierzy. – Ale nie możemy zakładać gorszego ani lepszego! Powinniśmy patrzeć racjonalnym okiem na naszą sytuację.

Potem jeszcze Falach udał się ze swoim przyjacielem do pobliskiej karczmy, aby napić się piwa i trochę odpocząć od wszystkich walk. Za to gdy ujrzeni, jak wielu ludzi jest w jedynej ocalałej karczmie w tym mieście, od razu stracili nadzieję na to, że wezmą do ust chociaż łyk tego trunku.

– Co to jest?! – zapytał zezłoszczony Filip. – Czy my kiedykolwiek dostaniemy się chociaż do małego stolika i czy dostaniemy przynajmniej szklanek wody?

Mimo tych słów i braku nadziei na napojenie się i uzupełnienie sił wśród takiej chmary ludzi lord mówił:

– Cicho, Filipie. Postaram się jakoś to załatwić.

Wyciągnął z pochwy miecz, wyciągnął go do przodu, a następnie krzyczał na cały głos, tak że słyszano go na drugim końcu miasta:

– Przepuście mnie i mojego przyjaciela! Jestem dowódcą Enicenian!

Ludzie (nawet ci agresywni i będący stałymi bywalcami takich miejsc) nie dość, że panicznie wystraszyli się ukazanego im ostrego miecza, to jeszcze uwierzyli Falachowi na słowo, chociaż nikt nie widział go nawet walczącego, a co dopiero dowodzącego armią, i ustąpili natychmiast miejsca jemu oraz jego przyjacielowi. Wewnątrz miejsca, które było celem ich działań, pito piwo niczym wodę oraz śpiewano pieśni. Dopiero wtedy Filip usłyszał, że język ludzi z Jelqe jest niesłychanie podobny do mowy Germanów.

Takich analogii można było usłyszeć więcej, chociażby język valkiriański brzmiał jak węgierski, a walkijski i powiązany z nim granejski były podobne do języków celtyckich oraz skandynawskich. Jedyne na południowym zachodzie widoczne były wpływy języków ugrofińskich, bałtyjskich (które również wpłynęły na język eniceński), ludów podbitych przez Rzym i mowy Anglosasów. Widocznie ludy, które przechodziły przez znane, ale też inne, nieodkryte przez nikogo innego bariery musiały przynajmniej w części zachować swój charakter, kulturę i język, żeby chociaż budzić skojarzenie z jakimś państwem europejskim. Ale najbardziej podobnym do swojego europejskiego odpowiednika była Enicenia, której cała istota była oparta na kulturze słowiańskiej, takiej jak sposób budowania grodów, podobieństwa do budowania społeczeństwa, przywiązanie do natury mimo całkowitego odrzucenia rodzimej religii, niebudowanie większych budowli, tworzenie dzieł sztuki z drewna i przedstawianie na nich sił natury i alegorii zjawisk natury i życia rodzinnego. O Rameńczykach można powiedzieć głównie to, że posługiwali się praktycznie nienaruszonym językiem arabskim, ale oprócz tego również zajmowali się handlem, hodowlą, wielu z nich było koczownikami, a gdy przybyła do ich kraju religia, zachowali poligamię, zaczęli budować wielkie świątynie i zbudowali cywilizację na walce z innowiercami. Te wszystkie przypadki ludów, które znalazły się poza naszym wymiarem, pokazują, że kultura jest nieodzowna, a metoda życia zbiorowego może płynąć wraz z krwią w ludzkich żyłach. Falach i Filip zastanawiali się czasem, czy na Ziemi ludzie również nie znaleźli się, przechodząc przez portal pomiędzy wymiarami. Jeśli by wieść o istnieniu tych przejść doszła do uszu współczesnego świata, teorie o ewolucji byłaby niepotrzebnym utrudnieniem, a wędrówka pracłowieka z Afryki, czy tym bardziej przejścia Indoeuropejczyków przez góry Kaukaz, mogłyby być podważane.

Spragniony Falach oraz znudzony Filip w tamtym momencie nie poruszali tematów lingwistycznych, kulturowych ani tych dotyczących antropologii, a dobili się do beczki z piwem, wzięli do ręki kufle, mieczem rozcięli drewniane baryłki i zaczęli pić. Odurzeni wyszli, udali się na spoczynek, a rankiem wyjechali wraz z lordowską armią do Andy.

Po kilku dniach wszyscy synowie króla w ciągu kilku dni zrzekli się prawa do tronu: Bern, Ron, Palluck oraz Nellan pozostali rycerzami, a najstarszy – Luqst, dalej nosił tytuł lorda. Władze nad krajem przejęli Enicenie. Dlaczego lud desperacko sięgnął po tak nietypowe rozwiązanie? Dlaczego nikt nie potrafił panować nad tym krajem? Te pytania zadawali sobie nie tylko obywatele Jelqe, ale nawet Enicenie. Przecież Henryk XIII nie walczył z Jelqe, a jeden z jego wasali szedł mu na odsiecz. To było szyderstwo losu.

– Nie mamy już własnych spraw, nie mówiąc o niepodległości! Wszystko dzieje się za naszymi plecami! Tak nisko upadliśmy! Jesteśmy na ich usługach! – szeptał ludzie pod rządami Henryka.

Zaraz po powrocie do stolicy Falach cały czas robił coś w kuźni wraz ze swoimi ulubionymi zbrojmistrzami w mieście. Henryk wiedział tylko, że zapłacił im za jakieś dzieło ze swojego „kieszonkowego” oraz ze zboża, które oddali mu wieśniacy z okolic Vareal. To były dwie jego waluty – złoto podarowane przez króla oraz danina, którą

trzymał od dawna na obrzeżach Andy (w jego własnej chałupie przeznaczonej do przechowywania zapasów).

Król szybko ruszył na podbój Valkirany, a władzę nad Jelqę pozostawił powierzyć swoim wasalom. Kraj ten został wtedy podzielony na cztery części: Jelqę Wschodnie, Zachodnie, Północne i Południowe. Król uczynił Falachowi bardzo dużą przysługę i tak go uhonorował, że w rękach tego niezwykłego lorda spoczywało zarządzanie całym Jelqę. Król zaprosił go na uroczystą ucztę w Andzie – stolicy Enicenii, aby uczcić jego tryumfy w ostatnich bitwach. Podczas zabawy w wielkiej balowej sali posadził Falacha na honorowym miejscu, traktował z najwyższym szacunkiem, a w końcu wyjawiał swoją niespodziankę:

– Słyszałem, Falachu, że podczas ostatniego oblężenia zaniósłeś gdzieś jakąś szkatułkę, daną ci przez jakiegoś kapłana.

– Tak, to prawda. Dobrze król słyszał, ale dlaczego król mi to teraz mówi?

– A to się zaraz okaże. Musisz mi tylko powiedzieć, czy zawsze będziesz wykonywał tak bezsensowne zadania i będziesz zajmował się takimi bzdurami, jeśli ktoś ważny ci je zleci.

– Myślę, że tak.

– To wspaniale, drogi Falachu.

– Ale do czego król zmierza?

– Za kilka lat, gdy Luqst będzie w odpowiednim wieku, by wstąpić na tron ojca, wtedy oddasz władzę nad Jelqę w jego ręce. Jednak gdy ja umrę, ty otrzymasz tytuł króla Enicenii – mówił Henryk. – Jeżeli jednak umrę wcześniej, niż Luqst zostanie królem, ty i tak otrzymasz królestwo. Jednakowoż całe Jelqę będzie pod władaniem twojego przyjaciela Filipa.

– Ja... Ja nie... – lord próbował dyplomatycznie protestować.

– Nie nadajesz się na króla? To jest śmieszne! – mówił z widoczną radością na twarzy, niczym wujek niosący dobrą radę i przekonujący o wielkich możliwościach swego bratanka. – Każdy tak mówi, a mimo to po nocach marzy o władzy, mimo iż nie zawsze nadaje się do roli władcy. Wielu ludzi pragnie władać wielkim mocarstwem, chociaż jedyną rzeczą, z jakiej by zasłynęli podczas swoich wymarzonych rządów, byłaby ich niezwykła tyrania i niesprawiedliwe władanie. Ty, mimo że nie chciałeś zostać królem, będziesz dobrym przywódcą tego kraju, choćby ze względu na twoją skromność i oddanie się służbie w armii.

– Ale to nie jest zadanie dla mnie! – tłumaczył zmieszany Falach. – Poza tym nie jestem wcale skromny – dodał.

– A czy to jest najważniejsze? – mówił król, który dalej próbował postawić na swoim. – Bo dla mnie najważniejsza jest głowa na karku i dobre serce.

– Właściwie tak – rzekł lord, który w tym momencie próbował pójść ze swym seniorem na ugodę i go więcej nie drażnić. – A zresztą! Przecież ta korona, którą mam otrzymać po twojej śmierci, jest dla mnie niezwykle dobra. Rzadko kto z własnej woli wręcza taki prezent, dzięki któremu będę miał pod swoją ręką całe królestwo.

– I to chciałem usłyszeć! – okrzyknął radośnie władca.

Jeszcze zanim tego dnia zaszło słońce, król nagle znalazł swój od dawna zaginiony

miecz. Okazało się, że oręż ten był od zawsze w jego komnacie.

Następnego dnia lord Falach wyszedł już o poranku na podwórze Henryka, gdzie postanowił uroczyście przebywać jako nowy następca króla Enicenii. W miejscu, w którym stał, widać było promienie wschodzącego słońca, przebijające się przez mury dziedzińca. Lorda otaczały pięknie wyrzeźbione kamienice oraz alabastrowe pomniki aniołków i legendarnych stworzeń, takich jak węża morskiego czy smoka. Tego dnia włosy Falacha były miękkie i wypielęgnowane, gdyż po ostatnich dniach wielkich bojach w końcu znalazł chwilę, w której mógł o siebie zadbać. Były one targane przez poranny wiatr. Sięgały mu do ramion, gdyż nigdy nie miał czasu ich ściąć. Odziany był wyłącznie w coś na kształt togi. Mimo tego skromnego odzienia na tym królewskim dziedzińcu, od bardzo wielu lat, po raz pierwszy poczuł się jak król. Jednak właśnie w tym momencie przyjechał do niego na koniu jego przyjaciel, po czym zsiadł z rumaka i pobiegł do lorda.

– Falach! – zakrzyknął Filip. – Atakują zamek Hegeir, trwa oblężenie!

– Przecież to zamek Jelqe – powiedział lord z twarzą pokerzysty.

Filip spojrzał na Falacha, jakby zniesmaczony jego, wydawało się, cyniczną odpowiedzią.

– A... ale przecież... twój honor! Przecież król powierzył tobie ten kraj – mówił rycerz, próbując przemówić do rozsądku swojemu panu.

– Ale aż tak bardzo nie zależy mi na nim – oświadczył lord, biorąc do ręki przygotowany wcześniej kufel specjalnego, gorącego piwa.

– Kiedyś... to znaczy w... naszym świecie mówiłeś mi, że to właśnie mi nie zależy na niczym. Po tym, jak się ostatni raz pokłóciliśmy. Dawno temu. Mówiłeś coś o tym, że nie znam smaku prawdziwego życia. Wydaje mi się, że ta podróż nas pojednała. I odnoszę wrażenie, że to właśnie tutaj poznałem smak, który miałeś na myśli. Dowiedziałem się, że najważniejsze jest braterstwo, jedność w obliczu wroga. Nie setki podejrziętych gardeł ani litry wylanej krwi, tylko wspólne dążenie do celu.

Lord oczywiście czuł się niezręcznie, słuchając swojego przyjaciela, wygłaszającego takie kazanie, lecz odpowiedział na temat cytowania jego słów, co go niezwykle rozdrażniło:

– Nie mów mi o MOICH WŁASNYCH naukach! – Po czym zmienił temat – Powiem ci tylko, że żadna przygoda nas nie zjednoczyła. Kiedyś cię nienawidziłem, a teraz, owszem, zmieniłem o tobie mniemanie, ponieważ dziś jesteś mi obojętny.

– Ależ co to ma do twojej zdrady, jakiej teraz się dopuszczasz?

– To nie zdrada. Nikogo nie zabiłem.

– Ale bez ciebie zginą ludzie – krzyknął rycerz. – Przez władzę, którą wydaje ci się, że masz, przewraca ci się w głowie.

Po tym wywodzie Filip odwrócił się i odszedł zdecydowanym krokiem bez słowa. Następnie, co zdziwiło Falacha, wskoczył w zbroi na swojego konia. Zebrał znajdujących się w mieście ochotników i stworzył z nich małą armię, aby wykonać zadanie, które powinien wypełnić jego przełożony. Ruszył szybko ze swą garstką słabo uzbrojonych i niedoświadczonych ludzi, a zmierzał oczywiście do zamku Hegeir.

Odpoczynek następcy króla nie trwał długo. Po tym, jak pokłócił się po raz kolejny ze swoim przyjacielem, przybył do niego posłaniec króla.

- Panie! Pan Henryk mówi, że masz się u niego zjawić.
- Czy Filip po raz kolejny coś nabroił? Czy może kolejna bitwa?
- To drugie.
- Dobrze. Już do niego idę.
- A pański przyjaciel? Rycerz Filip? Co się stało?
- Po prostu się pokłóciliśmy.
- Jak stare dobre małżeństwo?
- Tak, ale to była męska kłótnia. Wiesz... o honor i te sprawy.
- Rozumiem.

Lord miasta Vareal poszedł do siedziby władcy, a potem był zmuszony do udania się na ustalone miejsce bitwy. Falach miał towarzyszyć swemu panu w walce przeciwko Valkirianom pod górą Antitti. Miejsce to znajdowało się niedaleko stolicy, podróż stamtąd do Andy trwała zaledwie kilka godzin jazdy konnej. Monarcha wyjechał przed swoim podwładnym, aby mieć pierwszeństwo w starciu i zjawić się na wyznaczonym terenie przed Bradosem. Jego wasal najpierw nałożył na siebie szybko kolczugę i wziął do ręki pierwszy z brzegu miecz ze stojaka na broń znajdującego się tuż przy wyjściu poza siedzibę króla, a potem pobiegł za swoim seniorem. Lord nie zdołał dogonić Henryka, więc zastał go, kiedy ten już walczył.

Podobnie miała się sytuacja Filipa, który zdążył dotrzeć na miejsce, a zobaczył tam, że w bitwie uczestniczyli jacyś tubylcy, chłopci, prawdopodobnie również rzemieślnicy miasta, a na pewno nie było po stronie Jelqe żadnych doświadczonych rycerzy. Upadające miasto w walce Valkirianą wspomagał Khericki Khan, Walkia i garść przybyłych wojsk Enicenu. Trwała tam istna rzeź, nikt nie miał czasu obejrzeć się za siebie, zanim broń wylądowała w jego ciele. Setki ludzi ginęły praktycznie w tym samym momencie i nikt nie zdążył ujrzeć nawet twarzy swego wroga, gdyż najczęściej od razu obydwaj ginęli.

Lord Falach nie czekał ani momentu, aby obmyślić plan podejścia do nieprzyjacielskich wojowników walczących w strasznym popłochu. Zwyczajnie pojechał na koniu i wywijał mieczem, pozbawiając tym samym życia dziesiątki valkiriańskich wojowników. Miejsce, w którym miała miejsce ta walka, było zboczem średniej wielkości wzgórza, wyróżniającego się na tle innych tego typu wzniesień tym, że znajdowały się na nim ruiny pewnej świątyni, a wśród nich pomnik prawdopodobnie przedstawiający jednego z eniceńskich monarchów. Jednak naprzeciw tego był do dyspozycji dość duży, zielony obszar. Tym razem był jednak urozmaicony przez liczne krzewy oraz drzewa, a pozbawiony innych wzniesień niż Antitti. Henryk, niczym król Polski Władysław Jagiełło podczas bitwy pod Grunwaldem, stał na owej górze, obserwując zmagania wojujących poddanych. Lord dowódca zjawił się, przyjeżdżając od boku miejsca, na którym stacjonował jego władca, a spojrzawszy do tyłu w górę, ujrzał go i uznał, że nie powinien był tu przybywać, skoro monarcha ma tylu ludzi, że uznał, iż nie musi walczyć, a na dodatek wyjechał, zanim Falach się stawił. Jednak na polu bitwy było widać coś zupełnie innego, gdyż można było dostrzec, że aż tak wielu Valkirian nie bierze w tym starciu udziału, a prawda była taka, iż mieli nawet niewielką przewagę. Chociaż trzeba było oddać andyjskim rycerzom, że świetnie radzili sobie zarówno w pojedynkach, jak

i że świetnie wykorzystywali swoje wierzchowce, tratując nimi naprawdę wielu swych wrogów. Tych jeżdżących na owym zwierzęciu oraz będących po stronie Eniceniei było niewielu, jednak mieli oni tak dużą przewagę nad pozbawionymi koni Valkiranami, że mogliby sami zmierzyć się z nimi, wygrywając przy tym z bardzo dużą przewagą. Jednak Valkirianie nie byli bezbronni, gdyż kraj ten słynął od bardzo wielu lat ze wspaniałych łuczników, a gdy świat ten rozwinął się do tego poziomu, że pojawiły się w nim kusze, ludzie zamieszkujący to państwo równie dobrze poznali tę broń i nauczyli się nią wybornie posługiwać. Rzadko używali jej w boju, ale gdy już byli zmuszeni ją wykorzystać w rzemiośle wojennym, nikt nie umknął przed wystrzelonymi przez nich beltami. Tak było i dzisiaj. Niestety wielu Enicenian poniosło wtedy taką śmierć. Ci, którzy przeżyli, tak makabrycznie rozprawili się z przeciwnikami, że Valkirianie zaledwie po kilku godzinach tej (mimo dzielnych eniceńskich kawalerzystów i celnych strzelców walczących po stronie Valkiriany) mało dynamicznej walki skapitulowali.

Podwładny Henryka miał w zwyczaju przed bitwą przywiązywać swoją nogę do siodła konia, którego dosiadał. Robił to na wypadek, gdyby wierzchowiec postanowił wykonywać dzikie podskoki lub inne niebezpieczne rzeczy. Myślał, że w ten sposób uchroni się przed bolesnym upadkiem, a owej decyzji z nikim nie konsultował. Podczas tej bitwy poczuł się jak nieodpowiedzialne dziecko i obiecał sobie, że zaprzestanie podobnych praktyk. Stało się tak, ponieważ tym razem lord wziął ze sobą zbyt długi sznur, a zamiast przyciąć, skrócił go poprzez kilkukrotne zawiązanie. Mimo jego niebywałych starań, po zakończeniu starcia, gdy jego koń stanął na tylnych kończynach, Falach upadł z hukiem na ziemię. Wystraszony wierzchowiec ruszył do przodu, ciągnąc za sobą rozwiązany, kilkumetrowy sznur, a wraz z nim lorda. Ten obijał się o ziemię; mimo tego, że miał na sobie gruby pancerz, uderzał o kamienie i wyskakiwał z wypiętrzonych pagórków. Koń, myśląc, że jakaś istota go goni, biegł dalej i robił to coraz szybciej. W końcu jeden z rycerzy podbiegł od boku do turbującego lorda konia i z łatwością przeciął linę, która łączyła siodło i nogę Falacha. Koń zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Zawstydzony i poobijany eniceński dowódca zwrócił się do wybawcy:

– Dzięki! Myślałem, że to bydlę będzie mnie tak wieźć, aż stracę przytomność albo aż umrę z głodu.

– Nie ma sprawy. Ale pomyślałem sobie, czy to może być ten znamienity Falach, pan miasta Vreal. Tyle opowiadał o tobie Henryk. Prawie porównywał cię do nadludzi.

– No i właśnie wcale taki nie jestem. Henryk mówi tak, ponieważ chce, żebym miał... godną reputację. Chyba traktuje mnie jak jakiegoś pupilka. W końcu zna mnie od dzieciństwa, przygarnął mnie, a teraz wychwala mnie jak swojego syna. A tak poza tym, to ty o mnie słyszałeś? Znasz mnie?

– Z widzenia. Żyję w Andzie. Pan tam teraz stacjonuje.

– Król powiedział, że muszę tam przebywać, gdyż mój zamek znajduje się zbyt daleko od granic wrogich państw. Sądzę jednak, że powinniśmy się pozbierać i ruszać z powrotem właśnie do stolicy.

Lord przeczuwał, że jego władca będzie zażenowany obecną sytuacją, więc nie zamienił z nim słowa. Valkirianie, którzy się poddali, obiecali, że pod opieką Enicenian zawiozą poległych rodaków do miast i ich pochowają. Falach, wykorzystując deklarację

jeńców, szybko wrócił do stolicy, a w niej dalej lenił się, delektując się tamtejszymi napojami.

W pewnym momencie do Hegeir nadeszli łucznicy z Enicenii, choć nikt nie wiedział, że w ogóle przybyły posiłki. Strzelcy pozbawili życia wszystkich ludzi, którzy się napatoczyli, chociaż większość walczących była narodowości valkiriańskiej. I tak też zakończyła się krwawa i bezsensowna bitwa.

Falach w tym czasie spoczywał w swej komnacie i popijał napój przygotowany przez andyjskie służące. Powoli nadchodził wieczór; słońce, gdyby nie było przysłonięte chmurami, widoczne byłoby tuż nad horyzontem. Nie było jednak aż tak późno, aby Falach nie mógł się tego dnia bawić. Następnego dnia nie potrzebował wypełniać żadnych obowiązków, a jego przerwa w prowadzeniu walk miała trwać kilka tygodni. Rolę dowódcy musiał godzić z posiadaniem własnego zamku. Kiedy przebywał w Andzie, jego posiadłością zajmowała się wyznaczona przez niego osoba, ale i tak zastanawiał się, czy to, że owo miejsce jest jego własnością, jest dla niego korzystne. Mimo tych rozważań na temat swoich praw i obowiązków Falach nastawiony był wtedy na wieczorną zabawę. Wielu ludzi czuło się dziwnie, gdy myślało o spędzaniu wolnego czasu z kimś, kto zajmuje się zabijaniem ludzi. Niewielu patrzyło na wojnę jako na walkę pomiędzy dorosłymi mężczyznami, którzy ryzykują swe życie, służąc królowi oraz wielu szczytnym ideom. Dla zwykłych mieszkańców Andy tańczenie z dowódcą wojsk było jak bratanie się z kimś, kto ma na rękach krew kobiet i dzieci. Falach tego nie rozumiał, mimo iż był jednym z najbardziej lubianych przywódców w historii Enicenii. Ludzie cenili go nie tylko za jego odwagę, wierność królowi, ale również za ekscentryczne zwyczaje, indywidualizm, spokój ducha i cięty humor. Benjamin Modrzejewski, jako jeden z ludzi, który najlepiej zapoznał się z tutejszym językiem (który de facto wyewoluował z mowy polskiej), operował słowem tak świetnie, że wielu nie zdawało sobie sprawy, iż jest on jednym z przyjaznych i lojalnych przybyszów z innego wymiaru. Lord również zaskakiwał rozmówców używaniem europejskich internacjonalizmów, które w większości przypadków nie dotarły do ówczesnej mowy Enicenian lub w niej nie przetrwały.

Podczas kiedy Falach zajmował się wyłącznie odpoczynkiem, przyszedł do niego pewien chłopak i orzekł, że teraz to on będzie nowym paziem i służącym Falacha.

– A kto ciebie właściwie do mnie przysłał?

– Król Henryk – odparł.

– Kolejny? A kim ty w ogóle jesteś?

– Nazywam się Gerden.

– I po co tu przyszedłeś?

– Mam być pana służącym.

– Kim? – zapytał zdziwiony lord.

– Paziem, giermkim!

– Dobra. Jak tak, to wiedz, że na razie nie masz żadnych obowiązków. Ja odpoczywam, a ty usiądź tu i czuj się jak u siebie w domu... w granicach przyzwoitości.

Nowy służący Falacha zrobił tak, jak mu rozkazano. Przez parę minut obydwaj spokojnie sobie siedzieli, gdy wtem zaniepokojony podniesionymi głosami ludzi następcą



króla wyrzął przez okno. Ujrzał Filipa niesionego przez innych rannych żołnierzy na noszach. Miał kilka strzał wbitych w nogi i zbroję przebitą nimi na klatce piersiowej i ramionach. Cały był we krwi, mimo iż większość jego uzbrojenia była zdjeta. Jego twarz była cała brudna, wręcz nie dało się dostrzec, kto to był. Lord był jednak pewny, że ci ludzie noszą ciało jego bliskiego druha. Powieki młodego mężczyzny były na wpół otwarte, więc można się było domyślić, że jeszcze nie umarł. Po jakimś czasie wyszli, najprawdopodobniej z pobliskiego szpitala, trzech zwiadowcy w czarnych szatach i powiadomili Falacha o śmierci przyjaciela. Powiedzieli, że nie udało się go uratować. Gerden siedział zmieszany, a lord podszedł wtedy na dziedziniec, gdzie wystawiono ciało Filipa, i oddał mu pośmiertny hołd, po czym powiedział:

– Proszę! Przeze mnie rozstaliśmy się skłóceni! To koniec! Henryk jednak zgubił nasze królestwo, tak jak swój miecz.

– Lordzie! – powiedział ocalały żołnierz. – Pański druh nie ma już w sobie praktycznie kropli krwi. Nie oddychał już, zanim go wzięliśmy z pola bitwy. Został zastrzelony... najprawdopodobniej przez naszych ludzi, chyba że strzały utknęły już po jego zgonie. Nie miał na sobie śladów żadnego ciosu od topora ani miecza. Najwidoczniej to nasza wina. Mogliśmy chronić naszego dowódcę.

– Nie... – zaprzeczył lord, po którym było widać, że ma wyrzuty sumienia. – To moja wina.

## VI

Od samego poranka życie toczyło się niezwykle szybko. Ludzie w Andzie nie zamierzali zwlekać z żadną czynnością. Tego dnia trwało jedno ze świąt, które było właściwie tylko okazją do odpoczyniania. Większość kobiet spędzała czas na targu, kupując słodkie wypieki lub inne kaloryczne i proste dania, albo po prostu uzupełniały zapasy w spiżarni, na co zwykle nie miały czasu podczas mrocznych dni wojny. Natomiast mężczyźni, którzy na co dzień trudnili się rzemiosłem lub mieli inny zwyczajny, miejski zawód, tego dnia przechodzili w grupach od jednej knajpy do drugiej, pijąc morze piwa. Handlarze i barmani mieli pełne ręce roboty. Grajkowie grali na gitarach i na dudach, zabawiając w ten sposób ludność Andy. Jednakże żołnierze Falacha nie zamierzali się bawić ani też pracować, gdyż śmierć Filipa niezwykle wstrząsnęła ich zwierzchnikiem, a ich obowiązkiem było wesprzeć swojego pana obecnością przy nim i dobrym słowem skierowanym do niego. Tak nakazywały dobre obyczaje. Jednak Falach ledwie chwilę rozmyślał na temat śmierci swojego druha. Jeśli to nieszczęśliwe zdarzenie przypominało wam śmierć mitycznego Patroklesa, to musicie wiedzieć, dlaczego skojarzenie to jest słuszne. Falach, który w geście wdzięczności króla otrzymał wielką władzę, tak samo jak pyszny Achilles zignorował nie tylko walkę, na którą miał się stawić, lecz przede wszystkim poczucie obowiązku służenia królowi, które sam rozbudził w swoim przyjacielu. Czy był winny jego śmierci? Na pewno. Jednak jego karą były wyłącznie wyrzuty sumienia, które nim targwały. Nikt przecież nie mógł ukarać ani Achillesa, ani Falacha za nieodpowiedzialność swojego towarzysza.

Jednak potem ruszył na łowy, aby odetchnąć trochę od rozmyślań na temat swoich błędów i okrucieństw, jakie szykuje nam czasem los. Jednak zanim ostatecznie wyruszyli, królewscy łucznicy pod przewodnictwem Falacha postanowili złożyć hołd poległemu rycerzowi na polu przed miastem. Lord przedtem oznajmił:

– Oddajmy piętnaście strzałów dla naszego przyjaciela i bohatera. Objasnię, dlaczego akurat wybrałem tę liczbę: Piętnaście odpowiada ilości schodów, którymi szedł Herniquez na swoje katusze. Piętnaście strzałów Boskiej Sprawiedliwości. Chcę tym gestem podziękować mojemu przyjacielowi, który jak Herniquez ruszył, aby ratować NAS. Mimo że jego śmierć była przesądzona.

Gdy Falach dał znak, strzały zostały wystrzelone. Po raz pierwszy, po raz drugi, potem tupnięto dwa razy, po raz trzeci i czwarty, dwa tupnięcia łuczników, i tak dalej...

Gdyby pozwolono Falachowi powiedzieć to, co myśli, od razu by wyznał, że miał nadzieję, że jego druh przeżyje. Jediną rzeczą związaną ze śmiercią przyjaciela, o której pomyślał Falach, było to, że przeczuwał, iż Filip umrze w tym świecie. Prędzej czy później. W ten czy w inny sposób.

W końcu uznano, że Falach nie miał obowiązku stawić się na bitwę, w której zginął sir Filip, a ponadto stwierdzono, że wynik walki był z góry przesądzony, więc nikt nie powinien był dołączać się do niej. Widocznie król Henryk na tyle bardziej cenił Falacha od Filipa, że nie starał się ratować honoru swego wasala. Tym razem Falach postanowił być rozważny w tym, jak wykorzystuje swoje stanowisko, i nie był

zadowolony z postanowienia swojego władcy. Długo zastanawiał się, czy jego przyjaciel nie znajduje się teraz w Polsce i czy te przesady związane z powrotem do rodzimych ziem po utracie życia poza światem są prawdziwe. Potem doszedł do wniosku, że cokolwiek się stało, musi czynić wszystkie swoje powinności. Zapytał tylko jeszcze króla:

– Kiedy będę mógł powrócić do Vareal?

– Cóż... – zastanawiał się Henryk, po czym stwierdził: – Jesteś moim następcą. Ale sądzę, że będziesz miał możliwość powrotu do swojego własnego miasta za dwa lub trzy miesiące. Sądzę, że wtedy będziemy trzymać wrogów z zachodu w szachu, a więc będę miał możliwość urządzenia przerwy w prowadzeniu walk. Jeśli uda mi się to zrobić, na pewno będziesz mógł znaleźć się w swoim ukochanym Vareal.

– Dobrze. Dziękuję.

– A, jeszcze jedno... współczuję ci. Sam wiem, co to utrata przyjaciela. Sam byłem niegdyś zwykłym żołnierzem, a wtedy moi znajomi ginęli co dzień.

– Ale nie chodzi mi o samą utratę, ale o to, że sam się do tego przyczyniłem. A tego uczucia nie znasz, królu.

– A skąd taka pewność?

– Jak to skąd? Jeszcze nikt nigdy mi nie mówił o tym, aby król nie poszedł w bój, w którym stawiał się pański przyjaciel.

– Nie mówił, bo to byłoby jeszcze coś naprawdę niewielkiego. Często zostawiałem towarzyszy na polu walki wtedy, kiedy nikt mnie o to nie prosił, gdyż był to mój psi obowiązek. Poza tym raz próbowałem uciekać z pola bitwy. Byłem wtedy młody, a nie zawsze miałem ochotę walczyć do końca, a tym bardziej ratować walczących żołnierzy. Cokolwiek o mnie pomyślisz, nigdy nie uważaj mnie za wzór dobrego wojownika. Jestem tylko zwykłym porywczym człowiekiem.

– Dziękuję, że król próbuje mnie pocieszyć, ale chyba muszę już iść. Zresztą chciałbym już odpocząć w swojej komnacie.

– Dobrze. Jeśli chcesz, udaj się tam.

Słowa o słabościach króla i o tym, że nigdy nie można osiągnąć ideału człowieczeństwa (jak to interpretował Falach), pogrzyły Falacha w złości. „Czy już na nic człowiek nie ma wpływu?” – pytał w myślach. Natomiast przewidywania o możliwej przerwie i powrocie do własnego miasta niezwykle uszczęśliwiły lorda i dodały mu otuchy, dzięki której miał z powrotem ochotę działać. Krótka przerwa w wojnie nastąpiła już wtedy, a sam Falach w jednym ze swoich wolnych dni, w których nie musiał ani przeprowadzać oblężenia, ani uczestniczyć w bitwie, wyszedł na pole treningowe. Była to polana, na której posadzono nieliczne drzewa: dwa buki i jeden dąb. Oprócz tego znajdowały się tam płotki, drażki, stojaki na drewniane miecze, włócznie, tarcze, łuki i kusze, strzały oraz okrągła kupa siana służąca jako cel. Gdy lord wkroczył na to miejsce, ujrzał trzech ćwiczących tam mężczyzn. Podeszedł do nich i zapytał:

– Co wy tu robicie?

– A ty co tu robisz? – spytał jeden.

– Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie. A tak w ogóle to jestem Falach. Przyszedłem tu trenować.

– A ty nie przypadkiem jesteś gdzieś lordem? – spytał inny.

- I następcą króla.
- Synem?
- Nie. Król Henryk nie ma syna. Córki również.
- Więc jak możesz być jego następcą?
- Po prostu mnie nim ustanowił. Powiedział, że jeśli on zginie, to ja będę królem.
- Nie wierzę ci – oznajmił trzeci mężczyzna. – Słyszałem o Falachu wiele rzeczy.

Podobno jest wojownikiem tysiąclecia. Mówili mi, jakoby zabijał tysiące mężów. Gdybym wierzył w te legendy, na pewno nie uznałbym, że to akurat ty miałbyś być tym wielkim żołnierzem i dowódcą. Jednak te bajdy nie są dla mnie żadnym źródłem informacji. A ponieważ ludzie je opowiadają z jakiegoś powodu, to widocznie można to sprawdzić, walcząc z tobą. Chyba ktoś, o kim mówi się, że jest nadczłowiekiem, nie może być słaby w walce.

– Słuchaj, te legendy rozgłasza Henryk, ponieważ chce, aby ludzie mieli o mnie właśnie takie zdanie – odpowiedział z uśmiechem na ustach. – Ale jeśli chciałbyś się ze mną zmierzyć, to mogę to zrobić z czystej przyjemności.

– Ale ja wolałbym mieć pewność. Wygrywając ze mną, mógłbyś mieć zwykłe szczęście. Muszę ci dać jakieś utrudnienie.

– Gdybyście walczyli wy wszyscy przeciwko mnie, byłby to dla mnie wyjątkowo duży dyskomfort.

– Co?

– Nic. To takie słówko z mojego świata.

– Z twojego świata? A więc ty też uważasz, że jesteś z...

– Obcego uniwersum?

– Zobacz – mówił jeden z napotkanych do swoich towarzyszy. – Ten Falach to jakiś prawdziwy wybryk natury.

– Ale chyba możemy z nim poćwiczyć.

– Pewnie.

Walka oczywiście została stoczona. Z lordem dowódcą walczyło trzech mężczyzn: Gramdling, Arghalehbet i Mort. Falach niezwykle dobrze sobie radził. Robił z przeciwnikami to, co chciał. Unikał ciosów pięścią i ani razu nie został uderzony drewnianym mieczem. Uderzył zaledwie raz każdego mężczyznę. Mort został uderzony bronią w nogę, Gramdling otrzymał cios pięścią w twarz, a Arghalehbeta Falach dźgnął lekko drewnianym mieczem w brzuch. Wszyscy trzej się cofnęli się o kilka kroków, a potem zastanawiali się, jak podejść wroga. Rozeszli się w trzy różne strony, tak że Falach nie mógł się wycofać. Nie miał wcale takiego zamiaru, dlatego wtedy zaczął ruszać się jeszcze szybciej i po prostu uderzał kolejno każdego, przez co wszyscy musieli się po raz kolejny oddalać i odsłaniać tym samym Falachowi drogę ucieczki. Nie oznacza to, że trójka była bezsilna i cały czas dawała mu spokojnie wymachiwać mieczem. Sam nieraz musiał się bronić i również doznał pewnych obrażeń. Uderzali go w brzuch, nogi, raczej unikali mocnych ciosów w głowę, ale najbardziej poraniono mu górne kończyny. Po walce miał wiele strupów na przedramieniu. Wyglądały tak, jakby ktoś Falachowi zadał w ręce kilka ciosów batem. Oprócz tego dość zręcznie wychodził z opresji, a jego przeciwnicy nie mogli nadążyć za jego ciałem, kiedy wykonywał zwinne uniki. To

wszystko oczywiście nie mogło zdecydować o wyniku starcia. Lord dostrzegł, że najsłabszym ogniwem w owym towarzystwie był silny, ale ociężały Gramdling. Gdy tylko się do niego zbliżył, od razu uderzył go drewnianym mieczem w ramię, potem brzuch, a gdy ten się pochylił, został kopnięty w głowę kolanem. Upadł na ziemię i będąc ledwo przytomny, powiedział, że się poddaje. Podobnie zrobili inni, którzy uznali, że powalenie na ziemię Gramdlinga to wystarczający dowód, że Falach dobrze radzi sobie w walce. Po skończeniu potyczki, gdy pokonany mężczyzna w końcu powstał, trzech druhowie zaproponowali swojemu nowemu kompanowi, aby ten udał się z nimi do karczmy i spożył z nimi dowolny trunek.

– Dziękuję za propozycję, ale nie przepadam za alkoholem. Czasem piję piwo, ale nie traktuję tego jako używkę, lecz jako smaczny, gaszący pragnienie i niezbyt drogi napój.

– To nie szkodzi.

– Dziękuję. Przy okazji chciałem wam coś zaproponować.

– Co dokładnie?

– Powiedźcie przedtem, czym się trudnicie.

– My dwaj, czyli Mort i Arghalehbet, jesteśmy żołnierzami wydalonymi ze służby. Ogólnie to nigdy nie wypełnialiśmy rozkazów i... no wiesz... nieźle balowaliśmy.

– A ty? – spytał Falach, wskazawszy na trzeciego.

– Ja jestem Gramdling, kowal.

– Dobrze. Sądzę, że moglibyście się nadać w mojej armii.

– Jak to w armii? – spytał zdziwiony Arghalehbet.

– Jestem również dowódcą wojska oraz wojownikiem.

– Tak? – mówił Gramdling. – To bardzo miła propozycja. Ja się zgadzam. Musiałbym jednak odstawić na jakiś czas swoje rzemiosło.

– Ja również się zgadzam – zawołał Mort.

– I ja!

– Wyśmienicie. Ale wy dwaj... – oznajmił, wskazując Morta i Arghalehbeta. – Mam nadzieję, że nie będziecie robić tych rzeczy, za które was wywalono.

– Oczywiście.

– Ma się rozumieć.

– Mam nadzieję, że wasze słowo coś znaczy. Jeśli tak, będziecie moimi pomocnikami. Wybrałem was, ponieważ już się trochę znamy, a że ja nie mam zbyt towarzyskiej duszy, to druga taka okazja może się prędko nie nadarzyć.

Potem cała czwórka udała się do Andy. Po drodze Mort uciął sobie pogawędkę z nowym przywódcą.

– Musisz być świadom, że wcześniej ani ja, ani Arghalehbet nie mieliśmy pracy. Teraz, gdy nas zaciągnąłeś do armii, być może uratowałeś nam życie. Kto wie, czy nie zginęlibyśmy z głodu. Całe szczęście, że nasz przyjaciel Gramdling przez chwilę zobowiązał się nam pomóc, ale na dłuższą metę byśmy nie wytrzymali.

– Dziękuję za informację, ale musisz wiedzieć, że jestem lordem. Zazwyczaj nie mówią mi na „ty”.

– Jesteś lordem? Co to znaczy?

– Po prostu tak zwykłem nazywać władcę jakiegoś miasta, grodu, zarządcę zamku. Sam rozpropagowałem tę nazwę.

– A skąd masz to miasto? To znaczy jak je zdobyłeś?

– Jak **pan** je zdobył. Ale mniejsza o to. Dostałem je w prezencie. Od mojego przyjaciela.

– Jaki przyjaciel miał zamek?

– Król Henryk.

– To wyjaśnia dlaczego uczynił cię... to znaczy pana... swoim następcą. Jeśli faktycznie ma z tobą tak bliskie relacje, to jesteś chyba...

– Niezłą szychą.

– Cokolwiek to znaczy.

Gdy dotarli do Andy, zostali przyjęci ciepło przez króla. Według życzenia lorda dowódcy zostali powołani do służby w jego wojsku. Nie byli pasowani na rycerzy ani nie składali żadnych ślubów królowi, ale byli zobowiązani walczyć przez następne trzy miesiące, a potem opuścić szeregi armii Henryka. Nie wiedzieli dokładnie, dlaczego został im wyznaczony akurat taki termin oraz byli zawiedzeni tym, że nie będą mogli brać udziału w wojnie dłużej, ale i tak wszyscy trzej pogodzili się z tą decyzją.

Mijały miesiące nieustannych bitew i krwawych starć. Gdy te trwały, Falach powoli zapomniał o Filipie. Miał nowych towarzyszy, na których każdego dnia musiał mieć oko. Jego przyjaciela pogrzebano na cmentarzu rycerzy w Andzie.

Toczyły się kolejne krwawe starcia pomiędzy wojownikami z Valkiriany a tymi z Eniceniei, Walkii oraz Rameńskiego Akh. Napastnicy radzili sobie coraz gorzej, a atakowany kraj przestał ponosić liczące się straty. Jego ziemie nie przechodziły już tak szybko w ręce wroga, a czasami udawało się Valkirianom odzyskać dawne lub zdobyć nowe miasta. Przy porażkach Enicenian nie było lorda Falacha, a gdy się zjawiał na polu bitwy, natychmiast odpierał wszelki atak, tak że jego przeciwnicy drżeli na samą wieść o nim, a gdy zobaczyli tylko jego sylwetkę, natychmiast kapitulowali. Raz się zdarzyło tak, że ludzie w pewnym zamku zostali powiadomieni przez szpiega, iż król szykuje wojska na właśnie to miasto, a więc sposobili się do nadchodzącej bitwy. Kazali wyjść jednemu z mieszkańców, aby przygotował pale, które by powstrzymywały napastników, czyli jak się potem okazało, wojska Falacha. Krzyczano, że przybywa ten słynny dowódca, a mężczyzna, którego zesłano niechybnie zbyt późno na dół, prosił, aby został wciągnięty do zamku. Nikt nie chciał tego uczynić, a Falach, gdy zobaczył bezbronnego człowieka, cisnął w niego swą włócznią, pozbawiając go życia. Po jakimś czasie ostrzeliwania, wspinania się oraz bezpośredniej walki zamek został zdobyty.

Jednak za wspomniane niepowodzenia Falach obwinał monarchę, który w jego oczach uchodził za kiepskiego władcę. Wasal Henryka uważał, że niepotrzebnie intronizowano wspaniałego wojownika, i liczył, iż niedługo sam wstąpi na jego tron. Niestety niepotrzebnie tak poważnie o tym myślał, gdyż pewnego dnia bardzo pożałował swych życzeń. Jego babcia zawsze mu powtarzała, żeby uważać, czego się pragnie, ponieważ nieprzemysłane zachcianki mogą się nieoczekiwanie kiedyś spełnić. Tak było i tym razem. Na razie jednak cieszył się z tego, że za każdym razem świetnie rozprawia się z nieprzyjaciółmi, najczęściej zmuszając ich do poddania się. Oczywiście te wszystkie

chwalebne zwycięstwa nie były wyłącznie zasługą dowódcy, ale także jego dzielnych i wiernych mu do ostatnich chwil ludzi. Jego nowi druhowie nie tylko zastąpili Filipa jako towarzysza lub podopiecznego, ale również jako wojownika. Ludzi, którzy radzili sobie świetnie, trzymając miecz, było znacznie więcej w szeregach Falacha, ale ten każdego traktował zawsze z pewną rezerwą. Valkirianie nie chcieli dać się zmieść z mapy świata, więc szykowali swojemu największemu rywalowi wiele złych niespodzianek. Zjawiali się na każdym zamku, próbowali zdobywać każdą fortecę, bardzo często w tym samym czasie. Vareal było jednak dla nich niedostępne, gdyż znajdowało się zbyt daleko od ich granicy i zbyt blisko granicy z niebezpiecznym Rameńskim Akhem. Lord dowódca musiał uczestniczyć w coraz to nowych oblężeniach i walkach na otwartym obszarze. W jednej z takich bitew spotkał osobę, której ani trochę się nie spodziewał. Było to podczas starcia z Valkirianami pod dowództwem lorda Amnendolfa na eniceńskich polach Etten. Ponownie jechał, wiodąc ze sobą całą armię, na której czele stali również wyznaczeni ostatnio przez niego mężczyźni. Ze stolicy do wyznaczonego obszaru nie było zbyt daleko. Aby tam dotrzeć, trzeba było kierować się na południe, mijając kilka niemałych miast czy charakterystycznych obiektów i miejsc, takich jak świątynie, cmentarze, pola uprawne, wsie, rzeki oraz zbiorniki wodne, które w tak upalnych stronach były niesłychanie dużą atrakcją. Etten było w istocie wielkim pagórkiem, gdyż w miejscu, w którym kończył się ten teren, a zaczynał się gęsty iglasty las, istniało strome, acz niskie zbocze. Sam obszar zachwycał pięknem eniceńskiej przyrody. W miejscu, w którym zaraz mieli się zmierzyć i zabijać siebie nawzajem waleczni wojownicy, rosły szafrany, stokrotki i mleczce, a także nieznanne Europejczykom gatunki, takie jak aker, czyli niewielki czerwony kwiatek, czy niebiesko-żółty itrin. Takich roślin na całym kontynencie było sporo, ale tych dwóch było najwięcej w ojczyźnie króla Henryka.

Było kilka godzin po południu, ale wcześniej żar lał się z nieba i wyłącznie dzięki niezwykłemu szczęściu Falach uniknął walki w takim gorącu. Kraj, w którym obecnie żył, był szalenie gorący, lato było tutaj znacznie bardziej upalne niż w Polsce, a zima raczej przypominała chłodną jesień, chociaż ostatnio, idąc na oblężenie Burleah, zmagał się z zimnem oraz śniegiem. Dowódca oraz jego podwładni czekali cały czas na wroga wojska w zabójczym wręcz gorącu. Wielu ludzi schowało się za zboczem, a niektórzy postanowili nawet uciec do lasu. Nie uczyniliby tego, gdyby wiedzieli, że za kilkanaście minut zacznie wiać chłodny wiatr. Zanim na polu pojawili się przeciwnicy Enicenian, Falach zwrócił się do kilku najważniejszych wojowników w jego armii:

– Ustawcie się w szeregu, jaki JA wam wyznaczę. Gramdling, idź na lewą flankę! Mort, pilnuj swojego oddziału i pozostańcie z tyłu! Arghalehbet, wy ruszycie ze mną.

– Tak, mój panie! – odpowiedział ostatni.

– Ruszcie się! Nie mam zamiaru tracić więcej czasu! Kawaleria! Do boju!

– Jak to? Przecież nie widzę nikogo z kim można stanąć w bój.

– Nie dyskutujcie ze mną, Arghalehbet! Mam przeczucie, które nigdy mnie nie myli. Rozumiecie to?

– Tak, mój panie.

Lord dowódca kierował się nie tylko przeczuciem, ale również świetnym wzrokiem. W oddali znajdowała się jakaś gromada ludzi, lecz nikt nie mógł być pewny,

czy był to Amendolf i jego żołnierze. Nie zważając na to, ruszyli do boju. Falach dosiadał swojego konia, natomiast reszta oddziału, którym wtedy dowodził, miała stać i pilnować swego pana, kiedy lord, niejaki Arghalehbet oraz kilku kawalerzystów ruszyło naprzód, dalej nie wiedząc, gdzie stoczy się bój z Valkirianami. Falach trzymał chorągiew z godłem Enicenii, na końcu której znajdował się złoty grot. Wystawił ten proporzec do przodu, gdy nagle zza oślepiających promieni słońca wyjrzał oddział valkiriańskich rzezimieszków. Ci, o dziwo, mieli całkiem dobre wyposażenie: konie, nieliczni nosili na sobie zbroje płytowe, większość posiadała cisowe łuki oraz miecze ze stali. Było ich kilkudziesięciu, a więc kilkakrotnie więcej niż biegnących w ich stronę Enicenian. Żołnierze, którzy ruszyli z Falachem, oraz ta grupa prostych wojowników sami stoczyli walkę. Jednak do ostatecznego rezultatu tej bitwy przyczynił się pewien Enicenianin, którego historia zaraz zostanie przedstawiona.

Podczas gdy na polach Etten wciąż trwał zacięty bój, drogą, która biegła kilkadziesiąt metrów od miejsca starcia, szedł pewien człowiek, a pochodził właśnie z Enicenii. Nikt wtedy nie wiedział, kim był, ale jedna rzecz zdawała się pewna – był trędowaty. Wszyscy, którym udało się ujrzeć tego osobnika, myśleli, że nogi, z których odpadała mu skóra, coraz bardziej go bolały, a twarz jego była tak okropna, że nie mógł jej przed nikim odsłonić.

Przybysz dostrzegł przez prześwitujący koc, który zakrywał jego ciało, toczącą się walkę, więc domyślił się, że trwa właśnie bitwa eniceńsko-valkiriańska. Chciał uciec, lecz jednocześnie pragnął być w pobliżu walczących Enicenian. Odgłosy uderzających o siebie mieczy oraz świsty strzał rozbrzmiewały w jego uszach jak wielki gong. Szedł dalej, by móc lepiej ocenić sytuację, w jakiej znajdowali się jego rodacy, ale wolał nie przyczyniać się w żaden sposób do konfliktu ani nie narażać się na śmierć, dlatego schował się za drzewem, które było rzadkością na tym obszarze. W tym czasie rumak Falacha został zabity strzałą. Valkiriański łucznik z dala od miejsca bezpośredniej walki wycelował w lorda, jednak jego pocisk ugodził tylko wierzchowca. Teraz szanse na przeżycie Falacha znacznie zmalały. Nie chciał on w tym momencie się wycofywać, ponieważ uznał, że może jeszcze coś zdziałać w tej bitwie poprzez walkę ze swoimi przeciwnikami, stając z nimi oko w oko. Nie miał tym razem tyle szczęścia, gdyż zanim zdążył zadać komuś cios swym mieczem, ten został wytrącony z jego rąk. Oręż Falacha był wielokrotnie uderzany bronią przeciwników, aż w końcu wypadł mu z rąk. Po tym, gdy lord stracił część swojego rynsztunku, został natychmiast zaatakowany przez jednego ze wściekłych zbrojników. Nacierający mężczyzna dzierżył w swym ręku niewielki buzdygan. Gdy wojownik ten wymachiwał swoją bronią, Falach zaczął osłaniać twarz rękoma. Wystawił je na pewną odległość, a że nie miał na sobie hełmu, uznał, że bardziej opłacalne będzie zaryzykować złamanie ręki niż zmiżdżenie czaszki i dlatego jego górne kończyny zostały uderzone owym miażdżącym przedmiotem, który nie tylko zadał zaatakowanemu niewyobrażalny ból, ale też pozbawił go części uzbrojenia. Lord miał o tyle szczęście, że żadna jego kość nie została złamana. Teraz jednak nie było szans bronić się przed wrogiem, więc biegł, próbując omijać walczących. Przeszkadzał tylko fakt, że w polu walki trwało tak duże zamieszanie, że nikt nie miał możliwości opuścić go, nie ponosząc poważnych obrażeń. Ta nieciekawa sytuacja została od razu



wykorzystana przez kolejnego pozbawionego oręża walczącego, który rzucił się na Falacha i zaczął walczyć z nim wręcz. Kilka razy uderzył przeciwnika w twarz, a Falach, którego dalej bolały ręce, próbował wyłącznie kopać swego przeciwnika. Valkirianin wykorzystał słabość Falacha poprzez złapanie go za nogę i sprowadzenie do walki w parterze. Lord dalej miał problemy z opanowaniem sytuacji, więc napastnik mógł spokojnie się nim zajmować. Falach był duszony i kopany, gdyż nie był w stanie ani przewrócić wroga, ani go uderzyć, ani wykonać żadnego innego ofensywnego działania. Mógł jedynie czekać na pomoc, która po krótkiej chwili przyszła. Oczom lorda ukazał się Arghalehbet siedzący na koniu i wystawiający włócznię. Broń Arghalebeta wbiła się w ciało zbira, a ten od razu padł martwy na Falacha.

– Panie, uciekaj! – krzyknął wybawca.

Teraz nawet tak wielki wojownik i dowódca jak lord Falach nie miał szans, aby wykazać się w walce, nie mając ani konia, ani miecza, ani nawet swoich płytowych rękawic, dlatego też uciekł z miejsca bitwy, pełzną, aby valkiriańscy wojacy nie mogli go tak łatwo dostrzec. Oddalenie się stamtąd było konieczne. Lord żałował jedynie swojego nieszczęsnego konia, ale cieszył się, że on sam nie podzielił jego losu.

Mort wszystko obserwował, lecz nie mógł dołączyć do walki, gdyż rozkaz brzmiał, aby pilnował tego miejsca. Poza tym widział, że tamta część armii miała spore szanse na wygraną i nie należało dołączać do nich. Podczas stania na czatach zdołał zauważyć uciekającego z pola walki Falacha. Nie wiedział jednak, co dokładnie skłoniło lorda do takiego czynu, dlatego zamierzał zapytać o dokładny przebieg tamtejszych wydarzeń swojego przyjaciela – Arghalebeta, gdyby ten przeżył. Teraz rola Morta w bitwie okazała się nie być wcale bezsensowną, gdyż właśnie w tamtym momencie najechali na nich Amendolf i jego wojsko. Po obu stronach pola trwała krwawa rzeź.

Gramdling, mimo że był znacznie bliżej od Falacha niż Mort, nie zauważył wcale lorda dowódcy i dlatego walczył jedynie ze swoimi przeciwnikami. Cały czas był wypatrywany przez Arghalebeta, lecz nie został przez niego odnaleziony. W walce radził sobie bardzo dobrze, a jego działania polegały głównie na unikaniu niewyrównanego starcia. Przez cały czas był z boku i nie wchodził do centrum walki, i być może to był powód tego, że nie ujrzał Falacha. Mimo to miecz Gramdlinga nie zostawał opuszczony ani na moment, gdyż ilość oponentów, którzy mieli zamiar zbliżyć się do niego, zdecydowanie przekraczała jego oczekiwania. Było to spowodowane tym, że nie miał wokół siebie żadnego towarzysza, który mógłby odeprzeć atak Valkirian. Jako że nie był zbyt doświadczonym szermierzem i wykonywał niezbyt szybkie ruchy swoim ciężkim orężem, praktycznie nie miał szans w takim nierównym starciu, w którym pięć osób atakuje go z różnych stron. Na odsiecz zjawili się eniceńscy łucznicy, którzy, jako że mieli dobre warunki do wycelowania w oddalonych od grupy bandytów, szybko ich rozstrzelali, a Gramdling mógł przynajmniej na chwilę odetchnąć z ulgą. Te wszystkie sytuacje tylko go nauczyły, jak bardzo ważne jest wsparcie w walce. Ważne było również to, że inni ludzie są pomocni nie tylko w fizycznym starciu, ale także w wielkiej bitwie, jaką jest życie.

W tym czasie Arghalehbet przejął rolę dowódcy w tym niewielkim oddziale Enicenian. Kazał się na chwilę wycofać z miejsca boju, a więc zbliżyć się do reszty

oddziałów Falacha. Na ten rozkaz wszyscy poczęli biec tam gdzie im nakazano, próbując przy okazji walczyć z owymi zbójami. Jednak ich nadzieja wygasła, gdy dostrzegli zaatakowanych przez Valkirian pod dowództwem lorda Amendolfa towarzyszy. Alghaleb, dostrzegłszy, że jego pobratymcy są w potrzebie oraz gdy ujrzał Gramdlinga, krzychał do niego:

– Jedź tam i pomóż Mortowi w walce!

– Tak jest, Arghal!

Potem Gramdling próbował zabić mieczem kilku valkirijskich bandytów, którzy blokowali jego koniowi drogę, lecz nie musiał tego czynić, gdyż ci, gdy tylko go ujrzeli, natychmiast ustąpili mu miejsca. Jeździec zmierzał w stronę oddziałów lorda Amendolfa, aby wesprzeć przynajmniej duchowo swych pobratymców. Jednak okazało się, że jego obecność nie była wyłącznie symbolicznym gestem, lecz również faktem, który mógł przechylić szalę zwycięstwa na stronę Falacha. Wyszkoleni Valkirianie nie byli tak liczni, jak Enicenianie walczący na polach Etten, ani nawet jak bandyci, przekupieni i wynajęci przez nich do dokonywania dywersji na Enicenianach. Sytuacja ta była o tyle groteskowa, że tam, gdzie dziesiątki Valkirian zostało zaangażowanych w bój, tam Enicenianie wysłali garstkę swych ludzi i ledwo sobie radzili, a robiąc tak, pokrzyżowali plan Amendolfa, który teraz dostawał solidnego łupnia od setki Enicenian pod dowództwem Morta. Gramdling widząc to, wziął sporą część tamtego oddziału i ruszył z zebranymi ludźmi na pomoc Arghalebowi. Tam szybko rozprawił się z wrogami, a w tym samym czasie został wysłany przez Morta jeden z jego rycerzy. Kazał mu odnaleźć lorda, a przede wszystkim sprawdzić, czy nadal żyje. Gdyby ten poległ, władzę nad Vareal mógłby przejąć właśnie Mort.

Tymczasem gdy Falach ujrzał ową tajemniczą personę obserwującą bój, chciał podejść do tego osobnika tylko po to, aby się go spytać co tu robi. Jednak nie mógł wstać, aby nie dostrzegli go przeciwnicy, więc kontynuował czołganie się. Odrzekł więc do niego:

– Co tu robisz, wieśniaku?

Człowiek ten nie odpowiedział.

– Znasz mowę eniceńską?

Ten kiwnął głową.

– Więc powiedz, czy zakrywasz na twarzy jakąś skazę? Jesteś trędowaty?! Gadaj! Jeśli jesteś, nie powinienem znajdować się tak blisko ciebie.

– Nie – odpowiedział, wprawiając tym Falacha w większy lęk, ale budząc też jego ciekawość. – Jednak... jeśli chcesz wiedzieć, to usłyszałem o sobie nie takie rzeczy. Ktoś powiedział, że zginąłem.

– A więc kim jesteś, że nowiny o twoim zgonie doszły do twych uszu. Czyżbyś zaginął, a ludzie uznali, że umarłeś?

– Coś jest na rzeczy... ale nie do końca tak było. Być może w to nie uwierzysz, ale podobno mnie pochowano.

– Jak to? O czym ty mówisz.

– Spokojnie! Widzę, że muszę spieszyć z wyjaśnieniem. Ale powiedz, że jesteś przygotowany na wszystko.

– Od kiedy my jesteśmy na ty? Mów szybko, o co tu chodzi.

Mężczyzna odsłonił swą twarz, a oczom Falacha ukazał się niezwykle znajomy widok.

– Po prostu mówili, że sir Filip, najszlachetniejszy podwładny lorda Falacha, spoczywa w grobie. Wiem, że to dziwne, ale tak było. Zasłaniałem twarz, aby nie wytropili, bo... no bo po prostu uznaliby mnie za jakiegoś dezertera, no!

– Ty psie!

– Czeka! Czy ty naprawdę uważasz mnie za zdrajcę?

– A co niby zrobiłeś?! – mówił, dalej krzyżąc, ale coraz bardziej zdziwiony. – Uciekłeś, czyli zdradziłeś. Ach... Mówiłem, że jesteś taki, jaki byłeś. Nic tego nigdy nie zmieni.

– Cóż... Niech ci będzie, Falach. A więc jestem dezerterskim, no i co? Uciekłem z pola bitwy – to się zgadza. Ale nie zrobiłem tego jako tchórz, lecz... zresztą później ci wytłumaczę.

– Ale co się stało, do czorta?

– Dowiesz się! Ale teraz musisz zobaczyć, co odnalazłem pośród lasów i gór, po których się błąkałem. – Po czym wyciągnął wielki, choć niewyróżniający się wyglądem oręż.

– Czy to prawdziwy miecz Henryka?

– Prawdziwy? A więc czy jest jakiś sztuczny? Znalazłem go dokładnie tam, gdzie podobno został zgubiony. Słyszałem, że to było w górach na północy. Nosłem go pod swoim nakryciem.

– A masz coś jeszcze pod tymi łachmanami?

– Zbroję i broń. Ale to nic takiego. Otóż mam – zaczął wyciągać opisywane przez niego przedmioty – zardzewiałą i doszczętnie poniszczoną buławę i do tego... już pokazuję... noszę popękany, metalowy napierśnik. A więc, wracając do miecza, pewnego upalnego dnia błąkałem się po wspomnianych już górach, aby znaleźć jakieś chłodne i ciemne miejsce. Chciałem się po prostu schować przed słońcem. Ta broń leżała w szczelinie pomiędzy skałami.

– Jestem ciekaw, co będzie dalej. Dwóch Filipów, dwa miecze Henryka, dwa światy! To nie do wytrzymania. Następnym razem nie będę grzebał ludzi, którzy nie zginęli na moich oczach. Jeszcze się zjawiają po śmierci i będą opowiadać mi historie o tym, jak spędzały czas w zaświatach – powiedział wywołując śmiech na ustach obydwóch.

– Boże! Jakże to jest nienormalne! – mówili obaj, rechocząc.

– Zgodzę się – powiedział Filip. – Jeśli chodzi o tę sytuację, w której... jeden Filip ginie w walce, a drugi ucieka... to tego drugiego Filipa musieliście wziąć za mnie. Widocznie był podobnym do mnie, uzbrojonym młodzieńcem w armii. Pewnie żołnierze udawali, że to byłem ja, abyś nie dowiedział się, że uciekłem. A uciekłem – oznajmił. – A, i skoro ci już to powiedziałem, to muszę chyba przyznać, że moje uzbrojenie nie jest wcale poniszczony. Uciekłem, gdyż walka, do której się pchałem, faktycznie była z góry skazana na niepowodzenie. To był poroniony pomysł, aby ruszać bez ciebie. Kazałem swoim ludziom biec z powrotem do Andy, jeszcze zanim zbliżyliśmy się do zamku, ale nie chcieli nawet słyszeć o tym, że ruszyli na marne. To oni przeze mnie zginęli! Nie ja

przez ciebie. Bo tak myślałeś, prawda? Ale wiesz, co ci powiem? Tym razem nie możemy uciec. Niech bitwa, która toczy się za naszymi plecami, zostanie stoczona wraz z nami. Walczmy, a następnie zakończmy wszystkie inne sprawy!

– No! I tu masz rację. Właśnie takiego cię lubię! I dlatego, że darzę cię taką sympatią, zrobię, jak chcesz, i ruszę z tobą do ataku. Postaram się za tobą wstawić u Henryka, kiedy ten będzie próbował skazać cię za dezercję. Uznam, iż odkupiłeś swe winy, biorąc udział w tej walce. Wracając jednak właśnie do tej walki, to nie mogę tak nagle wejść w tak zwarty bój. Powinniśmy dokładnie obmyślić naszą strategię.

– Nie martw się. Zostawiłem niedaleko łuk i kilka noży.

– To się na nic nie zda. Musimy zwołać moje wojsko. Wielu zostało z tyłu. Tamci na pewno coś załatwią, a my we dwójkę możemy co najwyżej im skoczyć i... obtoczyć.

– A widzisz... „obtoczyć”... To jest dobra myśl.

Ich rozmowę przerwał eniceński wojownik w czerwonej zbroi. Przybiegł tam z rozpaczą wymalowaną na twarzy i potarganymi włosami. Krew spływała po jego czole, a w rękę trzymał swój roztrzaskany hełm. Przybyły mężczyzna na widok Filipa spytał lorda:

– Mój panie... A co tu robi ten zbir?... Zresztą nieważne! Pełna armia Valkirian pod dowództwem jednego z valkiriańskich lordów zaatakowała nas od tyłu. Widocznie wysłali tamtych bandytów, by zwieść lorda oraz żeby mieć część lordowskiej armii z głowy. Garść oddziałów Morta pojechała na odsiecz tym tutaj, a więc teraz musicie pomóc NAM! Walka z bandytami jeszcze trwa, ale nasi ludzie są w bardzo dobrej sytuacji.

– Mimo wszystko sprawa ta jest niezwykle skomplikowana i głupia! W każdym razie ja i „zbir” poradzimy sobie z Amendolfem, a ty musisz zabrać część naszych, aby obejść bandytów wysłanych przez Valkirian ze wszystkich stron. Tego nawet oni się nie spodziewają. – Po czym zwrócił się do Filipa: – A ty ustrzelisz dla mnie kilku valkiriańskich żołnierzy. Weź swój łuk i ruszaj.

– Tak, panie.

Sługa lorda zrobił to, co do niego należało. Sam Falach oczywiście ruszył z Filipem w stronę Valkirian. Strzały wyglądały tak, jakby biegły w stronę rzezi razem z Falachem. Kilku eniceńskich żołnierzy zostało zabitych w czasie nieobecności lorda, choć on sam myślał, że będzie inaczej. Mimo to nie stracił nadziei na wygraną, lecz, aby pomóc ocalałym Enicenianom, przyśpieszył kroku, a gdy przybył w końcu na miejsce, zanim jakikolwiek walczący go dostrzegł, podskoczył ze swym mieczem, uderzając nim w głowę valkiriańskiego lorda. Twarz dowódcy została zniekształcona i choć od razu nie zginął, to przez krótką chwilę dławił się krwią. Pole bitwy przypominało kaszankę. Wyglądało jak malowidło przedstawiające polanę, na które artysta wylał czerwoną farbę. I ciągnąc dalej tę metaforę, można powiedzieć, że farba ta spływała dalej po obrazie, ale w końcu jego rama również stała się od niej czerwona.

Zmęczeni ludzie po pewnym czasie zaczęli rytmicznie uderzać w powietrze, gdyż nie mieli siły ani ochoty walczyć na śmierć i życie. Jednak dalej nikt nie miał zamiaru się poddać, mimo iż żadnym ocalałym mężczyzną nie kierowała jakakolwiek szlachetna idea ani ludzie nie myśleli już o rycerskim etosie. Innymi słowy, nie czuli się jak rycerze

z ballad. Być może dlatego, że w balladach nie ma opisywanego bólu, jaki ludzie muszą czuć, aby dojść do chwały.

Wydając ostatnie tchnienia, Amendolf wypowiedział po eniceńsku ostatnie słowa, które bardzo ucieszyły Falacha:

– Unoszę białą flagę. Choć nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale... ale... ach... Gratuluję ci i chciałbym, aby nazwano ciebie i twoich walecznych druhów „Wojownikami Tysiąclecia”. Być może... gdy usłyszą, że z wami przegrałem, nie będą się ze mnie śmiać – powiedział, mając wymalowaną radość na twarzy. Uśmiechnął się i opuścił głowę na tułów jakiegoś zabitego konia. Po chwili Falach, całkowicie otępiały, uciął głowę martwego wroga. Ta potoczyła się wprost do nóg eniceńskiego lorda.

– Wiwat! Zwycięstwo! – krzyčili prawie wyczerpani Enicenie.

## VII

Bitwa na polach Etten była dla Enicenian kolejnym niezwykłym zwycięstwem, które odnieśli, nie ponosząc żadnych mających większe znaczenie w kolejnych etapach wojny strat. Gdy bitwa dobiegła końca, wśród żołnierzy Falacha było oczywiście, wielu ciężko rannych i okaleczonych. Mimo tego ludzie, którzy odnieśli powierzchowne rany lub nawet doznali bardzo ciężkich obrażeń, byli szczęśliwi ze swojego sukcesu. Dodatkowo upokorzyli nieprzyjaciela, całkowicie niwecząc jego plan, który miał uchodzić za chytry.

Przestało już być tak gorąco, a Filip postanowił delektować się tym, że w końcu mógł odetchnąć świeżym i chłodnym powietrzem. Poszedł w cień, pod górkę, ale zamierzał w miarę szybko wrócić i stawić się u swojego dowódcy. Wiele miesięcy nie walczył i błakał się, jedząc wyżebrany we wsiach chleb. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle wykonuje polecenia Falacha, a właściwie Benka, którego znał ze szkoły i z podwórka. Przecież miał odpracować swe rzekome winy, ale tak obydwaj się wkręcili w walkę na śmierć i życie, że teraz naprawdę trudno było przestać to czynić. Zwłaszcza że powrót do ich świata był uniemożliwiony. Filip rozważał pomysł, czy nie powiedzieć swojemu druhowi, że chciałby przebywać gdzieś indziej i już nie walczyć, ale stwierdził, że tylko rozdrażniłby go w ten sposób.

Gdy tylko skończył wylegiwanie się w chłodnym i zacienionym miejscu, zaczął iść w stronę zbierających się ocalałych wrogów i sojuszników, aby wejść z powrotem w szeregi armii Falacha.

Valkirianom, którzy przeżyli, pozwolono uciec, lecz nie wszyscy skorzystali z tego przywileju. Większość po prostu kazała się odwieźć do jakiegoś eniceńskiego miasta. Część armii miała pojechać z tymi ludźmi do fortecy Metris, znajdującej się na północnym wschodzie Enicenu. Ci żołnierze prawdopodobnie woleli wybrać bezpieczeństwo niż daną im wolność. Falach to zaakceptował i wysłał ich do niezwykle bezpiecznego, odludnego i wielkiego więzienia.

Teraz Mort, Arghalehbet oraz Gramdling mieli opuścić szeregi armii Falacha i mogli udać się w dowolne miejsce na całej planecie. Nie chcieli robić tego razem, ale tylko Mort miał zamiar opowiedzieć lordowi o swoich planach, a przy okazji, podczas robienia porządków w polu bitwy, wyznał Falachowi, że miał nadzieję, iż ten zginie.

– Hej, Falachu! – zwołał Mort, ujrawszy lorda dowódcę. – Słyszałem, żeś się nie bronił, gdy Arghalehbet cię ratował?

– Jak miałem się bronić – odpowiedział pytaniem – skoro prawie zmiądzono mi rękę i zabito mi konia.

– Teraz to nieważne. Ja mam dla lorda znacznie ciekawszą rzecz do powiedzenia i chcę to wyznać, aby mi w końcu ulżyło. Wiem, że to dość dziwne, ale liczyłem na pańską śmierć. Gdyby ta nastąpiła, można by zinterpretować pańskie powierzenie w moje ręce twojej armii jako usynowienie. Mógłbym otrzymać Varea.

– Ależ mój drogi! – mówił Falach, śmiejąc się. – To żadne przewinienie. To jest polityka! Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Absolutnie nie miałbym nic przeciwko. Sądzę, że moje miasto w twoich rękach byłoby niezwykle bezpieczne.

– Dziękuję za te ciepłe słowa, panie.

– To tyś nie słyszał jeszcze ciepłych słów. Teraz się rozłączymy. Ty, ja, Gramdling i Arghalehbet. Nie będę już wami dowodził. Przekaż im, że jestem z nich dumny. Poradzili sobie świetnie w tej bitwie podczas mojej nieobecności.

– Oczywiście! Sądzę, że będą zachwyceni pańską pochwałą. I faktycznie, to są niezwykle ciepłe słowa.

– A! Mówiłeś, że wiesz o tym, iż Arghalehbet mnie uratował. Skąd? Powiedział ci to? Widziałeś go?

– Tak, sam mi o tym powiedział i jeszcze wyznał, że to chyba jakiś cud, a na pewno niesamowita rzadkość, aby to właśnie on ratował przed uduszeniem akurat słynnego lorda Falacha.

– Jak dla mnie cudem było to, że w ogóle mnie poznaliście. To też możesz przekazać swoim kompanom.

– Chyba nie będę miał ku temu okazji, ponieważ Arghalehbet i Gramdling już się oddalili. Chociaż może spróbuję ich dogonić. Na pewno są w słynnej karczmie „Pod Gardłem Smoka”. To nasze ulubione miejsce na piwo.

– Świetnie. Ale może zanim im powiesz to, co chcę, poznasz mojego przyjaciela.

– Z miłą chęcią.

Falach rozglądał się za swym druhem i odrzekł:

– Na razie go nie widzę, ale to nic. Nie od wczoraj wiadomo, że to niepokorna dusza.

– Słyszałem, że podobno zniknął, a teraz się odnalazł. Ktoś mi to powiedział, jak skończyła się bitwa. Bardzo dziwna sytuacja.

– Ależ trudno się z tobą nie zgodzić. Sam nie mogłem w to uwierzyć.

Potem mówili jeszcze chwilę i zakończyli tę konwersację tymi słowami:

– To na razie! Dokąd ty idziesz, skoro się rozłączamy? Ja do Andy, aby dalej służyć swojemu królowi.

– Ja chyba... chyba po prostu się napiję. Na razie!

Obydwaj zrobili tak, jak rzekli. Lord wrócił do siedziby króla z częścią swoich oddziałów oraz z przyjacielem, który przybył właśnie wtedy, kiedy Mort się oddalił. Falach szedł, wręcz trzymając Filipa za rękę. Wszyscy szli pieszo, dlatego podróż była długa i wyczerpująca. Po drodze wielu nieustannie toczyło jakieś rozmowy. Droga była każdemu znana, a więc nie zaistniały żadne komplikacje z wyznaczeniem azymutu. Aby uprzyjemnić sobie wędrówkę i podnieść ją do rangi przygody, a przede wszystkim uniknąć skwaru, szli co jakiś czas lasem. Falach, jak miał w zwyczaju (o czym nieraz przekonał się Filip), zaczął wtedy opowiadać podróżującym mity, klechdy oraz baśnie pochodzące z czasów pogańskich Słowian, Celtów i Germanów, o których czytał w dzieciństwie wielokrotnie. Opowieści o stworzeniu świata, imiona bóstw i duchów były mu dobrze znane i umiał o nich świetnie opowiadać, tak że wszyscy z zainteresowaniem zatrzymywali podróż, zasiadając wokół niego i słuchając

wspaniałych historii z innego świata. Sami nie pamiętali żadnych podań i legend, z którymi mogliby się utożsamiać, gdyż takich po prostu nie było.

Gdy kompania zatrzymała się w jakichś wsiach, natychmiast rozpoczęła się zabawa, a Falach i Filip oczywiście poświęcali swój czas na długie rozmowy.

– Wiesz co... – mówił lord, będąc lekko pijany. – Nie wiem, jak do tego wszystkiego doszło. Ten cyrk tutaj odstawiany! Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że będę z tobą walczyć jako lord, a potem ty zginiesz, ale odnajdziesz się jako trędowaty, to bym uznał, że jest dziwny. Ale nie to jest najdziwniejsze. Jak dla mnie najdziwniejsze jest to, jak się zmieniłeś. Człowieku! Zapamiętałem cię jedynie jako nieodpowiedzialnego dzieciaka z podwórka. Dziś jesteś mężczyzną walczącym jako rycerz króla Henryka. Jesteś dla mnie jak... syn... albo wychowanek.

– Też to zauważyłem. I powiem ci, że cieszę się, że tu się znalazłem i przeżyłem z tobą te... wszystkie wspomniane... wariactwa... Albo czekaj! BĘDĘ! To dobre słowo. Będę zadowolony, jeśli tylko wrócimy stąd do naszych domów. Żywi – dodał.

– To nie jest takie proste. Przynajmniej nie w moim... zasięgu. Ale zobaczę, co da się zrobić.

Mężczyźni szli do Andy, śpiewając wiele chwalebnych pieśni, ale również tych zwykłych, które znał Falach ze swojego świata. Był również czas na wszelakie rozmowy z towarzyszami. Dopiero wtedy lord dowódca zdał sobie sprawę, jak bardzo słabo znał swoją armię i ludzi znajdujących się w niej. Przypomniawszy sobie też czasy z dzieciństwa, kiedy podróżował po bezdrożach, marząc o przeżyciu takich przygód, jakie go spotykały na każdym kroku w tym świecie. Można było odnieść wrażenie, że ta fantastyczna podróż do Enicenu przerodziła się w zamianę życia i całkowite zapomnienie o domu. To już nie była tylko zabawa w rycerzyka, ale przede wszystkim nowy żywot, którego celem było zabijanie i podboje. To był jednak dzień, w którym dziecięce marzenia i beztroskie przygody wróciły, a okropna rzeczywistość wojownika odeszła do lamusa.

Znalazł się również czas na wiele rozmów. Filip zapytał jeszcze raz Falacha, zwracając się do niego jak do swojego mentora:

– Jak to jest, że za każdym razem, cokolwiek zrobię, zawsze ktoś będzie mi mówił, że czynię źle?

Falach chwilę się zastanowił i odrzekł:

– Ale co mówią? Wyrażają swoją opinię na twój temat?

– Tak. Można tak powiedzieć.

– Musisz pamiętać, że opinie każdy ma, a wolność i godność człowieka jest jedna. Jedną jest też prawda, a tylko poznając prawdę i kierując się nią, możesz do czegoś dojść. Lecz aby dojść do prawdy, zawsze trzeba kierować się rozumem. A i ludzki rozum nie jest doskonały i potrafi zwieść człowieka na manowce, i to, co uznasz za prawdę, może być jednym wielkim nieszczęściem. Czasami trzeba pozostawić wiele spraw losowi.

I tak oto znowu została przeprowadzona patetyczna rozmowa, w której Falach udzielił swojej odpowiedzi. Filipa zawsze takie zachowania żenowały, lecz teraz wyjątkowo był w pewien sposób przekonany do tez wygłaszanych przez swojego przyjaciela. Te słowa były w rzeczywistości czymś bardzo prostym: „Nie interesuj się innymi, prawda jest jedna i prawda jest taka, że każdy musi mieć zapewnioną wolność



i godność”. Jeszcze przez następną chwilę Filip zastanawiał się nad wygłoszonymi przez druha słowami. Miał co do nich pewne zastrzeżenia, więc zapytał po raz kolejny:

– Dlaczego tak często używasz słowa „wolność”. Dlaczego akurat wolność ma być najważniejsza?

– Ponieważ wolność eliminuje większość naszych życiowych problemów. Wyróżniłem dwa rodzaje ludzkich rozterek. Jednym rodzajem są te wywoływane własnymi błędami człowieka, a te z każdym razem są redukowane przez to, że człowiek uczy się na swych błędach. Drugim rodzajem są te, które wywołują ludzie pragnący ograniczać naszą wolność i każący nam tańczyć tak, jak oni zagrają.

Nie pomijano również tematów historii, mitów, legend, wielkich mężów, chwalebnych opowieści z obu znanych im światów. Na ogół Falach snuł rzeczy o najmroczniejszych i najbardziej fascynujących czasach Europy, a Enicenianie dołączali się do niego i opowiadali własne historie. Jednak chyba najbardziej niespotykane, a więc i ciekawe, były właśnie dzieje Enicenu, a głównie Henryka w okresie jego panowania i zanim objął panowanie w tym kraju.

– Jak to było – pytał Filip – że obecny król stał się królem?

– Istniało wiele opowieści i głównie mówiły one o tym, jakim był wielkim, charyzmatycznym dowódcą, ale mnie sam król zawsze opowiadał raczej o tym, jak był zagubiony, i o tym, że nie wiedział, jakie jest jego miejsce na ziemi.

– I jak to się miało do bycia królem?

– Henryk po prostu pewnego dnia wyruszył w dal, kierując się blaskiem gwiazd, zewem krwi i głosem duchów przodków, aby żyć w lesie, chodząc w lnianym ubraniu i aby mieszkać z duchami tych krain. Tak, to głupio brzmi, ale tak mi zawsze mówił, a przynajmniej tak absurdalnie odbierałem te słowa. Ja powołanie Henryka zawsze sobie wyobrażałem jako wzięcie rękojeści miecza w ręce i wyruszenie w bój, ale ta czynność była traktowana przez króla bardzo poważnie, a wręcz mistycznie. I myślę, że dlatego był i jest tak uwielbiany. Nie kierował się nigdy rozumem ani zdrowym rozsądkiem, lecz czymś bardzo niezrozumiałym dla zwykłych ludzi. Nie jest to też coś jak kult stali ani jak etos rycerski, lecz jak pewna siła zapisana w gwiazdach, która dawała królowi energię do walki i do podbijania świata. W każdym razie walczył na wojnie, która zaczęła się wiele lat temu. Henryk to straszny wariat... choć głównie za to go cenię.

– A jak ta wojna się zaczęła?

– Niestety nie pamiętam.

– Ale ja pamiętam! – krzyknął jeden z żołnierzy, będących w orszaku.

– Co się tam zdarzyło? – dopytywał się zainteresowany Filip.

– To było chyba czterdzieści lat temu – opowiadał mężczyzna. – Król Enicenu, Alharbian, nawoływał swych poddanych do podbicia obcych krain, ponieważ rzekomo te miały zamiar unicestwić nasz kraj.

– To wszystko? – zawołał zdziwiony Falach.

– Tak, gdyż aby wypowiedzieć zwykłą wojnę o terytorium, trzeba mieć jakiś pretekst. Niekoniecznie sensowny. Takie mamy tutaj zasady.

– Falach! – zakrzyknął Filip, zmieniając temat. – I jak to było z tym Henrykiem? Był jakimś wielkim dowódcą, i co?

– Ówczesnie panujący król zginął. Osobowość Henryka spodobała się Enicenianom i okrzyknęli go swoim monarchą. Ten przyjął nowy przydomek i został oficjalnie władcą naszego kraju. Nie pamiętam niestety jego wcześniejszego imienia. Wiem, że nigdy sam nie chciał mi go wyjawić.

– Nazywał się Benehamon – odezwał się znów ten sam żołnierz.

– Ale to niemożliwe – mówił Falach. – Przecież takiego imienia nie ma na tym kontynencie.

– Jest, ale tylko w Rameńskim Akh. Stamtąd wywodziła się część rodu Henryka. To przecież nic złego, zwłaszcza że czasem wydaje mi się, że Henryk jest lepszym Enicenianinem niż niejedyn tubylec, zamieszkujący tę wspaniałą krainę.

Gdy żołnierz mówił te słowa, Filip słyszał niezwykle dziwną eniceńską mowę, bardzo podobną do języka polskiego. Nie wszystkie słowa zostały przez niego zrozumiane, ale i tam udało mu się w miarę nadażyć za słowotokiem owego mądrego wojownika, więc zapytał go jeszcze:

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Podobnie jak lord Falach jestem... przyjacielem Henryka, jeśli mogę się tak nazwać. Poznałem króla na wojnie, kiedy był zwykłym żołnierzem. Teraz wam trochę ufam, dlatego powiem przy okazji, że wysłał mnie tutaj specjalnie, abym towarzyszył Falachowi i żeby go... pilnował. Głównie przed wszelkimi wybrykami.

– Co? – spytał oburzony dowódca.

– Nie martw się! Od razu powiem mu, że nie muszę cię przed niczym chronić. Widzę, że jesteś odpowiedzialnym człowiekiem.

Filip podczas tej drogi nie miał więcej pytań ani do Falacha, ani do nikogo innego. Takie lekcje sprawiały, że w oczach Filipa Falach stawał się jego nauczycielem życia. Była w tym jakaś mądrość, gdyż w końcu lord był o około dziesięć lat starszy od swojego rycerza, dlatego słuchanie go nie byłoby wcale nierozsądne.

Król Henryk wcale nie był zachwycony nieobecnością jego podwładnego. Valkiriana cały czas była najeżdżana, a kiedy wojna z tym państwem osiągała apogeum, jednego z najlepszych dowódców wojsk w kraju nie było. Liczebność armii Henryka powoli się zmniejszała, co nie było zbyt dużym problemem, gdyż Valkiriana była znacznie mocniej osłabiona. Eniceński monarcha wolał jednak zmniejszyć swoje zaangażowanie i zaprzestać chwilowo działań wojennych. Obawiał się, że jego następcą nie będzie miał zamiaru zwlekać, ale sam był prawie całkowicie spokojny o przebieg wojny z Valkirianą. Gdy doszła do jego uszu informacja o tym, że Filip jednak żyje i ma ze sobą królewski miecz, prawie wybuchnął ze złości. Teraz tylko czekał, aż ów rycerz znajdzie się w jego zasięgu.

Minęło parę dni szalonej podróży, a cały oddział Falacha znalazł się koło Andy. Okazało się, że (co nietypowe dla tego miasta) brama była otwarta, a ludzie przywitali wjeżdżającą tam armię. Przybysze dowiedzieli się, że tego dnia celebrowano kolejne święto, więc ludzie mieli czas, aby obserwować mężów wracających z boju. Zadaniem Filipa po krótkim odpoczynku w Andzie, było wyjaśnienie całej sytuacji, a więc powtórzenie słów, które powiedziane zostały w obecności Falacha królowi. Obaj poszli do sali reprezentacyjnej króla, aby wytłumaczyć wszelkie tajemnice. Mimo szczerých

zamiarów, Filip nie miał okazji tego uczynić, gdyż władcy, gdy tylko zobaczył swój miecz w rękach przyjaciela Falacha, nic już nie obchodziło. Chciał tylko ukarać dzierżyciela tej broni za przywłaszczenie tak ważnego artefaktu, ale przede wszystkim za kradzież własności króla. Oczywiście było to tylko kolejne groteskowe nieporozumienie. Nie wiedząc o tym, że Filip odnalazł królewski oręż, Henryk rzekł do tego rycerza spokojnie, lecz stanowczo:

– Cóż. Słyszałem, iż zginąłeś walce. Konkretnie w bitwie o zamek Hegeir. Miało być to szlachetne posunięcie, przez które poniosłeś śmierć. Jednak później... los cię oszczędził. Byłeś błakającym się po lasach i górach dezserterem, noszącym strój, przez który mylono cię z kimś trędowatym. Słuchaj, czcigodny Filipie. To wszystko byłem w stanie zrozumieć, mimo iż była to najdziwniejsza historia, jaką usłyszałem. Lecz po tym, co teraz zobaczyłem, miarka się przebrała. Widzę, że trzymasz w swych rękach mój własny miecz! Bardzo dziwna sytuacja. Nieprawdaż? Wytłumacz mi się. Natychmiast. Może jeszcze cię oszczędzę, jeśli powiesz mi coś sensownego.

Filip chwilę milczał, lecz po chwili ciszy przemówił z pokorą:

– Nie ukradłem go. Królu... wiem, ja wiem, że to zabrzmi niewiarygodnie, ale prawda jest taka, że znalazłem ten miecz, kiedy błakałem się po Eniceni. Znajdował się pomiędzy jakimiś głazami. To właśnie tam przeleżał cały ten czas.

Po tym, co powiedział Filip, król zmarszczył brwi, podszedł bliżej do rycerza i bez słowa uderzył go pięścią w szczękę, tak że młodzieniec upadł z trzaskiem na podłogę. Chłopak zasłonił twarz, lecz później osunął od niej rękę. Z boku jego ust spływała krew. Filip leżał na parkiecie i nie odezwał się nawet słowem do władcy, który, patrząc na swego sługę, krzyknął do straży:

– Zabierzcie go sprzed moich oczu. I odłóżcie mój miecz!

Służba oznajmiła po chwili:

– Ależ panie, mamy w zamku dwa takie same ostrza. Nie ma się czym przejmować.

– Tak! – powiedział strażnik. – Widocznie jedna z nich to kopia. Na pewno nieudana. Ten, który został przyniesiony przez lorda i jego przyjaciela, to twój prawdziwy miecz, a ten, który miałeś w swym zamku od dawna, jest fałszywy. Wiadomo przecież, że twoja broń jest starsza i cięższa, a te cechy pasują bardziej do miecza przyniesionego przez tego rycerza.

– Ale jak to? Jaka znowu kopia! To niemożliwe, żebym sam tego nie zauważył. Sam byłem przy tym mieczu tyle lat, zawsze trzymałem w dłoni jego rękojeść, zadawałem nim tysiące ciosów, a ktoś miałby mi podstawić inny, a ja się nie zorientowałem? Przecież mówicie, że to NIEUDANA kopia...

– Panie – zaczął zapewniać Falach. – Pewnie nie używałeś go ostatnio zbyt dużo. Jesteś przemęczony i wystraszony tym, co się ma wydarzyć. To normalne, że nic nie zauważyłeś.

– Też tak sędzę. A podróbkę lepiej stąd wywalić – oznajmił sługa.

– Co?! Ach – powiedział Henryk, po tym, jak zrobiło mu się głupio z powodu przedwczesnego osądzania rycerza. – Jeśli tak faktycznie jest, to wyrzućcie to. A ja przepraszam cię, Filipie.

– Ależ królu! Ja również zawiniłem. Ale o tym, kto popełnił błąd, zadecydujemy kiedy indziej.

Po całym zajściu Filip opuścił zamek, gdyż nawet o tej porze dnia było mu bardzo gorąco i chciał odetchnąć świeżym powietrzem. Na jego szczęście nie był jedyną osobą, której doskwierało pragnienie. W całym mieście rozstawiono stanowiska, na których rozdawano świeżą, zimną wodę z pobliskiej rzeki. Przez chwilę wydawało się to głupie, jednak zważywszy na to, że brama tego dnia była zamknięta i wyjście poza mury było praktycznie niemożliwe, urządzenie czegoś takiego stało się konieczne. Mimo że cała Anda nie była ogrodzona murem (jedynie najbardziej narażone na ataki miejsce otaczały wielkie, marmurowe ściany, a do części, w której żyli zwykli mieszkańcy można było zwyczajnie pójść przez znane wszystkim przejścia), to nikt nie miał ochoty tak bardzo oddalać się od tego grodu. Nie inaczej zachował się Filip, który dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest spragniony, i napełniał wielokrotnie tamtejszy miedziany kubek wodą z beczki.

– Nie jestem pazerny – mówił do obserwujących go ludzi. – Po prostu jestem niezwykle spragniony.

Ludzie z Andy również mieli trudności ze zrozumieniem jego mowy, zwłaszcza że nie zdawali sobie sprawy, iż mówiący pochodzi z innego świata. Choć wyglądało to tak, jakby sir Filip uzupełnił deficyt wody w swoim organizmie co najmniej z ostatniego tygodnia i stworzył sobie zapasy na następnych parę dni, to nikt nie zwracał mu na to uwagi i wszyscy pozwalali mu spokojnie pić i tym samym odbierać możliwość zaspokojenia pragnienia innym osobom. Widocznie jego perswazja była tak silna, że nawet nieznający Filipa mieszkańcy nie zwracali uwagi na jego zachowanie, które nie zawsze się wszystkim musiało podobać. Gdy rycerz napił się tyle, że nie mógł wcisnąć więcej, odszedł od czekającego tam tłumu i rozglądał się za innymi atrakcjami. Uznał wtedy, że czas zaszałec.

Falach odszedł z sali króla, aby udać się na wieczorną przechadzkę, po której miał zamiar położyć się spać. Nie miało go czekać zbyt wiele misji, gdyż król wyznał mu, że zamierza przerwać chwilowo większe działania wojenne. Oznaczało to, że Henryk planuje „chwilowy pokój”, podczas którego musiał zebrać wystarczająco dużo broni i wojsk, choć mógł poprosić o wsparcie w tej kwestii Rameński Akh. Lord dowódca oraz następca króla nie dostrzegł tej możliwości, a nawet gdyby to zrobił, to nie zamierzał pouczać władcy w jakiegokolwiek sprawie. W każdym razie zdawał sobie sprawę, że to posunięcie jego seniora da mu długi odpoczynek od nieustannych walk, choć nawet tego dnia nie zamierzał odpuszczać kolejnych ćwiczeń. Jak tylko zobaczył, że trwają jakieś walki w mieście, natychmiast tam poszedł. Okazało się, że bierze w nich udział również sir Filip. Na andyjskiej arenie po każdej skończonej walce przewodniczący wypytywał, czy są jacyś ochotnicy do następnej. Gdy tylko dano taką możliwość Falachowi, ten zgłosił się entuzjastycznie. Prowadzący tę imprezę spytał jeszcze:

– Czy ktoś chciałby się zmierzyć z samym lordem Falachem?

Jedyną chętną osobą był Filip, który udał się wtedy właśnie na arenę.

– Ja!

– A więc dobrze – odrzekł zadziwiony tak małą liczbą ochotników prowadzący. –

Weźcie te oto drewniane miecze i walczcie.

Lord, walcząc z towarzyszem, próbował zastosować wiele technik i starał się zaskoczyć Filipa a to silnym uderzeniem na wprost, a to lekkim kłującym w brzuch. Obecny przeciwnik lorda potrafił przewidzieć poczynania dobrze znanego sobie druha. Wystarczyła chwila nieuwagi Falacha, kiedy to rycerz udawał boleśnie ugodzonego. Leżał na ziemi, nie oddychając. Lord podszedł i pochylił się nad towarzyszem, powtarzając kilkakrotnie: „Co ci się dzieje?“, „Ocknij się!” i wtedy zniemacka został uderzony w głowę wielkim kawałem drewna. Słysząc było wielki huk. Wydała go czaszka uderzona treningowym mieczem. Wtedy wszyscy na widowni podskoczyli z zaskoczenia. Falach padł na ziemię nieprzytomny, a potem zaniecono go do jego własnego łóża.

Następnego dnia lord przebywał jak zwykle w Andzie. Gdy tylko wstał nowy dzień, poczuł, że cały czas miał wielkiego guza. W końcu zrozumiał, że w pewnym sensie jego uczeń przerasta mistrza. Po południu został powiadomiony przez jego służącego Gerdena o trwającym oblężeniu eniceńskiego zamku. Wcześniej jednak zastępca Henryka kazał szybko posłać po lorda Vreal. Służący dowiedział się, że król Henryk wyjechał wczoraj do niejakiego miasta Arlem, gdyż lokacja ta została oblężona. Słyszał, jakoby władca wziął wszystkich swoich ludzi, oprócz właśnie lorda Falacha. Gerden wbiegł szybko do komnaty swego pana, a tam zastał go ubranego w dworskie, codzienne szaty. Wrzasnął przejęty zaistniałą sytuacją:

– Gdzie wyście byli, drogi Falachu?! Arlem płonie, a naszym ludziom brakuje broni. Wiesz przecież, że nie będzie łatwo im bez niej walczyć!

– Tak? Miałem nadzieję, że będą bić się na pięści!

– Naprawdę?

– A wiesz, co to znaczy ironia?

– Nie do końca.

– I tak nie jest to teraz ważne. A jak stoją z obroną?

– Kto?

– No, nasi ludzie. Przecież Arlem to miasto należące do Enicenu.

– Ach, tak! Słyszałem, że nieźle sobie radzą, jak na sytuację, w której są pozbawieni broni. A my musimy... zaskoczyć naszych wrogów.

– Wydaje mi się, że to bardzo dobry pomysł, ale co masz na myśli mówiąc „zaskoczyć”? Zawsze możemy zaskoczyć naszych wrogów na przykład głupotą, dając się zabić przy pierwszej okazji.

– Faktycznie, coś w tym jest – przyznał z uśmiechem na ustach.

– Poza tym może nas pokonać reszta oddziałów Valkiriany.

– Reszta?

– Tak! Założę się, że ci, którzy zaatakowali Arlem, to bardzo mała część ludności, którą ma w zanadrzu ten nowy król.

– Brados?

– Tak, Brados. Dam sobie rękę uciąć, że te wojska, które zamierzają dzisiaj nas zaatakować, w całości jeszcze nie przybyły.

– A gdzie mogą one stacjonować?

- Nie wiem. Zapomniałem to, co mi mówił Brados na temat swoich planów.
- Rozmawiał pan z królem Valkiriany?
- Tak, zaprosił mnie kiedyś na piwo. Podawał i spisywał mi imiona wszystkich swoich szpiegów oraz poruszał inne takie tematy.
- Przecież to niemożliwe! Król Brados by tego nie zrobił.
- Naprawdę?
- Ja mam wrażenie, że pan cały czas się ze mnie nabija.
- Ja mam tak samo.
- To dobrze, bo ja też żartuję – oznajmił, po czym obydwaj zaczęli rechotać.
- Na pewno powinniśmy dokładnie zaplanować nasze podejście – powiedział, odszedłszy od tematu. – Ale brakuje nam czasu, aby teraz myśleć i wszystko omawiać. Gdy dotrzemy na miejsce, w mojej głowie powinien pojawić się jakiś pomysł.

Sługa uzbroił swego pana, zaopatrzył go w miecz, a ten zwołał swoich ludzi i wszyscy razem wyruszyli konno. Gerden jechał u boku lorda, a za nimi podążał pełen oddział. Ten dzień był znacznie lepszy i wydawał się zdecydowanie dogodniejszy do prowadzenia zaciętej walki niż wtedy, gdy stoczony został bój na polach Etten. Gdy ostatnie wojska ze stolicy Enicenii w końcu dotarły na miejsce, ludzie Falacha wspięli na pewien pagórek, oddalony pięćdziesiąt metrów od Arlem, a około dwudziestu pięciu metrów od valkiriańskich żołnierzy. Miasto było oblegane nieporadnie. Wszyscy napastnicy zebrali się w jednym punkcie, szykowali drabiny, które były natychmiast zrzucane z murów zamku. Niektórym udawało się dotrzeć na górę i z tymi nie radzono sobie już tak łatwo. Miasto było duże, niewiele mniejsze od Andy, ale większość jego powierzchni była koszarami lub zbrojowniami. Nie była to forteca łatwa do zdobycia, ale że jej ludność była nieliczna, to radzono sobie z nią nawet za pomocą najzwyklejszych drabin lub strzałami. Nie było tam bramy i jak większość miast na tym kontynencie, nie była ogrodzona fosą. Mieszkańcy mieli swoje sposoby na opuszczanie tego miejsca, ale często po prostu spuszczano drabiny. Mury, choć niewysokie, wyglądały na grube i solidnie zbudowane. Właściwie wskoczenie na samą górę byłoby łatwiejsze aniżeli przekopanie się do środka. Nikt nie zabraniał Valkirianom spróbować swych sił w innej części zamku, ale ci byli niezwykle zdezorientowani, dlatego nie mieli zamiaru rozglądać się za innymi możliwościami oblężenia. Zresztą nie szło im tak źle, a wręcz dostawali się na górę, o ile ktoś zdołał powstrzymać broniących miasta. Tych nie było dużo, oprócz rycerzy z Andy, którzy wkroczyli do zamku cichaczem. To miejsce było dobrze znane królowi, który często tam przebywał, zanim stał się władcą Enicenii. Pamiętał każde tajne przejście, każdy zakamarek oraz niezwykle cenił sobie to miasto. Tutaj zawsze znajdował dla siebie jakąś broń, którą interesował się jak nikt inny. Stąd pochodził między innymi jego słynny oręż, który jego poddani uważali za symbol powodzenia jego królestwa. Tutaj go kupił, tutaj nim trenował, tutaj nim walczył. Jak już było powiedziane, nie wychowywał się w tym mieście, gdyż jego rodzina była ze wsi. Przybył do tego miasta jako chłopak, aby szkolić się na żołnierza. Jak widać, rzemiosło wojenne interesowało go od najwcześniejszych lat, a teraz jego umiłowany sługa – Falach, musiał ruszać na odsiecz mieszkańcom ulubionego miasta swego pana. Nie wiedział, że to robi, ale gdyby miał tego świadomość, uważałby to za niezwykle szczytny cel. Na razie jednak tylko

obserwował, w jaki sprytny sposób podejść Valkirian. Trzeba było przyznać, że ci byli bardzo liczni, a więc garstka jego ludzi zostałaby natychmiast zmiażdżona. Lord przyglądał się całemu miastu i wypatrywał jakiegoś strategicznego punktu. Wraz ze swoim rycerzem dostrzegł, że eniceńscy ludzie rzucają kamieniami w głowy uzbrojonych wojowników oraz że wylewają na ich głowy gorącą oliwę lub inne, może nawet bardziej niebezpieczne substancje. Sługa powiedział właśnie w owej chwili do Falacha:

– Pod miastem jest niewielkie przejście. Jest na tyle małe, że żaden uzbrojony mężczyzna, a więc również żaden z nas, tam się nie przecisnie. Ale gdyby ktoś z nas zdjął pancerz, wystarczy, że się tam położy i przeczołga dalej, aby dojść do wnętrza zamku. To może potrwać dwadzieścia minut, choć istnieje prawdopodobieństwo, że się tam zaklinuje i udusi. Jednak ja mogę wziąć ten obowiązek na siebie – oświadczył Gerden. – Ściągnę zbroję, zrobię to i będę starał się coś wymyślić. W końcu przysięgałem umrzeć za króla, więc i to mogę zrobić.

– Nie! Ja muszę to zrobić.

– A jak zginiesz, kto po... – mówił zmartwiony, lecz przerwał mu jego pan.

– Stop. – Po czym wyciągnął miecz i pasował go na swojego następcę. – Przejmiesz wtedy mój oddział.

Falach po chwili zapytał Gerdena, gdzie ten widzi ów otwór. Ludziom, którzy walczyli, faktycznie trudno było go dostrzec, lecz gdy ktoś zainteresuje się i wysili wzrok, to pośród wysokiej trawy ujrzy czarną jamę. To wgłębienie zdawało się głębokie i niewiele szersze od króliczej nory. Niestety, nie było to złudzenie wynikające z oddalenia obserwatorów od obiektu. Otwór rzeczywiście był bardzo niewielki, a dodatkowo oddzielony grubą żelazną kratą. Falach dostrzegł te przeszkody, a Gerden dodał:

– Na początku jest trochę ciasno, a potem tunel rośnie wszcz. Jednak musisz ściągnąć zbroję, aby się w ogóle przecisnąć, panie.

– Wiem – przyznał i tak też zrobił.

Gdy w końcu przystąpił do działania i ominął zajęte walką valkiriańskie oddziały, odetchnął z ulgą, gdyż w owej dziurze nie było błota ani niczego, co by utrudniało misję, nawet gdy czołgał się dalej. Pomyślał jednak, że jeżeli ktoś stworzył to przejście z myślą o skonstruowaniu na przykład zamkowej rynny, to mógł mieć coraz mniejsze szanse na przeżycie. Gerden nie znał tak dobrze tego miejsca, więc skąd mógł wiedzieć, że otwór ten doprowadzi lorda w jakieś strategicznie dobre miejsce? Falach miał więc małe szanse na uratowanie stolicy. W połowie drogi prawie stracił nadzieję. Mimo iż z czasem tunel robił się szerszy, a Falach nie odczuwał większego dyskomfortu, to pięć minut czołgania się w tym ciemnym i zimnym miejscu wydawało się trwać trzy godziny. Po pewnym czasie zdawało się lordowi, że widzi pomarańczowe skały i jasny grunt. W rzeczywistości było to światło, które rzucała płonąca pochodnia. Falach wydedukował, że te przedmioty tutaj by się nie zmieściły, a więc tunel musiał dalej robić się na tyle duży, że będzie mógł wstać. Droga, którą przemierzał, wyglądała jak lejek, a gdyby ciągnąć tę analogię, Falach byłby cieczą, która płynie w przeciwną stronę. Tunel robił się coraz większy, aż zrobił się na tyle szeroki, że można było w nim kucnąć, potem stanąć i podnieść głowę do góry. Jaskinia, do której wreszcie dotarł, wyglądała jak jedno z podziemnych miast, o których

mówiły legendy i baśnie. W końcu Falach natrafił na stopień i ujrzał żelazne drzwi pośród piaszczystej gleby, prowadzące do zamku. Gdy je otworzył, ujrzał komnatę, w której stał niski, stary i brodaty mężczyzna. Przybycie Falacha niezwykle uradowało tę osobę. Był to markietan. Ta funkcja została mu przydzielona podczas bitwy, jednak na co dzień był strażnikiem i opiekunem komnat tego zamku. Pomieszczenie było wielkie, wysokie, pełne krętych schodów i ciemne. Światło rzucało jedynie parę pochodni rozstawionych po ścianach oraz ta, którą trzymał klucznik. Rozrzucone były też zbroje i miecze. Najważniejsze oczywiście były dziesiątki drzwi, które zajmowały tyle miejsca, że niewiele więcej materiału zużyto na stworzenie ścian i murów. Różne drewniane bramy, kraty oraz otwory znajdowały się w praktycznie każdym zakamarku tego holu. Kiedy lord dowódca rozglądał się po tym warownym i imponującym pomieszczeniu, ów mężczyzna zwrócił się zdenerwowany do niego:

– Kimkolwiek jesteś, przybyszu, musisz szybko nam pomóc!

– Jestem wasalem króla Henryka i przybyłem wam na odsiecz. Czy to miasto już upadło?

– Ależ nie, panie! Lecz jedyne, co możemy zrobić, to bronić się. Nie potrafimy nawet na chwilę przechylić szali zwycięstwa. Nasze mury niedługo...

– A więc jesteście w sytuacji patowej – stwierdził.

– Słucham?

– Nieważne. Widzę, że masz przy sobie wiele kluczy. Jesteś tu klucznikiem?

– Można tak powiedzieć. Ale na co to panu?

– Chciałbym zobaczyć, do której z tych komnat masz dostęp.

– Do wszystkich, panie.

– A w jakiej może się znajdować coś przydatnego w boju?

– Cóż, w większości znajdują się jakieś graty albo broń, w którą już zaopatrzyłem naszych.

– Wchodziłeś do każdej z tych komnat?

– Nie, do jednej zabronił mi zaglądać tutejszy pan zamku.

– Ja jestem panem zamku i cokolwiek znajduje się w tamtym pomieszczeniu, masz mnie wpuścić.

– Ale, dlaczego? Nie mogę tak po pro...

– To jest sytuacja wyjątkowa.

– Takie sytuacje może ogłaszać tylko lord tego zamku lub król. Gdybyś był chociaż uzbrojony i wyglądał jak lord.

– Słuchaj! – Po czym złapał klucznika za gardło. – Jestem wasalem króla, to miasto upada, a ty mówisz, że nie możesz otworzyć jakichś chędożonych drzwi?

– Dobrze! – powiedział i zaczął szukać odpowiedniego klucza. Ruszył w stronę najbardziej schowanej, ale niezwykle dużej bramy. Zaczął otwierać kłódkę, kilka zamków i rozwarł drzwi na oścież.

Falach, gdy ujrzał wewnątrz tego pomieszczenia, stwierdził, że nigdy nie widział tak okazałej strony jakiegokolwiek miasta, w którym kiedykolwiek przebywał. Mogli już dostrzec następujący widok: Dwieście metrów nad ich głowami znajdowała się kopuła, pod którą kryło się osiemdziesiąt kolejnych drzwi i komnat, kilkanaście tysięcy zbroi



złoty, srebrny i z żelaza, a sprowadzone one były z północno-wschodnich rubieży Enicenu. W tych wszystkich komnatach znajdowało się więcej szklanych naczyń z bombami, metalowych drutów, łuków, strzał, mieczy, buzdycanów, włóczni, młotów, morgenszternów, toporów, halabard, wekier, czekanów i wielu innych rodzajów broni białej, miotanej, miotającej i urządzeń oblężniczych, niż mogło się znaleźć w reszcie zamku.

– Mam nadzieję, że pomogłem – oznajmił klucznik.

– Oczywiście. I przepraszam za mój wybuch złości.

– Nie ma sprawy. W końcu przybyłeś tu, aby nas ratować. Więc ty się rozejrzyj, a ja dołączę do bitwy. Ktoś w końcu musi wynosić trupy.

– Faktycznie – powiedział, śmiejąc się.

– A! Masz jeszcze klucze – powiedział, po czym pobiegł w swoją stronę.

Teraz jeszcze Falach musiał otworzyć drzwi, które znajdowały się na górze, przechodząc wprawdzie niezliczoną ilość stopni. Biegł i skakał bez zbroi ani butów, a i tak ledwo zdołał dobiec na górę. Użył wytrychu, który wręczył mu ów mężczyzna, uchylił drzwi i zobaczył, że prowadziły one na zamek, gdzie akurat toczyła się bitwa. Na tym poziomie zamku przebywali akurat wszyscy walczący. Zdyszany Falach z trudem zakrzyknął. Na ten sygnał wszyscy wbiegli do owego pomieszczenia i szybko zaczęli plądrować nieznaną piwnicę. Falach kolejno założył buty, kolczugę, zbroję, hełm, nagolenniki, napierśniki, naramienniki, następnie wziął miecz, schował nóż, mały sztylet, trochę większy buzdycan, pięć butelek z trującym gazem, pojemnik z olejem i wódką, które również się tam znajdowały, po czym wszystko włożył do torby. W tym czasie, poza zamkiem, wrogowie strzelali harpunami, niewielkimi katapultami i próbowali chronić roztrzaskiwane przez Enicenian drabiny, czekając na wieżę oblężniczą, która jeszcze się nie pojawiła na polu bitwy. Co jakiś czas je przystawiali do murów, a gdy zbliżył się eniceński wojownik, odkładali je, a inni strzelali do niego. Mieli też taran, który był jedynie metalową pałą, zwisającą na linach przyczepionych do drewnianych pni. W ich zanadrzu były jeszcze noszone wały z drewna, którymi próbowali wyważyć bramę, oraz oczywiście łucznicy. Falach wszedł na blanki, jednak miał tam nikłe szanse na przeżycie. Chciał wezwać Enicenian do boju, więc stojąc na najwyższym punkcie zamku, wykrzykiwał najokropniejsze przekleństwa, tak że niewiasty kryjące się w pobliskich komnatach zatykały uszy. Potem lord kazał przebywającym na zamku rzucać czym się da. Wielu sięgało po cegły, belki, a niektórzy nawet po swoje zwierzęta. Natomiast Falach rzucał butlami z gazem, lał na mury i na ziemię wódkę oraz olej. W tym czasie dostał strzał w udo. Rana nie była głęboka, ale dało się ją poczuć. Wtedy schował się i położył na podłodze. Kazał komuś przynieść płonąca pochodnię. Mężczyzna przyniósł ten przedmiot, a Falach rzucił w stronę wrogów. Zapaliła się trawa, płonęli ludzie, a przede wszystkim maszyny oblężnicze. Falach o niczym już nie myślał. Jego hełm został strącony, więc wiatr targał mu włosy. W stronę zamku maszerowały posiłki wrogów. Pozostała tylko kwestia łuczników. W mieście takowych nie było, a ci po stronie Valkiriany jeszcze żyli. Dał kobietom strzały oraz łuki i kazał im się nimi posługiwać. Przeciwników było multum, a żeby ich unicestwić od razu, trzeba było zniszczyć miasto. Istniało ryzyko, że właśnie te posiłki dostaną się do środka, po tym, jak mury zostaną

zniszczone. Falach otrzymał jeszcze ładunek wybuchowy, podobny do dynamitu.

– Skąd to masz? – spytał lord chłopaka, który mu to przyniósł.

– Nie wiem, co to jest, ale myślę, że będzie niezłe.

Falach odpalił lont, wyrzucił przedmiot zza murów, inni uciekli, a miasto zostało uratowane, jednak dopiero po jego częściowym zniszczeniu. Siła wybuchu była tak mocna, że zmiotła z powierzchni prawie wszystkich, którzy nie znajdowali się na zamku. Wielu padło od samej eksplozji, a niektórzy mieli takie nieszczęście, że zginęli z powodu jakiegoś szybującego kawałka zamku, upadającego trebusza, katapulty lub innych machin. Spory kawałek muru całkowicie zniknął, a odłamki z kamieni poszybowały praktycznie w każdą stronę. Falach na szczęście zdołał uniknąć upadku z wysoka, gdyż zanim dokonała się owa destrukcja, odskoczył w bok i zdążył pobiec, szczęśliwie nie będąc trafianym przez żadną cegłę czy broń przeciwnika. Większość armii wroga zginęła, a ci, którzy zdołali ujsć z życiem, uciekali, choć niewielki odsetek nie dał się zniechęcić i dalej podejmował walkę, a i tak wszyscy byli likwidowani przez strzelców z Arlem. To oznaczało wyłącznie wielkie i nagłe zwycięstwo, dzięki któremu wszyscy mogli głęboko odetchnąć z ulgą. Wszyscy mieszkańcy – zarówno kobiety, dzieci, jak i walczący mężczyźni, wyszli z ukryć, aby oglądać piękny krajobraz, na którym każdy wróg ginął lub uciekał w popłochu przed gradem strzał. Potem mieli zamiar zrobić porządek z całym pobojowiskiem, ale oczywiście dalej nie mogli powstrzymać radości. Niestety uczucie satysfakcji miało swój koniec, gdy do umysłu Falacha dotarło, że również setki jego własnych ludzi najprawdopodobniej zginęły w wyniku skruszenia murów miasta. O dziwo tym się wtedy wcale nie przejmował. Najwidoczniej był w takiej euforii, iż nie potrafił zareagować na to racjonalnie lub uznał, że priorytetem w tamtej sytuacji było zwycięstwo w bitwie i ocalenie ludności obleganego miasta. W każdym razie w tamtej chwili całkowicie zapomniał o swoich ludziach, którzy pozostali poza murami Arlem, a rzeczą, z której sobie wtedy zdał sprawę, było to, że w owym zamku przebywał król wraz z Filipem. Właśnie. Król. Falach ujrzał swego przyjaciela klęczącego przy martwym ciele władcy. Henryk odniósł poważne obrażenia i zginął. Odlatująca cegła skruszyła mu żebra i przebiła płuco. Jednak królowi udało się utrzymać przy życiu, póki Filip go nie znalazł. Władca leżał w zakrwawionej szacie pod kładką z drewna, na której również było widać kawałki skruszonych murów, a właściwie ich szybujące wcześniej odłamki oraz strzały. Król oprócz tego miał odłamany palec i całkowicie poranioną twarz. Nie wiadomo, gdzie leżał prawdziwy miecz Henryka, który jeszcze zeszłego dnia został przyniesiony mu przez sir Filipa. Najprawdopodobniej odleciał w dal, wypuszczony z rąk poturbowanego Henryka, i już nigdy nie został odnaleziony. Ten niezwykle ważny historycznie przedmiot, pomimo całej swojej symboliki, był już do końca dni Eniceni sprawą marginalną. Najwidoczniej ikony potęgi króla przeminęły wraz z nim samym.

Patrząc na ogrom strat oraz wszelkie obrażenia na ciele zwykłych ludzi, jak i króla Eniceni, można dojść do wniosku, iż Falach oraz jego rycerz mieli wielkie szczęście, że przeżyli. Filip ujrzał swego pana i go zawołał. Ten przybiegł do zwłok króla i zaczął płakać. Płakał jak za mesjaszem, jak za swoim ojcem. Z żalem i żałobą mieszał się niepokój związany z presją, jaka musiała być kładziona na nim jako polityku, oraz tym, jak ta presja oddziałuje na niego.

Falach miał zostać królem, a Filip władcą Jelqe. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali na koronację. Jednak po skończeniu oblężenia, po zrobieniu porządków z trupami, podszedł do nowego króla wspomniany wcześniej klucznik.

– Witam cię po raz kolejny, wybawco. Co prawda mogłeś być delikatniejszy dla tego miasta, ale... mniejsza o to. A tak w ogóle, to Albert jestem. A pan?

– Lord Falach, miło mi.

– Cudownie. – Po czym podali sobie ręce z uśmiechem. – Zaraz... czy Falach to nie następca króla?

– Tak. I powiem jeszcze, że król zginął – mówił Falach niskim głosem, jakby skamlał.

– O! Ja nie... – Po czym uklęknął przed swoim nowym panem.

## VIII

Albert natychmiast rozprowadził tę informację po mieszkańcach Arlem. Tych nie było dużo, a i tak wszyscy zebrali się wokół jednego miejsca. Stali pośród gruzów, które znajdowały się wokół miejsca wybuchu. Lord dowódca zszedł po tych kamieniach do swojego przyjaciela, mijając dziesiątki kobiet i młodych mężczyzn, opłakujących poległych. Czuł się winny ich śmierci, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że jego czyn był ostatecznością w obliczu nadchodzących sił wroga, mających znaczną przewagę liczebną nad jego sojusznikami. Falach zmierzał dzisiaj po raz wtóry do swojego druha i pytał go, czy nic mu się nie stało, a ten zapewnił, że jest w świetnej formie. Był jednak ciekaw, w jaki sposób jego pan dostał się do środka i skąd zna tamtego człowieka.

– Muszę powiedzieć, że te dwie sprawy są ze sobą ściśle powiązane. Mój nowy sługa, Gerden, gdy przybyliśmy, zauważył ten otwór lub właz i razem uznaliśmy, że najlepiej będzie, jak tam wejść i coś wykombinuję. Więc wszedłem tamtędy do zamku i spotkałem tego gościa, Alberta, który otworzył przede mną arsenał broni z Arlem. Był on tak przydatny, że nawet nie musiałem wzywać... właśnie! Gdzie oni są?

– Kto?

– Moi ludzie! I Gerden!

– Ja muszę zająć się robieniem porządków tutaj.

Albert faktycznie miał obowiązek pobierania trupów i ogólnego robienia porządków, zarówno w obrębie miejsca wybuchu, jak i na całym polu potyczki, która miała miejsce również w innych miejscach zamku. Natomiast faktem było, że najcięższe straty i najwięcej widoków, które można by nazwać masakrą, znajdowało się wokół miejsca, w którym lord miasta Vareal odpalił lont i rzucił materiał wybuchowy poza mury. W samym mieście na przykład leżący gdzieś trup był czymś rzadko spotykanym i wystarczyło tylko go przenieść na jakiś stos. Głównie jednak wewnątrz zamku znajdowali się ranni, którzy musieli być natychmiastowo opatrzeni. Tych również zabierano, tym razem do pewnego mieszkania, w którym znajdował chirurg. Kwestię rannych załatwiano jeszcze przez kilka następnych dni, kiedy to wielu się wykrawało lub część mniej głębokich ran po prostu się zagoiła. Niemniej wielu walczących potrzebowało pomocy. W ten sposób tylko potwierdzało się to, że Filip, który uniknął obrażeń od wybuchu oraz obronił się przed zadaniem ciosów, miał spore szczęście.

Falach po tym, jak przypomniał sobie o swoich towarzyszach, których zostawił przed zamkiem, wrócił po górcie wielkich kamulców przed zamek, gdzie znajdowali się oblegający to miasto napastnicy. Ujrzał teren bitwy: wielkie, krwawe pobojuwisko. Oprócz setek ciał pozostały tam również zniszczone od wybuchu harpuny i małe, ledwo ostające katapulty, które miano wtedy jeszcze rozebrać na części i wyrzucić. Wielu zwłok nie dało się rozpoznać, gdyż wybuch spowodował tak wielką masakrę, że można było napotkać trudności, patrząc wielu poległym w twarz. Ciała były rozprute, przygniecione kamieniami, wnętrzności wylatywały z ciał, a trawa spływała krwią. Nie zabrakło tam również śladów po obecności wojsk z Andy. Prawdopodobnie zaatakowali valkiriański oddział i zostali bez problemu rozbici albo zginęli dopiero po odpaleniu przez Falacha

lontu. Lord wiedział, że jego sługa powinien zostać z tyłu. Ten tak zrobił, podczas gdy wrogie wojska nie dały mu ujść z życiem. Został dostrzeżony przez swojego pana, który natychmiast podbiegł do jego ciała. Chłopak już nie żył. Falach musiał jednak wrócić do miasta i powiedzieć Filipowi, że wszyscy jego dotychczasowi podopieczni nie żyją i że tylko oni dwaj uszli z życiem. A że nie było czasu na sentymenty, obydwaj zastanawiali się nad tym, co mają dalej począć. Siedzieli pośród setek kawałków muru, chowając się przy tym za jego ostałą resztą, patrzyli w przód i rozmawiali. Dołączyli się do nich również poddani króla, którzy przeżyli. Właściwie przysłuchiwali się jedynie rozmowie tych dwóch mężczyzn.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci króla. Gdy z nim wyjeżdżałem, nie wiedziałem, że jeszcze podczas tej bitwy zginie.

– A jak wy w ogóle wyjechaliście?

– Po prostu król zabrał wszystkich rycerzy i swoją osobistą gwardię. Była nas garstka, ale on koniecznie chciał wyjechać – powiedział, po czym obaj milczeli. Zastanowiwszy się, Filip odezwał się jeszcze raz. – Wiesz co, Falach? Skoro ty zostaniesz królem, to czy mogę zostać tutaj? – zapytał.

– W Arlem?

– Tak.

– A nie przyjdiesz na moją koronację?

– To ona nie odbędzie się tutaj?

– Jak to? W tej mieścinie?

– Dlaczego mieścinie? To bardzo ładna forteca.

– Tak, wiem. I blisko mamy stąd do Rameńskiego Akh oraz do Vareal. Ale muszę być koronowany w stolicy!

– Dlaczego akurat tam? Co to za różnica?

– Ponieważ tak wielka uroczystość nie może się odbyć pośród sterty broni i między gruzami.

– A nikt nie odbuduje szybko tych murów?

– Być może ktoś to zrobi, ale nie do jutra. Jeśli chcemy, aby oficjalna intronizacja miała miejsce, to musi nastąpić jak najszybciej. W końcu trwa wojna, a ktoś musi stać na czele tego kraju.

– A więc musimy znaleźć miejsce dla burżujów, jak przypuszczam.

– Mniej więcej. Przyjdą dziesiątki lordów, hrabiów czy innych osobistości, z których większość nie widziała mnie na oczy.

– Ale ja tam będę.

– Tak. Poza tym tego dnia nie tylko zostanę królem, ale planuję również uczynić coś innego.

– A co?

– Na razie ci nie powiem. To tajemnica... a właściwie niespodzianka. Chcę, abyś był zaskoczony.

– Dlaczego? Nie możesz od razu mi powiedzieć, co planujesz? Ale mniejsza z tym. Może przynajmniej wyznasz, co teraz będziemy robić?

– Na razie chyba nic. Mamy jeszcze parę godzin na odpoczynek. Powinien

przyjechać po nas jakiś powóz i dowieźć nas do Andy, pomimo że nawet nikt nie wie o śmierci króla.

– Ale i tak musimy być w stolicy.

– Tam stacjonujemy.

– Dobra. A co z pogrzebem króla?

– Tym mają się zająć ludzie z Andy.

– A ciebie nie chcą tam widzieć?

– Dlaczego? Jestem zwykłym lordem. Nigdy nie chwaliłem się moją przyjaźnią z Henrykiem. A nawet jakbyśmy byli kochankami, to nie powinienem się zjawiać podczas chowania jego zwłok w ziemi.

– To dlaczego idę na twoją koronację?

– Bo cię o to poprosiłem. Henryk nie zdążył wysłać mi zaproszenia na swój pogrzeb.

– Bardzo śmieszne! To gdzie mam w końcu iść?

– Nie wiem – oznajmił, po czym rozejrzał się dookoła miasta. – Możemy powalczyć.

– Znowu? Przecież dopiero co przed chwilą rzucałem kamieniami poza zamek i chowałem się przed strzałami.

– No i przyszedłem ja i wysadziłem w powietrze cały zamek.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie powinienem narzekać i wziąć się do roboty?

– Jakbyś czytał mi w myślach.

– Ale już trenowaliśmy dziesiątki razy! Po co znów mamy się bić drewnianymi patykami?

– Skąd to przypuszczenie? Możemy walczyć mieczami. W zbrojach.

– A we dwóch?

– Na początek może tak, ale jeśli się ktoś do nas dołączy, to kto wie.

Filip podjął wyzwanie i przystąpił do kolejnej walki ze swoim przyjacielem. Pojedynek trwał niezwykle długo, lecz ani Falach, ani jego rycerz nie wykazywali się zbyt dużą energią. Walczyli w końcu stalową bronią. Według oczekiwań lorda wielu ludzi przyłączyło się do treningu, siadając na ławeczkach na środku miasta, gdyż głównie tam toczyła się walka. Wokół nikt nie przechodził, gdyż wszyscy byli w szoku po takim oblężeniu i niezwykłym zdarzeniu z materiałem wybuchowym, więc pojedyński urządzało się dosyć wygodnie. Falach i Filip przypomnieli sobie czasy, kiedy jeszcze byli Benkiem i Tomkiem, a organizowali podobne zabawy, tylko że na podwórku przed domem i robili to albo czymś, co miało imitować miecz, albo jedynie jego „powietrzną wersją”, wymachując rękami i udając, że otrzymało się cios. Byli wtedy jeszcze wyrostkami, podczas gdy teraz stali się najstarszymi osobami w towarzystwie. Dołączali się do nich głównie młodzi chłopcy, których nie pilnowali teraz rodzice, robiący porządki po bitwie. Falach nie walczył z nikim na poważnie oprócz swojego przyjaciela. Ten radził sobie znacznie lepiej na tle innych młodzików. Nawet tych, którzy brali już udział w niejednej walce. Falach uznał wtedy, że dobrze wyszkolił swojego druha. Tym razem zabawa polegała na tym, że ten, kto pierwszy wytrąci broń z rąk przeciwnika, wygrywa. Lord nie dawał się pokonać, ale też nie uderzał z całej siły w klingę, którą dzierżył współzawodnik.

Wielu się zmęczyło od wymachiwania ciężkim kawałkiem metalu i odpuścili dalszej gry. Rywalizacja się skończyła, a wszyscy ludzie z Andy udali się na spoczynek, aby leżeć na trawie, pod ścianami mieszkań. Niektórzy lokatorzy przyjmowali ich do środka i raczyli kolacją lub podkurkiem, ale ani dowódca, ani Filip nie załapali się na coś takiego. Spędzili noc pod marmurowym murem. Wstali o brzasku, kiedy to przyjechał po nich bardzo wygodny i elegancki powóz. Ci, którzy przybyli, dowiedzieli się o śmierci króla, mimo że wieść o tym zdążyła dojść do stolicy. Postanowiono, że król zostanie pochowany w Arlem, na cmentarzu klasztornym. Zginął w walce i został pochowany tam, gdzie przebywał będąc młodzieńcem, i tam, gdzie rozpoczął swoją karierę wielkiego wojownika Enicenie. Niczym przywódca starożytnych Celtów stanął na czele wojsk, walcząc razem ze swoimi żołnierzami, nie mając żadnej skazy i wytrwał tak aż do swej śmierci. Teraz miano przyszykować mu trumnę i zakopać go w honorowym miejscu. Lorda przy tym nie było, czego ten niezwykle żałował. Musiał jednak jechać do stolicy. W Arlem żegnano go bardzo głośno, a gdy dowiedziano się, że ten zostaje królem, słychać było odgłosy świętowania. Był zadowolony z entuzjazmu jego przyszłych poddanych, ale wiedział, że w obliczu śmierci byłego króla nie należało tak fetować, a podczas gdy dalej trwała wojna, nie można było zapominać o dalszych działaniach. Zanim postanowili wrócić, powiadomieni zostali o śmierci wszystkich ludzi Falacha oraz jego pazia. Oświadczyli, że lord nie będzie potrzebował już swojej armii, gdyż zostaje teraz królem i będzie miał własny orszak, a giermka zastąpi mu była służąca Henryka. Ludzie z Arlem pochowali zarówno Gerdoka, jak i innych towarzyszy lorda, który odjechał ze swoim przyjacielem do stolicy. Ciała tamtych znalazły się jeszcze tego dnia w tym samym miejscu, w którym spoczął król Henryk. Również w tej samej dobie ogłoszono Falacha królem, w pałacu, wśród niewielkiej ilości świadków. Tymi świadkami byli wyłącznie najwięksi przedstawiciele państwa: wasale króla i kilku przywódców duchowych. W większości ludzie nie byli informowani o tym wydarzeniu. Jedynie aktywnej politycznie i społecznie śmietance towarzyskiej udało się znaleźć na sali koronacyjnej.

W mieście, oprócz przeżywania żałoby mieszkającej się z chęcią świętowania (przede wszystkim z powodu wygranej oraz kalendarzowego święta, które wtedy nastąpiło), ludzie zastanawiali się, jak król Henryk mógł zginąć i dlaczego szedł na tę bitwę. Niektórzy znali historię o tym, jak w młodości nieraz tam przebywał i że czuł, że ma obowiązek ratować to miasto. Co do sposobu śmierci Henryka XIII, to sam Falach nie ukrywał, że prawdopodobnie przyczynił się do niej bezpośrednio, ale ratując przy tym Arlem, czyli ukochane miasto byłego króla, dlatego też nikt nie miał mu tego za złe (w końcu byłby to wypadek, a król i tak mógł polec w bezpośrednim starciu).

Lord, a przyszły król, gdy jego wóz wjeżdżał do Andy, spał. Przeleżał na swym siedzeniu praktycznie całą podróż, gdyż gdy kończyła się droga, dochodził już ranek następnego dnia po opuszczeniu fortecy, a dodatkowo wewnątrz takiej karety, w przeciwieństwie do trawnika znajdującego się u drzwi nieznanego domu, było bardzo przytulne i wygodne. Brama znowu była otwierana dopiero po przyjeździe Falacha i Filipa pod mury. Prowadzący powóz wysiadł i krzyknął do stacjonujących na zamku, że przyjeżdża następca króla Henryka, który wczoraj poległ w walce. Wiadomość o śmierci władcy dotarła do uszu mieszkańców Andy, gdyż jeszcze wczoraj przyjechał do tego

miasta posłaniec zastępcy króla prosto z Arlem. I dlatego nowy król nie został powitany gromkimi brawami przez rozentuzjasmowany tłum, gdyż całe miasto było pogrążone w żałobie. Taki odpoczynek od wszelkich zabaw był wymagany po śmierci nawet najgorszych władców, więc i ta cisza nie była dla przybyłych zaskoczeniem. Pojazd konny przekroczył próg miasta, a wtedy Filip obudził swojego współpasażera.

– Ej! Obudź się! Obudź! Jesteśmy na miejscu!

– Dobra. Jedziemy do pałacu?

– Tak. Ale dopiero co przeszliśmy przez bramę. Jeszcze musisz poczekać.

– Dobra. Jeszcze się prześpię.

Po drodze podbiegli do Falacha jego znajomi zbrojmistrzowie. Powiedzieli, aby Falach wyszedł z powozu, lecz ten odmówił, gdyż powiedział, iż temat, który chcieli poruszyć, nie może być omawiany przy nikim innym, dlatego ruszył dalej, a dwaj kowale poszli za nim do pałacu, aby tam porozmawiać.

Trochę czasu upłynęło, zanim Falach znalazł się na miejscu. Wszedł do swojej komnaty i kazano mu się szykować do wielkiej ceremonii, która miała odbyć się już za parę godzin. O jego wygląd dbała służąca, która niegdyś służyła Henrykowi na jego dworze. Była jedyną kobietą, która znalazła się w pałacu podczas koronacji lorda. Niewiasta, kiedy jej nowy pan przymierzał coraz to nowe szaty w swojej komnacie, powiedziała do niego:

– Panie!

Falach chwilę milczał.

– Znowu! Kolejna szata jest na mnie za wielka.

– Ależ panie! Chciałam coś wyznać.

– Słucham?

– Ja... cieszę się, że przybyłeś. Zawsze uważałem, że był pan wielkim wojownikiem. O pańskich niewiarygodnych wyczynach, zawsze opowiadali mi żołnierze. Wie pan, byłam długi czas markietanką. Opatrywałam po bojach wielu mężczyzn. Zajmowałam się tym jeszcze jako dziewczyna. Wtedy miałam okazję poznać Henryka... króla Henryka... ale gdy ten był zwykłym wojakiem. Zadurzył się we mnie, jak wielu żołnierzy, jednak gdy dorosłam, a on został królem, chciał mnie odnaleźć. Nazywam się Fadma, a to rzadkie imię. Powiedział, aby odnaleźć dziewczynę o tym imieniu i przysłać ją na jego dwór. Tak też się stało. No, ale się teraz rozgadałam... W każdym razie dobrze, żeby pan o tym wszystkim wiedział.

– Tak, dobrze. Ale uważam, że to normalne, że król się w kims zakochał. Zresztą patrząc na ciebie, wcale mu się nie dziwię.

– Ależ, panie – mówiła, śmiejąc się. – Niech mi pan tak nie schlebia. Ale dziękuję. Na ogół zdaje mi się, że pan jest niezwykle szorstki i surowy, ale nawet z ust zwykłych mężczyzn nigdy nie słyszę tak miłego słowa.

– To świadczy źle o mnie, czy o tych mężczyznach?

– Właśnie nie wiem. Ale, gdy zaczynałam ci to mówić, chciałam powiedzieć, że zawsze uważałam, że byłeś wielkim wojownikiem. Król zawsze cię wychwalał i mówił, że to, co robisz, przekracza ludzką miarę.

– Miał trochę racji – powiedział Falach, uśmiechając się.



– Nie wierzyłam w to, ale gdy dowiedziałam się, że ustanowił cię swoim następcą, wiedziałam, że to, co mówił, było szczerze. Ale, gdy cię zobaczyłam... uznałam, że byłbyś... – w tym momencie się zacięła, lecz dokończyła: – Wspaniałym królem.

– Dziękuję ci, Fadmo.

– Nie ma za co. Ale musimy już iść. Wejdę z tobą na salę i będę stać z tyłu.

Fadma obserwowała Falacha od bardzo dawna, kiedy ten zjawiał się w Andzie. Zachwycały ją jego cechy, tak rzadko spotykane i tak często niedoceniane, czyli takie jak siła woli, charyzma przywódcza, odwaga czy poświęcenie. Nie darzyła Henryka sympatią, a ten chciał, aby ta kobieta była dla niego kimś więcej niż służącą. Podobnie było z nią i Falachem. Ten był jednak oziębły, a ona tak bardzo go polubiła, że po śmierci króla pomyślała, że uwolni się od Henryka i będzie miała okazję bliżej poznać Falacha. A więc klasyczna sytuacja: „on kocha ją, ona kocha innego, ale tamten nie kocha jej”. Jest to szyderstwo losu na przykładzie relacji damsko-męskich. Wobec takich drwin człowiek niestety jest bezsilny.

Jeszcze podczas tej rozmowy na Falacha został nałożony cienki, czerwony płaszcz, zarzucony na ciężką szatę, która miała na sobie wzory przypominające szachownicę. Oprócz tego przyszły władca był ubrany w czarne spodnie ze skóry jelenia, do których przyczepiono złote łańcuchy, otaczające pas przytrzymujący spodnie Falacha, oraz buty i rękawiczki, a wszystko to, oprócz zwisających niepotrzebnie łańcuchów, było zrobione ze skór zwierząt żyjących w naszym świecie oraz uniwersum, w którym egzystowali Enicanianie, takich jak wilki, dziki czy bydło. Następca króla był uczesany, jakby miał na głowie ptasie gniazdo. Pośród gęstych, ciemnych włosów wyraźnie widać było miejsce na królewską koronę.

Falach wyszedł przed pałac i stał tam przez moment, wraz ze służącą oraz kapłanem, który miał go koronować. Było pochmurno. Najpierw z lordem zobaczyli się owi dwaj zbrojmistrzowie. Zapytali, czy wszystko się udało. Falach odpowiedział, że nie do końca, ale zapewnił ich, że zrobili wszystko dobrze. W tym czasie podbiegł do niego Filip.

– Cześć, Falach – zakrzyknął z uśmiechem na twarzy. – To dla ciebie wielki dzień, prawda? – powiedział spojrzawszy na Fadmę i urywając kontakt wzrokowy z rozmówcą.

– Tak, ale trochę się boję – oznajmił szczerze.

– Ty? Ten wielki wojownik, co dokonuje rzeczy niemożliwych dla ludzi? – spytał Filip, drwiąc ze słów Henryka.

– Tak, ale wejdź już do środka.

– Ale powiesz mi, o czym mówiłeś z tymi dwoma.

– Tak, zaraz po ceremonii.

– Dobra – powiedział Filip, po czym wykonał rozkaz.

Falach po pewnym czasie ruszył do wnętrza. W tym momencie słońce wyjrzało zza chmur i wpadło do pałacu przez witraże. Służąca od razu schowała się koło wejścia. Nowy król szedł prosto w stronę żelaznego tronu, ozdobionego rubinami i drogocennymi minerałami z gór znajdujących się na północy Enicenu. Na ten tron był narzucony prostokątny, połączony materiał, który w rogach był udekorowany połączonymi frędzlami. Falach kroczył pewnie, stawiając stopy tak, że lądowały z hukiem na parkiecie.

Przyszły król całkowicie oczyścił swój umysł z myśli o pełnej patosu i dostojeństwa ceremonii. Zamiast tego myślał o prawdziwych problemach, aby przy okazji nie niszczyć sobie nerwów. Dalszą misją Falacha było wyłącznie bezwzględne podbijanie dalszych zakątków świata.

Lord wszedł po dwupiętrowych schodach i stanął przy końcu sali, tuż koło tronu. Wielki Kapłan stojący po lewicy tronu, podszedł do niego i nałożył na jego głowę koronę. Po prawicy następcy Henryka zasiadł wyjątkowo jego drogi przyjaciel, lord Filip. Ten ujrzał coś, co niezwykle wpłynęło na postrzeganie przez niego tego świata. Spojrzał wtedy na kamienną mapę, która przedstawiała Enicenię, sięgającą od gór prawie do morza. Enicenia pod rządami Henryka rozrastała się jak Imperium Mongolskie, a jedynie Valkiriana blokowała dojście Enicenii do tak rozległej wody, jaką było Wielkie Zachodnie Morze. Tak nazywano zbiornik, przez który ludy podobne do Skandynawów przybyły do Walkii czy Granei i na tamtych obszarach stworzyły wielkie kultury. Jednak wtedy na te ziemie miały wkroczyć eniceńskie wojska, których celem było przejście przez wszystkie granice, aby nad kontynentem mógł zapanować król Falach. Na zaznaczonej części kontynentu pokazane były podboje dokonane za rządów Henryka. Po bokach mapy wyryte były wektory. Filip uznał, że te strzałki są misją daną jemu i Falachowi. Nowy król oznajmił, iż oprócz mianowania swego przyjaciela na władcę Jelque ma mu powierzyć inną ważną rolę tego samego dnia.

Po tej błyskawicznej ceremonii wszystkie mniej lub bardziej ważne osoby z kraju opuściły salę tronową i rozeszły się w swe strony. Król postanowił nie zmieniać swego dotychczasowego imienia, co zwykle miało miejsce w takiej chwili. Również nie wyznaczył nowego władcy Vareal, więc teraz zarówno Anda, jak i jego dotychczasowe lenno były pod jego władaniem. Obok Falacha został tylko Wielki Kapłan, a lord Filip został posadzony naprzeciwko niego, za schodami prowadzącymi do króla.

– Filipie!

– Tak?

– Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Od kiedy nasza przygoda się zaczęła i przeżyliśmy tyle... – mówił, lecz w pewnym momencie zawahał się, czy od razu przechodzić do meritum. – Przy okazji powiem ci, że to ja zleciłem wykonanie kopii miecza dla króla Henryka, abyśmy odzyskali nadzieję. Przepraszam cię za te niesłuszne oskarżenia. Z każdym dniem stawałeś się coraz lepszy. Czy to dla mnie, czy po prostu nabrałeś wielu zdolności życiowych. Tamtego dnia, gdy myślałem, że zginąłeś, stałeś się ode mnie lepszy. Przerosłeś mnie, nie odwagą czy siłą, ale sprytem i rozsądkiem. A teraz stałeś się władcą Jelque. Niedługo oficjalnie staniesz się moim następcą. Filipie! Ty, co z żołnierza stałeś się księciem, w obecności kapłanów i symboli naszego narodu: czarnego lwa i miecza ze srebra... Pragnę cię usynowić.

– Co?

– Od tej pory jesteś moim dziedzicem i spadkobiercą wszystkich moich dzieł.

– Cóż... w sumie to dla mnie wielki zaszczyt... Więc przyjmuję go.

Kapłani zaakceptowali tę decyzję. Filip wiele mówił Falachowi o tym i pytał go, dlaczego zdecydował się tak postąpić. Ten mu mówił, że jest to właściwie symbol ich przyjaźni, która według niego, dopiero niedawno się odnowiła. Po ich rozmowie w pałacu

powiedział Filipowi:

– Teraz chciałbym porozmawiać z kapłanami.

Po tych słowach Filip odszedł, wciąż będąc w szoku, ale dalej szczęśliwy, zresztą jak od rana. Wyszedł z pałacu i ujrzał stojącą tam Fadnę, Ta, gdy go ujrzała, powiedziała mu:

– Ooo! Witam! Zauważyłam, że jesteś dobrym przyjacielem Falacha.

– Cóż, można tak powiedzieć. Znamy się dobrze. A ty kim jesteś? Jego fanką? –

Po czym się zaśmiał.

– Nie wiem, co to znaczy. Jestem jego służącą. Od niedawna. Właściwie znamy się dopiero od dzisiaj.

– Jesteś dość młoda, jak na służącą. Jak tu trafiłaś?

– Właściwie to bardzo długa historia. Moja matka, gdy byłam nastolatką, posłała mnie do markietanek. Opatrywałam tam raz poprzedniego króla. Henryk, który wtedy walczył jako żołnierz, chciał, abym z nim uciekła. Odmówiłam, a on poprowadził nasz lud do walki, gdy zginął jego poprzednik. No a gdy w końcu został królem, postanowił, abym była jego służącą. Teraz moim panem jest Falach.

Gdy ta rozmowa się skończyła, narada z przywódcami religijnymi Enicenii jeszcze trwała. Na jej początku Wielki Kapłan zapytał króla:

– Czy wiesz, z czym się wiąże władza ziemską?

– Wiem, z czym się ona wiąże, jak i również wiem wszystko o Władzy.

– Nie wolno ci tak mówić. Wiesz, że Władzę nazywamy tylko władzę boską – kontynuował jeden z kapłanów.

– Lecz jeśli posiadamy tę ziemską, kto nam zabroni sięgnąć po prawdziwą Władzę!?

– Błuźniesz! To grzech pychy.

– Nikomu nie bluźnię. Mówię tylko, że jeśli zapanujemy nad naszym światem, to co pozostanie poza naszym władaniem. Nic? A więc osiągniemy władzę absolutną. Czyż nie?

– I tak to teraz nieważne. Poza tym jak zamierzasz dokonać podboju tego świata?

– Przecież powtarzaliśmy to setki razy! Nasz plan rozbioru Valkiriany oraz wojny z resztą państw był wielokrotnie omawiany! Dlaczego dopiero teraz się o niego dopytujecie?

– A kto wpadł na ten pomysł?

– Oficjalnie mój przyjaciel, lord Filip.

– Ten, którego przed chwilą mianowałeś na swojego następcę?

– Tak.

– Lecz myśmy chcieli poznać twój plan, a nie twojego pupilka.

– To nie był tylko jego plan. Wszyscy zaakceptowali jego decyzję. Była oczywista.

– Ale jest nieuczciwa, królu. To niehonorowe walczyć ze swoimi sprzymierzeńcami.

– Nie mówiąc o wspólnym atakowaniu najsłabszego państwa – dopowiedział inny kapłan.

– To nie nasza wina, że Valkiriana jest słaba! – odparł król.

– A więc uważasz, że to Valkiriana sprowokowała was do agresji swoją słabością.

– Tak. Dokładnie to mam na myśli.

– Aha! Świetnie. A śmierć dziesiątek tysięcy ludzi cię nie obchodzi? Eniceńskie pola usiane mogiłami naszych i obcokrajowców! Czy do tego was sprowokowała Valkiriana?

– Tutaj giną dorośli mężczyźni, którzy zobowiązali się polec za króla. Prowadzenie wojny nie jest zbrodnią wojenną!

– A od kiedy to przysięga się ginąć za kogokolwiek. Jediną osobą, która przesądzi o naszej śmierci, jest Bóg.

Podczas tej narady wiele powiedziano, a głównie się przekrzykiwano. Niegdyś Henryk, niczym polski król – Bolesław Śmiały – zabił pewnego członka duchowieństwa, gdyż ten mu się sprzeciwił. Jeden z czołowych kapłanów Kościoła Heniqueza w Eniceni nie był entuzjastą tego, że władca zadawał się z Fadmą. Poza tym krytykował każde poczynanie króla. Być może był jego politycznym przeciwnikiem, ale również bardzo prawdopodobne jest, że najzwyczajniej Henryk w jakiś sposób podpadł mu osobiście, albo gdzieś na forum publicznym utyskiwał na sam Kościół. Poza tym nie uznawał Kościoła Heniqueza za prywatną instytucję, lecz za coś, nad czym miał absolutną władzę. Ten król nigdy nie był po stronie owego Kościoła, więc wybór Falacha na następcę króla, jako decyzja podjęta przez wroga kapłanów, nie spodobała się im. Ci próbowali krytykować każde słowo nowego władcy.

Narada się skończyła, a Falach ściągnął koronę i zmienił cały swój strój, a potem przespał się w namiocie, który znajdował poza stolicą, pośród tych należących do żołnierzy. Dla wielu wojowników nie znaleziono miejsca w samym mieście, dlatego rozstawiono obóz, w którym mieli stacjonować. Król i dowódca tych oddziałów postanowił rozejrzeć się wokół nich i zobaczyć, w jakich warunkach odpoczywają, dlatego wyszedł tam w czarnym szlafroku, stworzonym na wzór czasów współczesnych, w których żył Falach. Przybysze z dwudziestowiecznej Europy niezwykle urozmaicili kulturę i sposób życia wielu ludzi zamieszkujących te kraje. Między innymi przenieśli tu język oraz właśnie styl ubierania się i zachowania, choć zmiany te tak bardzo nie rzucały się w oczy.

Król urządzał sobie spacer pośród obozowiska jego ludzi. Myślał o tym, co dalej ma robić jako król, aż w końcu przypomniał sobie plany poprzednika o tak zwanym „chwilowym pokoju”. W pewnym momencie zobaczył Filipa, który również miał okazję przebywać w tamtym miejscu. Rycerz zapytał króla, jak ten się czuje. Jego następcą odpowiedział:

– Znośnie. Byłem bardzo zaskoczony. Myślałem, że jeśli zdecydujesz się kogoś usynowić, to będzie to jakiś tutejszy doświadczony pan na zamku, albo przynajmniej wojownik uchodzący za niepokonanego, jak ty. Taki byłby godnym ciebie następcą. Ja nawet nie potrafię dobrze walczyć. Po prostu znamy się od dzieciństwa i to są jedyne moje predyspozycje.

– Nie zginąłeś w tylu bitwach. To wystarczający powód, aby uznać cię za doświadczonego szermierza. Poza tym rozwijasz się z każdym dniem. Parę miesięcy temu ledwo co uchodziłeś z życiem po pojedynku ze mną, natomiast teraz świetnie sobie

radzisz w samym sercu konfliktu.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Poza tym to zawsze myślałem, że ja nie powinienem zostawać żadnym władcą. Ja chcę być po prostu wolny. Nie jestem wariatem, który wybiera jakiś świat rodem z zamierzchłych czasów, lecz zamiast świata, w którym każdy mnie na każdym kroku krytykuje i nie pozwala mi odetchnąć, wolę ten, gdzie jestem wolną jednostką, której nikt nie dyktuje swojej woli. Mimo iż ewidentnie służyłem od zawsze królowi, miałem więcej swobody niż ktokolwiek inny w naszym świecie. I ja też czasem czuję się dziwnie, myśląc, że moja praca polega na zabijaniu ludzi oraz że walczę wtedy, kiedy ktoś mi rozkaże. Być może kiedyś z tym skończę i będę mógł odpocząć i spojrzeć w lustro, mówiąc: „Niczego nie żałuję!”, i powspominać czasy, kiedy służyłem swemu królowi i kiedy mój przyjaciel walczył u mego boku.

– Masz na myśli emeryturę? – zapytał, po czym obaj się uśmiechnęli.

– Tak. Właśnie to mam na myśli. Gorzej z tym, że prawdopodobnie będę musiał ją spędzać tutaj.

– Masz na myśli to, że nigdy nie wrócimy do naszego świata? – powiedział Filip z przejęciem.

– Nie. Chodzi mi o to, że najprawdopodobniej nie dożyję w naszym świecie wieku emerytalnego. Nawet gdybym nie zginął w żadnej bitwie.

Rozmowa niezwykle im się układała. Dzisiaj kolejny raz wspominali czasy dawnej przyjaźni. Nie zabrakło też czasu na przypomnienie niesnasek i kłótni. Tym się jednak nikt nie przejmował, gdyż wiadomo, że to, co było, nie jest ważne, a liczy się tylko to, co jest teraz, a wtedy przecież ich przyjaźń trwała w najlepsze. Warto dodać, że co jakiś czas rozmówców przybywało i ci zwracali się do króla jak do zwykłego przyjaciela. Jeden żołnierz zastanawiał się, dlaczego Falach rozmawia z nimi jak równy z równym i spytał:

– Falach... a w sumie to ty jesteś już dziś królem, czy nie?

– Pewnie, przecież jestem koronowany – odrzekł spokojnie władca.

– To gdzie masz swoją koronę? – zapytał jeszcze raz, będąc jeszcze bardziej zdziwiony.

– Ściągnąłem ją. Dla poddanych jestem królem, a dla przyjaciół po prostu Falachem.

– Ale ja dopiero wczoraj ujrzałem jego królewską mość na oczy – oznajmił zdziwiony wojak.

– I co z tego? – spytał beztrąsko król. – Poza tym mów do mnie tak, jak mam na imię. Nikt przecież do mnie nie mówi: „jego królewską mość”.

Zachodziło już słońce i było bardzo chłodno. Takie były praktycznie wszystkie dni tej pory roku. Falach przysiągł sobie, że urządzi sobie pojedynczą podróż, najlepiej konną. Uznał, że musi wykorzystać taką pogodę do aktywnego odpoczynku. Po pewnym czasie inni ludzie, którzy przyłączyli się do konwersacji, odeszli, a wtedy Filip zapytał druha o jeszcze jedną rzecz:

– Słuchaj. Mówiłeś, że czas w tym świecie, od kiedy zniszczyliśmy portal, biegnie równoległe do tego w naszym świecie. Nie martwisz się zatem o, rozumiesz, resztę. Ty

może nic nie robisz tam ciekawego, ale ja mam rodzinę, przyjaciół, dziewczynę. Oni się o nas martwią. O ciebie również.

– Nic na to na razie nie poradzimy. Musimy robić swoje. Prawdopodobnie nigdy nie wyjdziemy stąd. Poza tym co masz na myśli, że o mnie również?

– Nikt cię nigdy nie ignorował. A teraz oczywiście zaginałeś razem ze mną. Wychodzi na to, że ktoś może teraz uważać, że gdzieś uciekliśmy lub razem zginęliśmy.

– Niestety. Może i mają rację, jeśli tak myślą.

Wtedy Falach zobaczył wyglądającą z namiotu nagą Fadmę. Zapytał więc:

– Fadmo! Co ty tu robisz?

Ona, schowawszy się, zaczęła mówić, płacząc:

– Ależ panie! Wybacz mi!

– Filipie! Czy to twój namiot?

– Cóż... tak.

– Ależ... co ty robisz? Trwa wojna, niedługo zapanujemy nad kontynentem, a ty dobierasz się nawet do mojej służby?

– Ale wojna nie oznacza, że... – mówił, dopóki nie przerwał mu wściekły król.

– Cicho! Jesteś zdrajcą. Nie potrafisz się hamować nawet w dniu, kiedy zostałem twoim królem. Wyjeżdżam z tego miasta. Ty rób, co chcesz.

Falach zrobił, jak mówił. Planował wyjechać trochę później, ale stwierdził, że skoro Filip robi według niego źle, to może udać, że się na niego obraził. Okazało się, że czyn króla nie był zlekceważony przez jego następcę, gdyż ten nie miał zamiaru sam przebywać w Andzie. Sir Filip zastanawiał się, gdzie jego pan zamierza wyjechać i czy chce wracać do stolicy. W końcu doszedł do wniosku, że Falach prawdopodobnie udaje się do jego własnego zamku. Postanowił pojechać właśnie w tamto miejsce. Jednak wcześniej Falach wziął konia ze stajni byłego króla i wyjechał poza mury swojej nowej siedziby. Już wcześniej chciał znaleźć się w Vreal, o czym powiadomił swoich zastępców w Andzie.

Koń Falacha biegł w deszczu i przy całkiem mocnym wietrze. Oprócz tego było zimno i pochmurnie. Król przypominał sobie o słowach, które mówił Filipowi. O byciu niezależnym od świata i o niepodążaniu za złymi przykładami, które najczęściej widać w głupim plebsie. To streszczenie jego kazania brzmi jak kolejne pretensjonalne ukazanie władzy, która deprawuje, jednak takie samo zdanie o ludziach Falach miał, zanim w ogóle stał się dorosłym człowiekiem. Jednak dopiero teraz uznał, że nikt oprócz niego nie potrafi być chociaż przez chwilę szlachetną jednostką i że najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy, że to on nie jest normalnym człowiekiem, ponieważ setki ludzi nie wytrzymałyby tygodnia w takich warunkach i w takim świecie, a tego Falach nie potrafił zrozumieć.

Król podczas swojej podróży był wieszony przez swojego konia, mając cały czas tę jedną myśl. Przemierzał wsie, pola i lasy, jadąc wybudowanymi przez Enicenian marmurowymi drogami. Jednak podziwiając otaczający go widok, jeszcze bardziej dziwił się temu, że ktoś mógłby uznać to miejsce za złe. Oczywiście nie znał bolączek i niewygód tutejszych mieszkańców, ale był pewien, że te nie są większe od tych, które mają niektórzy Europejczycy w dwudziestym pierwszym wieku.

Deszcz przestał padać, a zachodzące już słońce zaczęło przebłyskiwać i niebo

nabrało niezwykłych kolorów, zbliżonych do fioletu. W końcu Falach dotarł do wielkiego monumentu, przedstawiającego Heniqueza jako mężczyznę wystawiającego swe ręce w stronę świata. Wtedy wszystkie pytania Falacha uzyskały odpowiedzi, a jego wątpliwości zostały rozwiane, gdyż zrozumiał, że to w obliczu Boga będzie zawsze kimś wielkim i kimś, kogo można uznać za dobrego, a nie jak w oczach ludzi, którzy za każdym razem próbują kwestionować jego wolę i robić mu na przekór. Tak myślał Falach. To dziwne, metafizyczne odczucie króla mieszało się z odczuwaną przez niego radością z otaczającego go świata. W końcu widok wtedy był piękny, a powietrze po deszczu świeże i chłodne. Jeździec zatrzymał się na jakimś polu i tam postanowił odpocząć wraz ze swym koniem. Jego rumak zaczął rozprostowywać stawy i i począł odpoczywać. Falach chciał uczynić tak samo. Jednak nie miał zwyczaju regenerować sił stojąc, więc położył się na błocie. Nie czuł się wtedy jak król, jednak był jak zwykle radosny z przebywania w tym mediewistycznym świecie. Przy okazji jego nieobecność w jakimkolwiek mieście pokazywała ludziom, że Falach ma ich gdzieś, a właśnie to król chciał przez to uzmysłwić swym poddanym, których nie zamierzał zadowalać.

Król Brados, mimo że już nie był permanentnie atakowany ze wszystkich stron (jak było jeszcze parę miesięcy temu), był bezradny. Zwołał więc wszystkich wasalów do swojej siedziby – Rillun, aby urządzić wielką i ostateczną naradę wojenną. Wykrzyknął raz z najwyższego punktu zamku:

– Niedługo ma się odbyć ostateczna narada wojenna! Słyszycie? Mamy się rozprawić z naszymi wrogami. – Wszyscy słyszeli te słowa i wszyscy wsłuchiwali się w nie z uwagą. – Wszyscy posłańcy! Wyślijcie wiadomość do każdego lorda w tym kraju, aby natychmiast przyjeżdżał tutaj, gdyż szykuje się ostateczne rozwiązanie w związku z wojną z Enicenią!

Ten nietypowy czyn przyciągnął wielu ludzi do króla. Jeden mieszkaniec poszedł do władcy, mówiąc:

– Czy to już będzie koniec? Król odpowiedział mu:

– To będzie tylko początek normalności...

Podczas gdy Falach urządził sobie podróż z centrum Eniceni do Vareal położonego na wschodzie tego kraju, trwały rozmowy prawdziwych przywódców Valkiriany. Jeszcze w południe wszyscy valkiriańscy lordowie wyznaczyli swych zastępców i wyruszyli do niewielkiego zamku, w którym znajdował się ich senior. Weszli do niego po linach, wprowadzono ich do największego pomieszczenia w stolicy. Nie był to żaden pałac. Sala tronowa w Rillun istniała, lecz była wielkości przeciętnego mieszkania w bloku, a w tym niewielkim pomieszczeniu reprezentacyjnym znajdowały się wyłącznie rzeczy potrzebne królowi do pracy i miejsce na służbę, której zadaniem miałyby być sprzątanie tego miejsca lub doradzanie królowi. Teraz, gdy miały się spotkać razem z Bradosem setki innych Valkirian, nie można było sobie pozwolić na przebywanie w tak ciasnym pomieszczeniu. W tamtym momencie wszyscy zebrali się w wielkim pokoju, przeznaczonym wyłącznie do takich porad. Trzeba było tylko przynieść drewniane krzesła, aby każdy zebrany mógł na nich spokojnie usiąść. Nie starczyło siedzeń dla wszystkich, wszak nikt w Rillun nie przewidział, że będą kiedykolwiek potrzebne krzesła dla tylu dziesiątek osób, ale i tak prawie wszyscy usiedli na tych

przyniesionych i oczekiwali, aż będą mogli przedyskutować obecną sytuację i zaplanować dalsze działania, aż wreszcie zaczął mówić król Brados:

– Cóż. Absolutnie nie wiem, co mam dalej omawiać. Obawiam się, że nasz los jest przesądzony. Nie mam pomysłu, jak przetrwać. Czy ktoś z moich wasali jest w stanie doradzić królowi? W ten sposób przyczynicie się do... co tu dużo mówić... zwycięstwo Valkiriany w tej wojnie będzie wyłącznie cudem.

– Panie! – odezwał się jeden z uczestników narady.

– Tak? – spytał król, a wtedy wszyscy uczestnicy narady zaczęli słuchać z uwagą, obróciwszy się do mężczyzny, który pragnął zabrać głos.

– Do tego cudu z pewnością możemy się przyczynić. Czy ktoś zechce mnie wysłuchać?

– Oczywiście – odparł król. – Ale nie sądzę, byś dużo zdziałał.

– Ależ nie zdrałam. Mam tylko pewien pomysł.

– Mów w końcu jaki.

– To nic skomplikowanego. Wiem w końcu, jakie mamy wyjście. W sytuacji, w której...

– ...dostajemy łomot – dopowiedział ktoś.

– Tak. Otóż póki król Falach nie oświadczył niczego wobec Walkii ani Rameńskiego Akh, jest szansa na wygranie wojny. Jest jedno „ale”. Musimy zwyciężyć razem z jednym z tych królestw.

– Świetnie! Czyli wygramy razem z innymi – zauważył ktoś na sali.

– Być może – stwierdził mężczyzna. – Nie jest to jednak pewna wygrana. A nawet, gdy będziemy wygrywali, dalej będziemy toczyli krwawą wojnę.

– Lecz kto nam w niej pomoże? Czy ktoś się zgodzi być z nami w sojuszu? – padło kolejne pytanie ze strony zgromadzonych.

– Cóż, rozmyślałem o wielu potencjalnych sojusznikach. Na przykład Walkia jest z nami zaprzyjaźniona i od wieków darzymy ich sympatią. Natomiast Rameński Akh jest zbyt groźny dla nas, a nawet Enicenia nie ma pewności, czy ci ludzie nie zabiją ich we śnie, kiedy interesy nie będą wspólne. Jak już mówiłem, wojna z Akh'em przeciwko Walkii i Eniceni może być krwawa i bolesna, lecz jeśli zwyciężymy, może uratujemy nasz kraj. Jeśli jednak przegramy, na pewno zachowamy nasz honor. Wiemy przecież, że poddanie się nie wchodzi w grę.

Tak mówił młody lord Gerdok, nieznanemu wielu ludziom do tej pory. Ale po wygłoszeniu tej mowy lud oraz władca Valkiriany docenili go. A że wśród sąsiadów nastała moda ogłaszania następcą króla zasłużonych ludzi, to Brados nie chciał być gorszy i również to uczynił z Gerdokiem. Oczywiście nie miał zamiaru sprawić, aby stał się on królem. Zrobił to dla swojego prestiżu. Jednak dla samego Gerdoka była to dobra nagroda, gdyż dzięki niemu naród valkiriański na chwilę obecną odzyskał nadzieję, a on poczuł się lepszym człowiekiem. Jego sytuacja była taka sama jak Filipa, gdy ten również wygłosił podobną mowę. Niby wszystko się dzięki niemu zmieniło, a tak naprawdę nic nadzwyczajnego nie zrobił. Jedynie pierwszy spośród ludzi dorwał się do głosu.

Po naradzie król został z jednym z lordów. Byli dalej w sali, w której trwało spotkanie. Władca chciał tylko zapytać swojego wasala, czy przez chwilę pomoże mu



posprzątać salę. Ten oczywiście nie odmówił. W trakcie robienia porządków lord postanowił zacząć rozmowę ze swym seniorem.

– Panie! Chciałbym panu coś powiedzieć.

– Słucham?

– Nie obrazi się pan?

– Postaram się. Ale weź te kufle i umyj je w misce.

– I takie zadania ma pan zamku w Valkirianie... Ale w tym czasie chciałem królowi powiedzieć, żeby pan uważał na Gerdoka.

– Dlaczego?

– Mówię panu. Znałem go długo. Jeszcze zanim z nieznanymi mi powodów został lordem. Wydaje mi się, że to niezły cwaniak. Zrobi wszystko, aby się wywyższyć.

– Ale skąd ty to wiesz? Poza tym nie powiedział teraz nic złego.

– To prawda. Ale znałem go długo. Na pewno nie można mu ufać. Szczególnie kiedy sam przyznaje, że wojna, do której nas prowadzi, będzie krwawa.

– Cóż... tego, co on chce zrobić, nikt z nas nie wie. Dlatego na razie nie skupiamy się na nim, tylko na jego czynach.

– Na słowach też.

– Zgadza się.

Król po raz kolejny zebrał się ze swoimi wasalami. Tym razem musiał wyjechać z nimi do stolicy Walkii, aby spotkać się z władcą tego królestwa i złożyć mu propozycję współdziałania. Jak było już powiedziane, władca ten nazywał się Mütteji. Król Valkiriany musiał po raz kolejny przywołać do siebie swoich podwładnych, aby razem z nimi wyruszyć w ustalone miejsce. Teoretycznie nie musiał ze sobą brać tylu ludzi, ale pragnął mieć większe poparcie w negocjacjach z Mütteji'em. Wysłał gońca do wielu swych ludzi z wiadomością mówiącą o tym, że ci muszą jechać do Rillun, a stamtąd wyruszyć miasta Atenberg – siedziby Mütteji'ego. Król pragnął koniecznie jechać w to miejsce z eskortą złożoną z tak wysoko postawionych ludzi. Nikt nie wiedział, dlaczego właśnie tak sobie zażyczył, ale wszyscy byli ciekawi tego, jak skończą się rozmowy z przywódcą Walkii i czy ten poprze polityczny plan Gerdoka.

Brados i lordowie Valkiriany wyruszyli z samego rana, po kryjomu, do miasta Atenberg – siedziby Mütteji'ego. To miasto odznaczało się przede wszystkim warownością. Było otoczone fosą i posiadało bramę zwodzoną. Po kilku dniach nieustannej konnej jazdy Valkirianie mogli przystąpić do rozmowy z przywódcami sąsiedniego kraju. Walkijczycy u murów zamku i u brzegu rzeki otaczającej je ujrzeli kompanię, która wyglądała wtedy niczym zwykła karawana. A że jeden z nich podawał się za króla Valkiriany, tamci wezwali swego władcę, sądząc, że powinien rozpoznać samego Bradosa. Mütteji oczywiście znał tego mężczyznę oraz biegle władał językiem sąsiadów. Jednak kazał przeszukać zarówno zwierzchnika gromady, która tam przybyła, jak i jego poddanych. Oczywiście zaraz potem zaprosił tych ludzi do swojego pałacu. Opuścili most i pozwolili im wejść przybyszom do środka. Gdy wszyscy znaleźli się w środku, Mütteji oznajmił:

– Może chcą się panowie czegoś napić? Wina, piwa? Wódki?

– Dziękujemy – odparł władca Valkiriany. – Nie przyszliśmy tu na ucztę. Nie

chcemy jeść, pić ani bawić się.

Tamto miejsce było niewyobrażalnie bogate w witraże i okna. Momentami mogło się wydawać, że nie było tam ścian. Poza tym wszystko zdawało się być w porządku. Wszyscy Valkirianie byli dobrze ugoszczeni i zachowywano się wobec nich miło i z pokorą. Posadzono ich przy prostokątnym, długim, lecz wąskim stole, co zdecydowanie pasowało do charakteru dyskusji, gdyż jak powiedział Brados, nie przybyli tu na ucztę, a ich grono było wyjątkowo liczne. Goście wręcz zachwycali się bogatym wnętrzem i wystrojem pałacu. Znajdowały się tutaj klasyczne monumenty, które budziłyby skojarzenia ze sztuką antyczną Grecji. W charakterze dekoracji ustawiono tam ponadto rycerskie zbroje i oczywiście wielki, niesłychanie szczegółowo ozdobiony tron. Mütteji nie siedział na nim, gdyż musiał tego dnia rozmawiać z przedstawicielami narodu valkiriańskiego. Na odmowę zjedzenia posiłku odpowiedział:

– Ach! Tak. Gdy tu weszliście, obito mi się o uszy, że chcecie zawrzeć z nami sojusz. To dość poważnie brzmi.

– Gdyż chcemy zawrzeć z wami prawdziwy sojusz. Nie taki na pokaz, gdzie będziemy wychodzić razem do naszych poddanych i uśmiechać się, mówiąc o pokoju. Mamy zamiar walczyć razem z wami.

– Bradosie, poczekaj. Muszę to najpierw rozważyć. W sumie to niby prowadzimy z wami jakąś wojnę. Ale ja do was nic nie mam. Henryk mówił, żebyśmy razem wam dokopali, to on nam da kawałek was. Ale skoro on nie żyje, a wy nie macie zamiaru się poddać... Poza tym nasze narody są jak bracia. Nawet podobnie się nazywają, nie?

– Zaraz, zaraz! Wydaje mi się, że mówisz, jakbyś nie miał tutaj żadnej władzy. Czy to normalne, że władca tak wielkiego kraju mówi: „Król sąsiedniego państwa zaatakował kogoś, to my też musimy!”?

– Posłuchaj, bracie. Gdybym chciał mieć władzę, to siedziałbym we własnym gospodarstwie z żoną i dziećmi. Tylko to gwarantuje nam posiadanie wolnej woli. Polityka to nie żadna zabawa w robienie tego, co chciałoby się, lub rozkazywanie wszystkim, grożąc szabelką.

– A jak to ma się do tego, że przyłączasz się do tych, którzy zamierzają zmieść naród valkiriański z powierzchni ziemi?

– Otóż, jak Henryk mówi, że coś mi da, w zamian za to, że będziemy walczyć przeciwko wam, to nie mogę mu odmówić. Ale widzę, że los Enicenie wisi na włosku, zwłaszcza z tym ich nowym królem... Balachem, czy innym Achem. Jak ja nienawidzę jego pysznienia się. I jeszcze to, jak Henryk o nim prawił! Mówił: „Czego to on nie dokonał na polu bitwy!”. Szlachetny chłoptaş z mieczem, nie ma co!

– Mniejsza o niego – wtrącił król Valkiriany. – Chcemy w końcu ruszyć z wami przeciwko Enicenie oraz Rameńskiemu Akh.

– Niech będzie, mój druhu.

– Domyślam się, że się zgadzacie.

– Oczywiście. Ale jedno musicie wiedzieć, moi drodzy Valkirianie! Sojuszy nie będę już zawierać za darmo.

– A co chcesz w zamian? – dopytywali się Valkirianie.

– Otóż chcę, abyście posadzili mnie na swoim tronie.

Rzekł tak, gdyż zawarł wcześniej sojusz z dalszym królestwem, czyli Graneją, leżącą na południu. Miał wraz z nią walczyć z wrogami z zachodu, a na to Brados by nie pozwolił, gdyby miał jakkolwiek władzę.

– Aaa... taki mały warunek – śmiał się jeden z lordów.

– Cicho bądź. Królowie rozmawiają ze sobą – krzyknął władca Valkiriany, po czym zwrócił się do Mütteji'ego: – Ależ... co mam zrobić ja?

– Nie domyślasz się? Musisz abdykować. Oczywiście możesz jeszcze zginąć, ale nie sądzę, by było to dla ciebie odpowiednie rozwiązanie.

– Dobrze! Ale robię to tylko dla mojego ludu! – oznajmił patetycznie po chwili milczenia, zwracając się do valkiriańskich wasali.

Mütteji, jak nakazywały walkijskie obyczaje, odprowadził Bradosa oraz jego ludzi do granic Valkiriany. Niezbyt spodobało się to lordom, gdyż zamiast jechać na swoich wierzchowcach, byli trzymani z nimi w wozach służących do transportowania siana. W jednym z takich wozów znajdowali się Mütteji i Brados. Ci rozmawiali ze sobą o dalszych planach. Brados pytał, co będzie, jeśli Mütteji jako przyszły władca Valkiriany umrze.

– Słuchaj, drogi Bradosie. Ja, jako jeden z niewielu władców na tym kontynencie, mam żonę oraz dzieci. Ty ich nie masz, gdyż jesteś młody, Falach oraz Henryk również nie mieli. Mam zarówno synów, jak i córki, ale nie zamierzam powierzać w ich chciwe łapy władzy ani nad Walkią, ani nad Valkirianą. Kiedy będę w stanie to zrobić, staniesz się moim następcą. Jeśli umrę przed tobą, będziesz panem zarówno swojego rodzinnego kraju, jak i mojego.

Król uczynił zgodnie ze swoim przyrzeczeniem. Gdy tylko wszyscy znaleźli się u granic Valkiriany, wszystkie wozy się zatrzymały. Mütteji wysiadł i czekał, aż zrobią to inni. Niektórzy wyjrzeli i dopytywali się, gdzie się znajdują. Odpowiedziano im, że to jest już Valkiriana. Ci, którzy to usłyszeli, natychmiast rzucili się na ziemię i zaczęli ją całować. Król Brados uśmiechnął się i powiedział do Mütteji'ego:

– Widzisz, królu? Tak zachowują się ludzie kochający rodzinne ziemie.

– Naprawdę cieszę się, że postanowiłeś poprosić mnie o pomoc. Ponadto wierzę, że będziesz dobrym władcą mojego narodu.

– Ja też. Muszę przyznać, że rządzenie tak wielkim obszarem i posiadanie tak wielkich zasobów jak ty jest czymś, o czym zwykli ludzie nie mogą nawet marzyć. Martwi mnie tylko jedno. Czy nie sądzisz, że twoim poddanym może się nie spodobać ten pomysł?

– Czy chodzi ci o to, że nie będą chcieli, aby Valkirianin miał nad nimi władzę?

– Tak. Wielu ludzi, z którymi miałem okazję rozmawiać, zanim zostałem królem, mieli do tego właśnie takie podejście. Ci zwykli mieszkańcy naszych miast chcą, aby ich przedstawicielem i przywódcą był człowiek z tego samego kraju, czyli mówiący tym samym językiem oraz znający te same obyczaje. W moim przypadku to ostateczność, gdyż tylko ty możesz być moim sojusznikiem, a postawiłeś sprawę jasno. Ja nie chcę pociągać za sznurki w twoim kraju, a ty uważasz inaczej.

– Bradosie! Wierz mi, że każdy normalny człowiek wolałby, abyś ty był jego władcą niż moi synowie.

- Dlaczego?
- Nieodpowiedzialni, głupi okrutnicy. Mówić więcej?
- Nie trzeba.

Brados pożegnał się z nowym władcą Valkiriany. Podobnie uczynili jego wasale, którzy teraz musieli rozejść się w swoje strony. Musieli teraz pójść do jakiejś wsi, a stamtąd wziąć konie i pojechać do swych miast. Nie wszyscy mieli ochotę starać się o nie bez pieniędzy, dlatego większość podróżnych zatrzymała się w zamku jednego z lordów i tam przeczekali parę dni. Ten zamek był najbliżej granicy z Walkią. Brados po powrocie do stolicy abdykował, a Valkiriana miała od tamtej pory nowego władcę – Mütteji'ego. Teraz państwo, którym władał, nazywało się Królestwo Valkiriany i Walkii oraz Unia z Graneją. Taki sojusz zapewniał Valkirianie to, że wojna nie mogła się skończyć dla niej niepomyślnie. Innymi słowy, jej wygrana była wręcz pewna.

Filip wtedy pojechał za swym panem do miasta Vareal. Myślał, że w stolicy podczas nieobecności króla będzie niepotrzebny. W tej kwestii się mylił, ponieważ Anda w tym czasie potrzebowała jakiegoś przedstawiciela lub przywódcy, a taki obecnie nie istniał. Ludzie chcieli, aby ktoś stał na ich czele, głównie dlatego, że nikt nie zauważył, iż przestano prowadzić wojnę. Teraz, gdy władca Eniceniei odjechał, wszyscy myśleli, że jest to definitywne rozstanie się z poddanymi. O tym, że ludzie w ten sposób rozumowali, Filip dowiedział się podczas swojej podróży na wschód, do lenna swojego pana. Tam co jakiś czas zatrzymywał się, będąc zaczepianym przez chłopą, który na ogół dziwił się, że ktoś przemierza te tereny, mając na sobie płytową zbroję i dosiadając wielkiego konia. Mowa mężczyzny była dla Filipa całkiem zrozumiała.

- Kim pan jest i co pan tu robi? – spytał wieśniak.
- Jestem sir Filip, następca tronu Eniceniei.
- To pan? A co z królem? Czy on nie uciekł?
- Skąd te przypuszczenia?
- Niedawno tędy przejeżdżał. Sam tego nie widziałem, ale inni ludzie ze wsi widzieli tego słynnego Falacha, który akurat jechał po tej drodze.
- Zgadza się, że mógł tędy przejeżdżać. Mój pan wyjechał do swojego lenna, Vareal. To jego dawna siedziba i osobista własność.

Sir Filip miał takich spotkań znacznie więcej, ale później starał się nie zwracać uwagi na ludzi, którzy w jego odczuciu byli zwykłymi głupimi prostakami. Nie był przyzwyczajony do widoku chłopów i gdy patrzył na ich prostotę, nasiąknąwszy przy tym dworskim poczuciem smaku, gardził takimi osobami. W każdym razie dzięki takiemu podejściu ruszył dalej i nie ociążał się już w podróży. Teraz jedynym celem było dotarcie do Vareal i służenie u boku swojego króla i przyjaciela.

We wszystkich krajach, które formalnie nadal prowadziły wojnę, panował spokój. Oczywiście żaden mieszkaniec, czy to Eniceniei, Rameńskiego Akh lub Walkii, nie zapomniał, że na ich kontynencie Falach nadal szykuje się do podbicia Valkiriany oraz do zapanowania całym światem. Każdy człowiek wiedział, że bitwa, czy to ta ostateczna i zamykająca ten konflikt, czy tylko kolejne krwawe oraz bezsensowne starcie, prędzej czy później nastąpi. Za to niektórzy władcy państw, które były w tym konflikcie, na tyle zapomnieli o trwającej wojnie, że zaprzestali nawet wyposażania swoich armii. Do

oddziałów eniceńskich czy rameńskich nie trafiała ani nowa broń, ani zbroje, nie mówiąc już o żołnierzach. Innymi słowy – (pomimo ambicji Falacha związanych z podbojem świata) ani Enicenianie, ani Rameńczycy nie szykowali się do dalszej wojny.

Gdy Falach się wyspał na polach uprawnych, o których była wcześniej mowa, wsiadł na konia i ruszył dalej do Vareal. Podróż była oczywiście wyczerpująca i trudno było dojść do celu – przez nieznaną drogę – ale gdy tylko lord tego zamku dotarł na miejsce, od razu uznał, że było warto tak się poświęcać, ponieważ pierwszy raz od tak dawna ujrzał swoje lenno. Forteca była zbudowana wyjątkowo symetrycznie, posiadała jakiś bardzo niezwykły rodzaj piękna, a gdy stanęło się przed wejściem, całość przypominała statek, który zdawał się płynąć w stronę obserwatora. We własnym mieście Falacha wszyscy powitali go niezwykle ciepło.

– Witamy cię, nasz nowy królu! – krzyczano.

Wnętrze grodu było zaskakująco duże. Miejsce to odróżniało się niezwykle od większości lordowskich siedzib, gdyż było ludzkie i skromne. Znajdowały się tam targi, mieszkania, place zabaw i wszelkie inne niewyróżniające się niczym i niemonumentalne rzeczy. Widoki te sprawiały wrażenie bardziej miejskich niż czegoś, co ma spełniać zadanie warownej fortecy. Jednak jako miasto, siedziba i własność Falacha była bardzo mała. To wcale nie szkodziło, gdyż lord uznał, że ludzie zamieszkujący takie miejsce będą jedynie wspomagać i urozmaicać działania w nim prowadzone, ale zakładał, że nie może ich być za dużo.

– Nasz drogi władco! Jak dawno cię nie widzieliśmy!

– Byłem w Andzie. Wcześniej służyłem królowi Henrykowi, a teraz sam zostałem królem, dlatego mogłem do was przybyć, drodzy poddani.

– Słyszeliśmy, że jest wojna, a ty w niej walczysz.

– My przecież nic nie zauważyliśmy! Nie widzieliśmy żadnej wojny!

– Wojna jest na zachodzie z Valkirianą, a nie Rameńskim Akh'em, dlatego mogliście niczego nie dostrzec – odpowiedział Falach.

Władca Enicenu zapytał, czy przybył tam jego przyjaciel, jednak nikt nie o takim nie słyszał. Król czekał jeszcze kilka dni. W końcu, gdy przybył jego następca, lord Vareal nie wspominał nic o tym, co ujrzał w obozie w Andzie. Uznał, że to prywatna sprawa jego przyjaciela. Nie zmieniało to faktu, że król upominał druha jeszcze wiele razy. Jednak kiedy Filip wjechał z eniceńskim sztandarem prosto pod mury zamku, Falach rozpoczął kolejną tyradę dotyczącą wszelkich działań wojennych, które trzeba było wtedy podjąć. Według niego należało w końcu zająć się ziemiami przeciwnika. Mówił:

– Filipie! Cieszę się, że przybyłeś! Wszyscywiążą mi ręce! Może ty mnie poprziesz!?

– W czym mam cię poprzec?

– Powinniśmy w końcu zagarnąć Valkirianę, a kapłani mówią, że nie mogę przejmować władzy nad ziemiami, które nie są mi z góry powierzone!

– Tak mówili?

– Może nie dosłownie, ale to mieli na myśli. Mówili, że jeśli zapanuję nad... na przykład kontynentem, to przewróci mi się w głowie i na pewno będę chciał przejmować rolę boga!

– A nie sądzisz, że mają trochę racji?

– Co masz na myśli?

– No wiesz... Wielkie imperia, które zawsze upadały, i tak dalej. Sam zawsze zadreczęś mnie takimi moralizującymi historiami.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem, czy ktokolwiek by przejął władzę nad jakąś planetą, ale jedno jest pewne: nikt do tej pory tego nie zrobił, a więc ja mógłbym być pierwszy.

– A co się stanie, jeśli zginiesz?

– To zginę.

– A nie będziesz chciał się otruć, gdy będziesz w niebezpieczeństwie, jak zrobił Hitler?

– Nie. W sumie cała ta nasza kampania jest jak zabawa. Wiem, że giną tutaj prawdziwi ludzie, homo sapiens, i tak dalej. Jednak ja wiem, że nie powinno mnie tu być od początku. Dla mnie przeznaczony był jeden świat. W tamtym świecie są chociażby moi rodzice. Wiele innych ważnych rzeczy, bez których nie chce mi się żyć. Wiem, że te portale sprawiłyby, że nasze uniwersa praktycznie stałyby się jednolitym miejscem, ale tutaj żyją dobrzy ludzie, Enicenie! Mają swoją tożsamość, język, kulturę, zwyczaje. Być może byłyby one zachowane, ale nie chcę tego sprawdzać, sprowadzając tu tysiące żądnych krwi Europejczyków. I nie chodzi mi o to, co zrobili Anglicy z Indianami. Tym razem wykończylibyśmy tych poczciwych mieszkańców tutejszych krain nie mieczem ani pięścią, ale swoją pospolitą zwierzęcą i antycywilizacyjną mentalnością.

Filip po raz kolejny podziwiał Falacha za jego zdolność wygłaszania przemów. Po raz kolejny z tak dziwnej rozmowy stworzył podnoszące na duchu przeżycie. Jednak nie obyło się bez pytań.

– Jak to? Co masz na myśli? Dlaczego ktoś miałby niszczyć ten kraj od środka?

– Dlaczego? Sam nie wiem. Ale jestem pewien, że natychmiastowe zderzenie się naszych światów nie zakończyłoby się zwykłym zmieszaniem nas, lecz czymś bardzo destruktywnym. Tak czy inaczej wiem, że było w interesie ludzkości zniszczenie tego portalu. Mam nadzieję, że to było ostatnie takie przejście.

Kolejny jasny, pogodny, letni dzień powoli się kończył. Światło rzucające przez zachodzące słońce zdawało się malować horyzont w kolorach pomarańczy. Zanim miał nadejść czas na udanie się na spoczynek, nowy król Eniceniei oraz lord miasta Vareal musiał jeszcze porozmawiać ze swoim dotychczasowym zastępcą.

– Witam cię, Angus – powiedział, gdy go spotkał.

– Witam, królu. Czy dalej będę musiał cię we wszystkim tutaj wyręczać, czy w końcu przypomniłeś sobie, że to miasto należy do ciebie?

– To król Henryk kazał mi stacjonować w Andzie, ale gdy stałem się najważniejszym człowiekiem w kraju, nie muszę już nikogo słuchać, dlatego przybyłem do mojego ukochanego miasta.

– To świetnie. Widocznie teraz będę mógł odpocząć.

– To bardzo dobrze. Lecz chciałem uczynić jeszcze jedno. Pamiętasz, gdzie znajduje się mój osobisty miecz?

– Ależ oczywiście! Cały czas trzymamy go na honorowym miejscu w twojej

komnacie.

Falach, usłyszawszy to zdanie, pobiegł szybko do swojej siedziby na zamku i zajrzał do kufra, w którym miał spoczywać jego oręż. Komnata, która niegdyś należała do niego, wyglądała teraz niezwykle znajomo i przywołała tyle wspaniałych wspomnień oraz wprowadziła Falacha w osłupienie. Było to niezbyt duże, ale dość praktyczne pomieszczenie z wieloma pozostawionymi przez niego przedmiotami. Znajdywała się tam między innymi jego pościel, garderoba, wszelkie pamiątki z czasów, kiedy wojował i otrzymał swój zamek, a potem zaczynał nim rządzić. Była tam zbroja, którą nałożono na Falacha, gdy ten był mianowany rycerzem króla, oraz drewniane imitacje broni, którymi trenował jako młodzieniec. Nie zabrakło także jego łuku, strzał, pucharów, noży i tym podobnych przedmiotów codziennego użytku. Falach pożałował, że takie rzeczy niegdyś mogą być tylko mglistymi wspomnieniami.

Król otworzył ów kufer za pomocą klucza, który leżał na stoliku obok. Wyciągnął klingę zawiniętą w jakiś materiał. Uniósł miecz do góry, klęcząc, ale natychmiast wstał i zaczął wymachiwać orężem, przypominając sobie w ten sposób czasy, w których jeszcze się nim na co dzień posługiwał. Otrzymał go od samego Henryka. Ostrze to nie było jakoś wyjątkowo ozdabiane, ciężkie ani nadludzko ostre, ale bardzo zadbane i praktyczne. Król przyrzekł sobie, że od tej pory zawsze będzie używał tego odnalezionego miecza, choć nie wiadomo było, czy będzie miał kiedy to robić.

Wszyscy w Enicenie, a szczególnie w Vareał niecierpliwie czekali na dalszy etap w tej wojnie. Oczywiście cały odpoczynek od wszelakich militarnych operacji trwał dalej, ale już niedługo miał się skończyć. Jak wiemy, Falach nie zatrudniał szpiegów, którzy mieliby infiltrować struktury sąsiednich państw, i dlatego żadne ważniejsze wiadomości nie dochodziły do jego uszu, oprócz plotek wygłaszanych przez dworskie służące. Całymi dniami Falach spoczywał na swoim tronie, grał w szachy i wypytywał wszystkich o to, co się dzieje z królem Walkii i czy on postanawia walczyć z Valkirianami. W końcu ten był sojusznikiem, który miał bezpośredni dostęp do atakowanego państwa, w przeciwieństwie do Rameńskiego Akh. Znudzony już całkowicie Falach rozmyślał nad tym, czy faktycznie sobie nie odpuścić tej wojny. W końcu ci kapłani musieli mieć trochę racji. Jednak w dniu, w którym zapragnął wyjść na polowanie, wszystko się zmieniło.

W końcu, gdy Mütteji został oficjalnie ogłoszony królem Valkiriany, Walkijczycy przestali darzyć swojego władcę taką sympatią, jaką darzyli wcześniej. Ludzie nie mieli już do niego szacunku.

Informacja o tym, że Mütteji był królem również Valkirian, nie dotarła do uszu nikogo spoza granic Królestwa Valkiriany i Walkii oraz Unii z Graneją. Jednak po pewnym czasie, prawie po dwóch miesiącach od zawarcia tego sojuszu, jeden z Valkirian postanowił powiedzieć Eniceniom o jego ratyfikacji. Zdążył to zrobić, zanim oni sami się o tym nie dowiedzieli oraz zanim Falach nie wyznał, że pragnie zawrzeć taki sam sojusz z Walkią. Gdyby jednak Falach oznajmił Mütteji'owi, że dąży do podpisania z nimi paktu, ten by go natychmiast poinformował, że on oraz król Brados będą walczyć z Enicenią oraz Rameńskim Akh'em w tej wojnie. Potem miałyby miejsce wielka, ale wyrównana wojna, w której wielu ludzi poniosłoby śmierć, a dziesiątki miast byłoby zrównanych z ziemią. Król Enicenie nie wysyłał za granicę szpiegów, więc można

powiedzieć, że w tym przypadku góra przyszła do Mahometa. Pewien Walkijczyk, który postanowił być valkiriańskim kolaborantem, miał na imię Keslaf. Był to zwyczajny mieszczanin, a wtedy trudnił się handlem. Nie zawsze jednak znajdował się w takiej sytuacji życiowej. Kiedyś ludzie mogli traktować go poważnie, gdyż mężczyzna ten miał tytuł lorda. Tytuł ten został przez niego utracony, gdyż król Ender zdegradował go za obrazę monarchy oraz pozbawienie godności władcy. Nawet najlepiej poinformowani ludzie w królestwie nie wiedzieli, co dokładnie władca usłyszał z ust Keslafa. Cokolwiek powiedział wasal Bradosa, z pewnością zrobił to podczas rozmowy w cztery oczy. Jedyna rzecz, jaka jest w tej sprawie pewna, to to, że Keslaf nie darzył nigdy swego króla sympatią. Lecz wtedy, gdy donosił o tajnych przedsięwzięciach swego władcy Falachowi, nie tylko próbował dopiec królowi, lecz wiedział, że dopuści się w ten sposób zdrady stanu. Do tej pory ktoś, kto mówił takie rzeczy obcokrajowcom, a szczególnie Enicenianom oraz Rameńczykom, był surowo karany. Zwykle lądował na stryczku, choć bardzo często za nieprzestrzeżenie takiego zakazu również łamano kołem. Czyn Keslafa nie przyczyniłby się do zwycięstwa Enicenu, lecz musiał niezwykle pomóc Falachowi, który miał teraz czas na obmyślenie strategii walki z państwami owej unii.

Nie można zapomnieć o najważniejszej rzeczy, którą pragnął osiągnąć ów mężczyzna. Celem Keslafa było przyłączyć się do królestwa Enicenu oraz do jej przyszłego sojusznika – Rameńskiego Akh. Warto dodać, że osobnik ten pochodził z tego drugiego kraju i stąd to egzotyczne dla Valkirian imię. Natomiast jego matka urodziła się na jednej z wysp będących eniceńską kolonią. Uciekła do Valkiriany, gdy Rameńczycy dowiedzieli się o tym, że kobieta ta miała syna z jednym z wyznawców rameńskiej religii. Rameńczycy nie tolerowali obcokrajowców zadających się z nimi.

Niespodziewanie, pewnego wiosennego dnia, do Falacha przybył sam król Mütteji. Władca Walkii wyznaczył swojego zastępcę, wyruszył na koniu do Andy, zatrzymując się po drodze w miasteczkach i wsiach, aby się posilić i nakarmić konia. Gdy po paru dniach trafił na miejsce, zastał Falacha wychodzącego na łowy wraz z gromadą łuczników oraz kuszników. Zbliżył się do niego i powiedział mu po eniceńsku:

- Witaj, drogi królu! Nie spodziewałeś się mnie tutaj, prawda?
- Cóż, faktycznie. Dlaczego tu przybyłeś, Mütteji?
- Przybyłem ci coś oznajmić, Falachu.
- To dobrze. Pragniesz może wejść do środka? A tak poza tym, to co u was, stary druhu?
- „Stary druhu” – powtórzył z ironią. – Jak ty się do mnie wyrażasz?
- Cóż, królu Mütteji – jeśli wolisz, abym tak się do ciebie zwracał – jesteśmy przyjaciółmi. Nie oficjalnie, ale jednak. Nie mamy ze sobą na pieńku.
- Słucham?
- Nieważne. Chodzi mi o to, że do tej pory nasze stosunki były przyjazne. No chyba, że o czymś nie wiem.
- Wydaje mi się, że nie wiesz jeszcze o bardzo wielu rzeczach.
- Cóż... wydawało mi się, że mamy zawarty pewien sojusz.
- Och, tak? – mówił dalej, igrając sobie z władcą Enicenu.
- A nie? – kontynuował zdziwiony Falach. – Słuchaj: jeśli chcesz mi coś



powiedzieć, zrób to od razu!

– Cóż, mój drogi Falaszku, to nie takie proste. Ale chciałbym się cię o coś zapytać. To taka kwestia przyjacielska: dlaczego nikt nie atakował ostatnio Valkiriany? Pytam, gdyż taka ospałość polityczna u ciebie bardzo mnie niepokoi.

– Zbieramy siły, a Valkiriana już nam nie zagraża. To według mnie rozsądny krok.

– Może rozsądny, może nie. Ale ja muszę wam w końcu uroczyście oznajmić, że czasy się zmieniły. Nie jesteśmy już z wami. Przyłączyłem się do Bradosa. Tera postanowiłem walczyć z wami i Rameńskim Akh'em.

– To dość nagła i... odważna decyzja. Ale przyjeżdżasz do Andy sam, oznajmiasz, że teraz twój kraj walczy przeciwko nam, i w ogóle nie okazujesz pokory. Jesteś na obcej ziemi, wśród obcych ludzi! Nie boisz się?

– Och, a dlaczegoż miałbym się czegoś bać?

– Ponieważ moglibyśmy cię zabić.

– A czy zrobicie to? – spytał Falach, mając strach wymalowany na twarzy, po czym spojrzał na swoich ludzi, którzy na jego gest napięli swe łuki oraz kusze. – Nie możecie! – krzyczał. – Jestem królem Walkii! Moi ludzie pomszczą mnie – po tych słowach strzały Enicenian przeszły ciało Mütteji'ego. Ten padł martwy.

– Chyba powinienem był wcześniej podpisać z nimi oficjalny sojusz – oznajmił potem król, plując sobie w brodę.

Falach nie próżnował i natychmiast wyszedł ze swej komnaty do Filipa, kilku innych swoich podwładnych i wydał im rozkaz, aby chronili kraj przed Walkijczykami i Valkirianami. Sam czekał w Vareal, lecz był gotów na każdą wiadomość. Położył się spać, a w tym czasie Filip wyjechał na granicę valkiriańsko-eniceńską i począł tam stacjonować z przydzielonym mu garnizonem. Jego pan mógł już tylko czekać i być czujny. Jeszcze tylko zaraz po wyruszeniu Filipa w wyznaczone miejsce przybiegli do niego zaniepokojeni mieszkańcy, a właściwie zwolennicy nowego króla i zaczęli wypytывать go:

– Królu, królu! Dokąd wyjeżdżają ci ludzie? Przecież mówiłeś, że na razie wszyscy przerywamy wszelkie działania.

– Słuchajcie, moi drodzy – mówił, będąc już zmęczony wszelakimi rozterkami. – Przypomniałem sobie, że sytuacja nieco się zmieniła – powiedział enigmatycznie.

– Jak to, „nieco się zmieniła”? – powiedział jeden mocno zaniepokojony mężczyzna. – Przecież wszystko układało się wprost świetnie! To były słowa nieustannie powtarzane przez wszystkich mieszkańców tego miasta, a w końcu przez ciebie!

– Słuchaj! – krzyknął zdenerwowany król. – Kim ja dla ciebie jestem? Jak ty się do mnie zwracasz? Jeśli mówię, że sytuacja się zmieniła, oznacza to, że sojusze się posypały, przybyli nowi wrogowie lub też nadszedł jakiś kryzys i trzeba napaść jakieś państwo, abyście nie zaprzęтали mi więcej głowy!

– Królu! – zaczął pokornie inny. – Czy Enicenia upada?

– Jeśli upada, na pewno ja nie dopuszczę, aby to się ziściło. Po prostu wojna trwa nadal. Tak... – wznowił, mając wyraz twarzy wskazujący na bezsilność, która spotyka człowieka znienacka. – Kim ja w ogóle jestem? Królem? Przecież ja nawet nie jestem z tego świata. Żałuję, że musicie być rządzani przez kogoś takiego jak ja.

Wszyscy poddani zaczęli patrzeć na swojego pana jak na totalną ofermę. Nie mieli jednak racji, myśląc tak, gdyż król od razu podniósł głowę do góry i zaczął mówić tak:

– Ale cokolwiek się stanie, będę się starać zapobiec rozlewowi krwi eniceńskich prostych ludzi. Jeśli będę potrafił i jeśli Bóg da mi siły, na pewno zatrzymam każdego wroga, czy będę chciał czy nie. Jednak wy musicie na razie zadbać o siebie! Niech każdy Enicenianin wróci do swej pracy i zadba o wyżywienie rodziny. Bądźcie ludźmi wiary, ale nie zapominajcie o życiu! Każdy ma swoje cele! Ja oraz moi żołnierze zostaliśmy stworzeni, aby za nie umierać. Wy jednak musicie zapewnić sobie dobrobyt, abyście mieli po co żyć i aby nasza śmierć i wysiłki nie poszły na marne!

Falach zachęcił wszystkich mieszkańców Vareal do oczekiwania na zwycięstwo eniceńskiej armii i przy okazji zapewnił ich, że nie mogą się przejmować tym, co będzie. W ten sposób wpisał swoje imię na karty wspaniałych mówców i niedługo miał mieć okazję dodania go również do kronik wielkich wojowników i dowódców.

Gdy wiadomość o śmierci króla Mütteji'ego dobiegła do uszu jego poddanych, Brados został ogłoszony namiestnikiem króla. Utrzymał sojusz z Graneją, a władał zarówno Valkiriana, jak i Walkią. Stało się to, gdy valkiriański posłaniec przyszedł do siedziby Bradosa w Rillun, kiedy ten odpoczywał. Wszedł do małej komnatki i zaczął mówić o śmierci władcy Walkii. Brados prawie skakał z radości. Nie tylko dlatego, że po prostu nie lubił Mütteji'ego, ale też dlatego, że od razu domyślił się, że od teraz przejmie władzę nad obszarem niewiele mniejszym niż Valkiriana przed wojną. Mimo że ten wielki konflikt rozpoczął się przed jego panowaniem, a nawet przed jego urodzeniem, to wszyscy wiedzieli, że obecny król zdaje sobie sprawę, jak bardzo szczytny cel realizuje. Tym celem było odzyskanie ziem zagarniętych przez Enicenię. Wszyscy chcieli wiedzieć, jaka będzie pointa tej wieloletniej historii. Tego dnia król Brados otrzymał znacznie większe pole do działania. Pomyślał sobie, że Falach już na samą wieść o tym się wystraszy. Stało się podobnie, ale lęk eniceńskiego króla był nieuzasadniony, ponieważ w rozmowie z władcami Granei Brados zarzekął się, że będzie angażował część swojej armii w wojnę z ich wrogami z zachodu, a więc nie wyśle całego swojego wojskowego arsenału w serce Enicenu. Było jeszcze jedno „ale”, które wiązało ręce Bradosowi mocniej niż to, gdyby Mütteji wrócił zza grobu. Jeden z najbardziej wpływowych Walkijczyków – Entenner, postanowił jeszcze bardziej wspomóc Graneję. Entenner był prawdziwym politycznym spadkobiercą Mütteji'ego, gdyż chciał realizować i kończyć każdy plan swojego pana. W kraju był niezwykle uprzywilejowany i posiadał bardzo liczną armię, co pozwalało mu szantażować Bradosa w kwestii prowadzenia wojny z Enicenią. Nie miał również żadnych moralnych hamulców, aby to uczynić, dlatego też przybył pewnego dnia do Rillun z całym swoim orszakiem, złożonym z najlepiej wyćwiczonych i bezwzględnych wojowników na całym kontynencie. Gdy tylko zjawił się z nimi pod murami, przerażony Brados wybiegł od razu na górną część fortecy i popatrzył w dół, aby przyjrzeć się dokładnie, kto go wzywa. Nie znał Entennera, ani nawet nie słyszał, że taka persona istnieje w jakimkolwiek królestwie.

– Drogi Bradosie! Ja oraz moi ludzie obawiamy się, że nie będziesz mógł dalej walczyć z Enicenią, kiedy nasi sojusznicy w Granei giną!

– Jak to „kiedy nasi sojusznicy w Granei giną”? Walkijczycy i Valkirianie tak

samo ponoszą śmierć, jak mężowie z Granei.

– A gdzie to wasi ludzie giną? Gdzie ostatnio oblegano nasz zamek? Zabieramy twoją armię i nie tłumacz się więcej.

– A jak nie dam wam ich? – krzyknął pewnie, po czym Entenner skinął głową w stronę swojego łucznika, a ten wziął strzałę, naciągnął cięciwę, a pocisk ugodził jednego z ludzi stojących na zamku Bradosa. Jego ciało spadło z murów prosto na trawę.

Król oczywiście musiał oddać do dyspozycji owemu terroryście swoich ludzi z większości zamków i fortec. Niestety nie miał innego wyjścia.

Większość Valkirian, na czele z ich królem, wyobrażała sobie, że wojny Granei z państwami zachodnimi oraz Valkiriany z Enicenią będą prowadzone równolegle. Entenner, który bardziej cenił sobie zawarty przez byłego króla Walkii pokój z Graneją niż dobro własnego kraju, chciał wysłać bezzwłocznie wszystkie Walkijskie, a nawet valkiriańskie wojska na zachód. Nawet Granejczycy mieli wrażenie, że Entenner stoi bardziej po ich stronie niż po stronie ojczyzny. Inni przypuszczali, że dla siebie nie widzi w Falachu żadnego zagrożenia, ale pewne było, że w każdym razie nie jest to nieprawda. Gdyby tylko Enicenianie podbili Valkirianę oraz Walkię, nie oszczędziliby również Granei oraz żadnego zbiega, który tam znalazłby schronienie.

Król Valkiriany nie mógł się pogodzić z tą sytuacją. Poszedł jeszcze raz do stolicy Walkii, gdyż tam znajdował się Entenner ze swoimi wojskami. Zjawił się w tamtym miejscu tylko po to, aby powiedzieć temu człowiekowi, że potrzebni mu są ludzie, którzy będą walczyć. Entenner tylko się zaśmiał i powiedział, że nigdzie nie zauważył żadnych wrogich wojsk na wschodzie i że Falach wcale nie zamierza dalej najeżdżać sąsiednich państw. Odpowiedziano mu jedynie, że ta przerwa w wojennych działaniach Enicenii jest zaledwie ciszą przed burzą. Przez długi czas po tej wymianie zdań Brados i Entenner nie widzieli się na oczy i nie usłyszeli od siebie żadnych słów. Król Valkiriany miał wiele planów, których nie mógł zrealizować przez tak wysoko postawionego i posiadającego wielką armię mężczyznę.

Ówczesną sytuację polityczną można podsumować tym, że Valkiriną i Walkią władał młody Brados, którego rządy były ograniczane przez bezdusznego ignoranta, mającego na swoim pasku wielkie siły zbrojne, a w Enicenii królował doświadczony dowódca wojska, pan na zamku Vareal – król Falach. Na tym kontynencie zajmowało się jeszcze jedno państwo zaangażowane w to polityczne starcie. Rameńskim Akh'em władał nikt inny, jak król, a tytułował się imionami Ekleh Mintos Elker. Niewielu jego poddanych znało te imiona, a część nie wiedziała, że rządzi nimi król. Władca Rameńskiego Akh nie był wcale skromny, ani jeśli ktoś o nim usłyszał, na pewno nim nie gardził. Wiązał wielkie nadzieje z sojuszem z Enicenią, która oferowała mu wielkie wynagrodzenia w zamian za pomoc. Zanieczywał swe państwo, a nie miał dużej ilości obowiązków i zadań. Lubował się w urządzaniu wielkich przyjęć w swoim pałacu. Był gruby i brodaty, lecz zarazem wielki i silny. Wszystkie jego posiadłości wręcz ociekały złotem. Odpoczywał praktycznie cały czas, urządzając co pewien okres audiencje. Podczas jednej miał przyjemność zobaczyć się z posłańcem króla Falacha, który znał rameńską mowę. Przyjął go w swojej wielkiej i pięknej siedzibie. Król oznajmił:

– Musisz przekazać swojemu panu gratulacje. Słyszałem, że dopiero niedawno

został monarchą. Szkoda tylko biednego Henryka. Słyszałem, że zginął od naszego wynalazku.

– Jakiego wynalazku?

– Wybuchowe patyki – odpowiedział król, mając na myśli przedmiot podobny do dynamitu.

– Ależ królu! Nie mówmy teraz o tym! Teraz ważniejszą informacją jest śmierć innego króla.

– Jakiego?

– Króla Walkii, Müttejiego.

– Jak to? Dlaczego go zabiliście?

– Ponieważ przybył do nas i oznajmił, że Walkia już nie jest z nami w sojuszu. Zdradził nas!

– Ale nie musieliście od razu pozbawiać go życia! Ale to nieważne. Zapewne Walkia będzie chciała z nami walczyć. Musisz przekazać swojemu królowi, że nie będę mógł przybyć na odsiecz ani nie pomogę mu w walce, ale jeśli będzie planował jakieś większe starcie, będę starał się wysłać swoich najlepszych ludzi.

Posłaniec pojechał od razu do Vreal, aby przekazać swemu władcy tę wiadomość.

Ekleh Mintos Elker był królem Rameńskiego Akh oraz niesamowicie ceniącym sobie szpiegów władcą. Keslaf nigdy nie widział go na oczy, ale sam Ekleh słyszał o nim nie raz i był zadowolony z jego wszelakich inicjatyw, o których wiedział tylko on. Keslaf w królestwie, którym wtedy władał Ender, czynił takie rzeczy, że król Rameńskiego Akh'u mógłby go uznać za godnego siebie następcę, ideologicznego spadkobiercę oraz infiltratora na krańcach świata. O wybrykach tego młodego i fanatycznego mężczyzny wiedział tylko dobrze poinformowany Ekleh Mintos Elker oraz sam Ender. Jednak król Rameńskiego Akh nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że pokładanie nadziei w tym człowieku było bezcelowe.

Mimo wszystko Keslaf dalej chciał donieść królowi Enicenie o działaniach Valkirian i aby to zrobić, a następnie powrócić na łono ojczyzny, wyruszył pewnego wiosennego dnia w stronę Andy. Wskoczył na konia i mając na sobie zwykłe, lniane ubranie, pojechał na północny wschód. Podczas tej podróży dostrzegł oddziały wojsk Enicenie, maszerujące w jego stronę. Zauważył również stacjonujące w pobliżu obozy. Ci, którzy ich pilnowali, byli uzbrojeni po zęby i zdawałoby się, że z zainteresowaniem patrzyli na Keslafa. Ten jednak starał się unikać kontaktu wzrokowego ze strażnikami, do których niestety musiał się zbliżyć, aby dotrzeć do celu. Później, mijając wzgórza i rzeki, których nurt biegł w stronę eniceńskich miast, napotkał Filipa. Władca Jelqę oraz rycerz jechał konno ze swoją osobistą gwardią. Jego towarzysze spojrzeli na podróżującego Valkirianina i bez zastanowienia ruszyli w jego stronę. Ich konie zetknęły się z wierzchowcem Keslafa. Mężczyzna spadł ze swojego rumaka, a potem próbował uciekać. Jednak widać było, że Enicenianie nie zamierzają oszczędzać tego człowieka. Valkirianin zrezygnował z ucieczki, upadł na ziemię, a potem zaczął machać rękami w stronę siedzących na koniach uzbrojonych żołnierzy. Ci nie zlitowali się nawet wtedy, więc wyciągnęli swoje włócznie oraz miecze, aby po chwili zmasakrować ciało mężczyzny. Ruchy wykonywane przez eniceńskich żołnierzy nie wyglądały jak coś, co

było przez nich zaplanowane, ani coś, co chciał zrobić Filip. Ci Enicenianie nie zdawali się wtedy być zdyscyplinowaną i wyszkoloną grupą. Przypominali bardziej chłopców mających jakąś chorobę psychiczną, którzy otrzymali od kogoś pancerz, broń oraz wierzchowca. Dlaczego to tak wyglądało? Prawdopodobnie dlatego, że nikt nie wydał im jednoznacznych rozkazów. Falach na wieść o przyłączeniu się Walkii do Valkiriany jedynie rzucił im hasło dotyczące tego, że jego ludzie mają jak najbardziej chronić granice z Walkią, a ci żołnierze nie wiedzieli, co dokładnie mają zrobić, więc na wszelki wypadek dłużej zajmowali się tym mężczyzną, mimo iż nie wyglądał nawet podejrzanie. Zdawał się być jedynie jakimś zagubionym podróżnym, jednak jeśli Filip otrzymał rozkaz zabijania każdego, kto będzie zmierzał w stronę Enicenu, nie mógł rozpatrywać, czy czyn ten będzie miał sens czy nie. Nie mógł kierować się rozsądkiem, lecz posłuszeństwem. Jednak jedną rzeczą pewną w sprawie Keslafa było to, że los tego człowieka został już przesądzony wraz z ujrzeniem go przez Filipa i jego gwardię. Jak już było powiedziane, nie zdołał uciec na koniu, który nie zdążył wyhamować w porę, potem Keslaf upadł i nie potrafił uciec, nie mógł się bronić, a w końcu nie udało mu się ubłagać oprawców. Machając dalej rękami w stronę włóczni, krzyczał:

– Zostawcie mnie! Ja tylko chciałem donieść...

Wtedy krople krwi poleciały na kilku żołnierzy, którzy znajdowali się najbliżej niego. Koń do tej pory stał w miejscu, lecz po tym zajściu wystraszył się, pobiegł w stronę eniceńskich wojowników i powalił na ziemię paru z nich. Zwierzę zdołało uciec, zanim ci zareagowali, będąc przez chwilę w szoku. Koń był na tyle szybki i ciężki, że zdołał zabić swoją masą owych mężczyzn. Lord wyszedł cały z tego zdarzenia, choć był zażenowany tym, że jego oddział poniósł straty, walcząc z jednym nieuzbrojonym człowiekiem oraz jego wierzchowcem. Pomyślał, że jeśli w takich sytuacjach mają miejsce tak groteskowe i makabryczne zajścia, to boi się, co się będzie dziać dalej. Jego obawy podzielali również jego towarzysze. Ci, którzy przeżyli, lecz odnieśli kontuzje, zostali zabrani do obozu, a tam zajęto się nimi. Filip nie wiedział, jaki był ich los, ale nie musiał się nim przejmować, gdyż czekały go dalsze zajęcia na granicy eniceńsko-walkijskiej. Po paru dniach zwłoki Keslafa zostały zakopane i przykryte nagrobkiem, na którym napisane było: „nieznany poległy”, gdyż nikt nie rozpoznał w nich valkiriańskiego lorda. Była to pierwsza taka ofiara. Po tym nieprzyjemnym zajściu ludzie uznali, że zabijanie każdego, kto ośmieli się przejść przez granicę Walkii i Enicenu, jest bezsensowne i okrutne. Falach jednak nie zmienił zdania na ten temat. Planował nawet wybudować mur odgradzający wojujące kraje, lecz nikt nie kwapił się do podjęcia się tego zadania.

Do tej pory przywódcy Enicenu i Walkii nie prowadzili ze sobą żadnych rozmów, nawet prywatnych pogaduszek, a teraz, gdy jakiś Walkijczyk zbliżył się do granic kraju Falacha, był zabijany. Były to chwilowe działania, które jakoby zapewniały bezpieczeństwo eniceńskiej ludności. Po kilku dniach Falach w końcu zrozumiał, że nastał czas na konkretne rozwiązania. Powiedział raz, przebywając w Vreal, do jednego ze swych nadwornych sług:

– Słuchaj! Mam dość tej wojny i droczenia się z Walkią. Pora na ostateczne rozwiązanie w kwestii tej wojny.

– Panie, co masz na myśli?  
– Wyobrażam sobie wielką bitwę. Rozumiesz? Taką, w której staną naprzeciwko siebie wszystkie armie! To zakończyłoby całą wojnę.  
– Gdzie by to miało się odbyć?  
– Na polach Elden. To leży na granicy naszego państwa, Walkii i Valkiriany.  
– Ależ panie! Jak chcesz, aby wszyscy tam się zjawili?  
– Będą musieli. Wyślę swoje oddziały z największych miast.  
– To nie będzie za dużo? Jak nad nimi wszystkimi zapanujesz?  
– Wyślę tylko tych najlepiej wyszkolonych.  
– A sam będziesz brał w tym udział?  
– Tak! Niedługo stąd wyjeżdżam, gdy tylko ustalimy kiedy ma mieć miejsce ta walka. Jednak najpierw stoczy się oblężenie pierwszego valkirijskiego zamku od Enicenu. Trzeba będzie wyruszyć wraz z oddziałami Rameńskiego Akh. Musimy przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę!

– Słucham?  
– Mam na myśli „zdobyć przewagę nad wrogiem”. Oblężenia valkirijskich miast nie zawsze były wygrywane, ale tym razem mamy duże szanse. Razem z Rameńczykami zdołaliśmy pokonać połowę wojsk Valkiriany. Jednak pozostała Walkia, która szykuje się do ataku na nas wraz z ich sąsiadami, z którymi zawarli sojusz, czyli z niejaką Graneją. Granejczycy powiedzieli Müttejemu, że pomogą mu w walce z nami. Jednak póki nikt stamtąd nie przybył, Walkijczycy musieli radzić sobie sami.

– Panie, co ty mówisz?  
– Wyobrażam sobie nasze przyszłe losy w tej wojnie.  
– A więc co zamierzasz teraz zrobić?  
– Wyślijmy parę oddziałów na walkijskie oraz valkirijskie zamki. Nie będę jednak w nich uczestniczył. Zostanę tutaj i zaczekam na moment, w którym rozpoczniemy naszą ostateczną bitwę.

– Cóż, królu Falachu, to brzmi niezwykle uroczyście. Niezwykle ciekawie mi się słucha pańskich słów.

– Tak? Bardzo ci dziękuję. Jednak niedługo będziesz mógł je nie tylko usłyszeć, lecz zobaczyć, jak zmieniają się w czyny – powiedział, po czym wstał z tronu i ruszył oznajmić swoje plany własnym podwładnym. Potem odbywały się te walki na śmierć i życie, między mężczyznami ze wszystkich wspomnianych narodów. Jednak marzenia Falacha o podbiciu świata jedną ręką zostały jednak przekreślone, gdyż jedyne, na co mógł liczyć, to kompromis między nim a jego przeciwnikami. Teraz szykowało się wielka bitwa, która zdawała się być tym kompromisem. Wojsko Falacha nie miało znaczącej przewagi liczebnej. Fakt, ludzie Falacha byli o niebo lepiej wyszkoleni niż armia valkirijsko-walkijska. Dodatkowo sprzymierzeńcy Walkii z zachodu nie przybyli, gdyż w tym samym czasie trwały oblężenia miast Granei, a ci musieli bronić swoich miast.

Gdy król Enicenu postanowił tak zrobić, musiał najpierw przysłać do siebie Filipa, gdyż chciał, aby ten poprowadził przynajmniej raz oddziały na jeden z valkirijskich lub walkijskich miast i zamków. Aby władca Jelqe się u niego zjawił, musiał powiedzieć do jednego ze swoich gońców, że gdzieś na granicy Valkiriany, Walkii i Enicenu przebywa

niejaki sir Filip i że chce, aby powiedział mu o tym, żeby zjawił się on w Andzie. Tak zrobił, a już po jednym dniu do stacjonującego na granicy Filipa przyjechał ów posłaniec.

Sytuacja polityczna przestała mieć znaczenie. Nikt nie liczył się ze swoimi interesami, ponieważ jedyne, co się mogło mieć realny wpływ na coś, to wygranie kolejnej bitwy. Ta miała nastąpić już niedługo. Wszyscy szykowali się więc na to wielkie wydarzenie.

Goniec z Andy ujrzał rycerza, którym był oczywiście Filip. Podjechał do niego na swym koniu i oznajmił:

– Panie! Przysyła mnie król Enicenii, Falach. Chce on, abym przekazał ci wiadomość o tym, że musisz wracać do Andy. Nasz władca planuje wielką bitwę, która definitywnie zakończy cały konflikt.

– Definitywnie zakończy? Tak samo miało być z bitwą na polach Galfast! I co? To tylko przedłużyło ten słynny konflikt. Już nawet nikt nie ma zamiaru realizować tego mojego durrrnowatego planu!

– Ależ panie! Tak rozkazuje sam król Falach. Proszę nie lekceważyć słów naszego pana.

– Dobrze... – mówił, próbując się uspokoić. – To gdzie się odbędzie ta bitwa?

– Prawdopodobnie gdzieś tutaj. Za tymi górami – mówił, wskazując na wielkie pasmo wypiętrzonej ziemi.

– Jeśli tak, to chyba mogę tu pozostać

– Ależ nie, gdyż król chce, abyś poprowadził jeszcze jedno oblężenie.

– Dobrze. Jeśli tak mówi sam Falach, to zgadzam się i zrobię, co do mnie należy.

Goniec pojechał z powrotem do Andy razem z rycerzem. Gdy obydwaj dotarli na miejsce, Falach natychmiast odesłał Filipa na oblężenie niejakiego miasta Vanderfell, znajdującego się na północnym wschodzie Walkii. Gdy jego następca wrócił cały i zdrowy, został odesłany do swej komnaty z wiadomością od króla:

– Teraz musisz sporo wypoczywać. Za pięć dni odbędzie się WIELKA BITWA.

W odpowiedzi powiedział tylko:

– Czy ty musisz zawsze mówić tak dziwnie, sztucznie i patetycznie? Nie musisz ciągle mówić, że to będzie „wielka bitwa”.

– Ale myślę, że to zdarzenie przesądzi o naszym losie.

Cokolwiek król miał na myśli, mówiąc te słowa, miał rację.

## IX

Wiele walkijskich oraz valkiriańskich miast było zdobywanych z niesłychaną łatwością za sprawą Entennera i jego działań wojennych na zachodzie oraz pozostawienia na pastwę losu Walkii i Valkiriany. Gdy dowiedział się on o wznowieniu walk i oblężeń na terenie tych państw, sam uznał, że należało oddać Bradosowi jego własność, jednak gdy wstąpił z całą armią króla do Granei, kości zostały rzucone, więc wobec ginących rodaków oraz sąsiadów musiał pozostać bierny. Zarząd powierniczy dwóch rzeczonych państw dalej spoczywał w jego rękach. Chociaż valkiriański monarcha tak łatwo nie odpuszczał i dalej niezwykle pragnął bronić swoich ziem przed najazdami wojsk ze wschodu. Nie mógł jednak poprosić o zgodę i „błogosławieństwo” Entennera, gdyż ten był zobowiązany strzec Granei i nie oddalać się od tego państwa, ale również nie miał zamiaru pozwalać na takie wyprawy Bradosowi, nawet jeśli ten planował angażować się w to całkowicie sam i robić to wyłącznie ze swoimi własnymi ludźmi, czyli tymi, do których żadnego prawa nie miał Entenner. Jak widać, takie szychy jak ten człowiek mogły przemocą załatwiać wszystko. Król Brados, pomimo zakazów i ostrzeżeń swojego nowego pana, wyruszył w końcu na odsiecz swoim pobratymcom do miasta Enleq. Gdy dotarł tam ze swoimi ludźmi, miasto było już istną bazą wrogich sił. Oczywiście nie można było odebrać tej twierdzy, mając w zanadrzu kilkuset średnio uzbrojonych mężczyzn i będąc pozbawionym machin oblężniczych. Enicenianie nie dali zbiec przybyłym ludziom, gdyż zaraz po tym, gdy ci się zjawili u murów zamku, już pożegnali się ze światem, a ich przywódca został zabrany do niewoli. Do uszu króla Eniceniei nie zdążyła nawet dojść informacja, że Brados jest więziony w podbitym przez niego zamku, a już w tym miejscu znalazł się wściekły Entenner, który miał zamiar szybko rozprawić się z zaborcami i uwolnić spod ich jarzma swojego pomocnika. I tak też uczynił, ponieważ rzecz ta nie trwała długo. Zastawiono wieżę oblężniczą, a w tym samym czasie łucznicy, kusznicy oraz harpunnicy pozbywali się kolejno przeciwników. Gdy owa potężna machina wypełniła swoją rolę, wszyscy weszli na zamek i rozpoczęło się prawdziwe starcie. Entenner, który, jak było widać, nie miał zamiaru osobiście brać udziału w walce, był osłaniany przez orszak złożony z najlepszych wojowników w całym królestwie. Ci zaprowadzili go do lochów, w którym miał przebywać Brados, po drodze zabijając każdego, kto im się napatoczył. Dotarwszy na miejsce, zniszczyli kratę, pozwolili wejść do środka swojemu przywódcy, a ten uderzył z całej siły otwartą dłońią swojego prawowitego króla.

– Co się tu, u licha, wyrabia?

– Słucham? – zapytał zakłopotany Brados.

– Pytam, co ci strzeliło do głowy i dlaczego mnie nie posłuchałeś?

Po chwili namysłu Valkirianin odpowiedział śmiało:

– Nie mam zamiaru dłużej ciebie słuchać. Z bycia posłusznym i unikania walki z tobą właściwie nic nie mam. Gdy tracę kolejne swoje miasta, a nasi wrogowie palą moje wioski, ty wiążesz mi ręce i zabraniasz ruszyć na pomoc własnym ludziom.

– To nie czas na takie sentymentalne bzdety. Poza tym straciłeś jak na razie tylko



jedną twierdzą, a walkijskie zamki są podbijane praktycznie cały czas. Ja jestem Walkijczykiem i jakoś nic z tym nie robię.

– I to jest właśnie twój błąd! Co to za człowiek, który nie chroni własnego kraju, tylko po to, aby znaleźć ciepłą posadę na dworze króla Granei na wypadek wojny?! Mówię ci, że Falach chce podbić cały świat! A wiesz dlaczego? Bo może! Jest silnym władcą i dobrym strategiem. Jeśli zabije wszystkich valkiriańskich i walkijskich żołnierzy, zrobi to również z tobą.

– Nie strasz mnie ani mnie nie pouczaj! Albo idziesz ze mną na ugodę, albo walczysz z Falachem sam. Choć i tak nie sądzę, abyś wybrał to drugie. Nie masz szans, a jedyną osobą, która chce i może uratować ciebie i twój lud, jestem ja.

Skończyli tę rozmowę i od razu po wyjściu z lochów ujrzeli, że miasto zostało odzyskane. Wszyscy wrócili na swoje miejsca, ale każdy Walkijczyk i Valkirianin był tego dnia zdenerwowany, mimo iż odzyskano tak duży obiekt. Nikt dokładnie nie wiedział, co eniceński władca planuje dalej zrobić.

Brados wrócił do Rillun i stwierdził, że żarty z samozwańczym dyktatorem się skończyły. Jego niepokonany orszak akurat wyjechał poza Valkiriane, aby schronić się w stolicy Walkii. Był to jedyny słaby punkt, pierwszy i ostatni odpowiedni moment, aby uderzyć. Nie minął nawet dzień, jak zebrano całe przyjazne królowi wojska i ruszono na Etennera, który znajdował się wtedy w odzyskanym przed chwilą Enleq. Pozbycie się tak małej ilości wojsk, które chroniły tego człowieka, nie było trudne. Oczywiście krew się polała strumieniami, ale każdy mąż stanu i wszyscy przyjaźni Valkirianie ludzie uznali, że nikt nie zginął tamtego dnia na marne. Etenner, jak przystało na stereotypowego cwaniaka, tchórza i kanalię, próbował uciekać z tonącego okrętu jego podłej i interesownej dyktatury. Żaden człowiek Bradosa nawet się nie ośmielił tknąć tego tarzającego się po ziemi mężczyzny, gdyż ich pan zażyczył sobie przed bitwą, aby to jemu go pozostawiono. Wszyscy zawołali króla, a ten przyszedł uroczystym krokiem do Etennera, trzymając w ręku wielki stalowy miecz.

– Co ty robisz?! Nie ośmielisz mi się tego uczynić! Będziesz się smażyć w piekle, ty...

Nie było mu dane dokończyć tej złowieszczej tyrady, gdyż oręż valkiriańskiego władcy wylądował w jego ciele. Okazało się, że podwładni Entennera zdezerterowali, gdy czara goryczy się przelała i zobaczyli prawdziwe okrucieństwo i podłość ich pana, a właściwie właściciela, gdyż wszyscy, którymi władał Entenner, stawali się jego niewolnikami. Do tej pory nawet nie wiedzieli, że są wykorzystywani, i mieli nie widzieć nic, nic nie słyszeć i nic nie mówić. Najgorsza jest nie niewola ciała, lecz niewola umysłu.

Po pochowaniu wszystkich niedaleko zamku oraz po uzupełnieniu sił Brados mógł spokojnie wrócić do Rillun i zwołać swoje wojska, po czym wysłać je na wojnę z królem Eniceni.

Falach z pewnością chciałby znać tożsamość pomysłodawcy zawarcia unii, gdyby tylko wiedział, jak jest to istotna persona. Tym pomysłodawcą, jak wspominałem, był lord Gerdok. Mężczyzna ten nie nosił tytułu pana zamku przez przypadek, chociaż nie posiadał żadnych predyspozycji, które pozwalałyby tak młodemu człowiekowi stać się liczącą się osobą w kraju, a na pewno nie wyróżniały go żadne zdolności, aby znajdować się na

naradzie władcy Valkiriany oraz jego służb. Jego krew należała do lorda Faruqāla. Był on więc Enicenianinem, jednak spłodzonym przez zdrajcę stanu. Przez większość dzieciństwa żył w Eniceni ze swoją matką. Faruqāl zabrał niegdyś swojego syna z rąk matki Gerdoka i zaprowadził go do Bānqlue, a tam się nim opiekował, gdyż nie chciał, aby był wychowany jako Enicenianin. A skoro ojciec Gerdoka przyłączył się do Valkirian, ten czuł, że również powinien z nimi kolaborować, więc pozostał na obcych ziemiach i (tak jak mu to zaproponowano) pełnił tam służbę lorda. Aby zemścić się na Falachu za zabicie swojego ojca, zmierzał w stronę zamku Vareal, który należał właśnie do Falacha. Gerdok jechał tam, aby dokonać skrytobójstwa na lordzie tego zamku oraz królu Eniceni.

Syn Faruqāla nie miał specjalnie obmyślonego planu, lecz od razu, gdy znalazł się przy bramach zamku, zsiadł ze swego konia, podszedł do strażników i próbował ich przekupić, lecz ci wywęszyli podstęp i schwytali go. Następnego dnia Gerdok był już w varealskim więzieniu. Tam odwiedził go Falach. Gdy szedł do niego, był niezwykle wzburzony, gdyż przeczuwał taką zdradę. Spodziewał się nieczystego zagrania. Wziął ze sobą kuszę, którą wcześniej załadował. Nasz bohater popadł w obłęd, gdyż uznał, iż śmierć Henryka nie była przypadkowa. Obwinił za nią Gerdoka. Falach od początku był pełnym wariatem, uważanym przez niektórych za największego oszołoma w królestwie. Właśnie głównie z tego powodu Henryk mu tak zaufał. Zresztą pod tym względem mieli wiele wspólnych cech. Ale jeśli ktoś skreśla człowieka zwariowanego z listy dobrych przywódców, ten jest nierozważny. Gdyż kimże był taki Aleksander Wielki, jak nie oszołomem? A więc dlaczego zwany jest Wielkim, a nie na przykład Aleksandrem Szurniętym?

Kiedy Falach zbierał się, aby podążać ku celi, jego podwładni, na czele z Filipem, sposobili się do starcia z wrogami. Zanim przywdziali zbroje i chwycili swój oręż, czekali na swojego przełożonego, który miał wydać dalsze rozkazy. Spoczywali w swoich komnatach, co jakiś czas sprawdzając, czy nie muszą już wyruszać. Jednak nikt nie dawał takiego sygnału. Jako że Filip był uważany za drugiego męża w hierarchii, zaraz po królu Falachu, żołnierze dopytywali się o wyprawę właśnie Filipa. Ten jednak również był zakłopotany, może nawet bardziej od nich, gdyż na nim ciążyło brzemień, którego jakoby nie zniósł Falach. Jednak król nie miał zamiaru zawieść swych poddanych. Jego następcą o tym nie wiedział, a sceptyczność Filipa wobec swego władcy przejawiała się tym, że po długim czasie poszukiwań, uznawszy, że król nie ma ochoty wyruszyć z kompanami na bój, Filip sam zwołał wojowników oczekujących na rozkazy i zarządził zebranie się w przedsiionku zamku, gdzie uzbrojeni już mężowie ustawili się według wskazówek Filipa.

Kiedy władca Valkiriany spokojnie siedział i delectował się nowo odzyskaną suwerennością i starał się prowadzić wszelkie działania dla dobra swojego królestwa oraz kiedy przestał kłaść tak duży nacisk na poddanych, w Walkii zapanowała niebezpieczna atmosfera, przez którą wielu ludzi podburzono przeciwko Bradosowi. Zauważył to, gdy przechadzał się do zamku i został dokonany na niego dość groteskowy „zamach”. Człowiek całkowicie zdrowy na umyśle i niedotknięty żadnym innym schorzeniem zaatakował swego władcę, uderzając go w policzek. Oczywiście został szybko odsunięty

od króla, który potraktował go wyjątkowo łagodnie i przeniósł do innego grodu. Nie był żołnierzem, nie wydawał się być wariatem, ale na pewno jego zachowanie dało coś Bradosowi do myślenia. Zdał sobie w końcu sprawę, że ludzie go zwyczajnie nie lubią i wydaje im się słabym lub niegodziwym władcą. Króla interesowała jeszcze sprawa dzieci byłego króla Walkii. Zastanawiał się, czy te zaakceptują decyzję ojca czy zlekceważą jego testament i będą się ubiegać o władzę w swoim kraju. Było to niezwykle prawdopodobne, więc Brados nie czekał ani chwili dłużej, żeby się zapytać kogoś, gdzie obecnie są dzieci Mütteji'ego. Poszedł do jego nowego rzecznika i tłumacza języka walkijskiego i powiedział mu:

– Sługo!

– Słucham.

– Niepokoi mnie sprawa dzieci byłego króla. Gdzie one są i czy będą ubiegać się o władzę przynajmniej nad rodzinnym krajem?

– Cóż, czy będą to robić, nie wiem – oznajmił mężczyzna, patrząc na rozwścieczonego króla. – Ale mieszkają gdzieś w mieście – dodał z nadzieją. – Może to być Atenberg, ale również Vidissi lub Ennis.

– Ale musimy uważać na nich.

– Królu! Ale dlaczego, na przykład, nie mamy bać się na przykład potomków Endera?

– A miał jakichś potomków?

– Oficjalnie nie, ale jakby miał, mogliby być jeszcze bardziej niebezpieczni, gdyż gdyby odebrali tobie tron, nie miałbyś i Valkiriany, i Walkii, a gdyby synowie Mütteji'ego chcieli coś zrobić, to nie sądzę, aby mogli wyrwać ci z rąk ucziwie powierzoną władzę nad Walkią.

– Ender na pewno by mi nie zagroził! Szczególnie po śmierci. Nawet za życia nie potrafił nic uczynić, a jedyne co było dane mu zrobić, to uciekać przed zagrożeniem. Całe szczęście, że został zabity, a jeśli jakiegokolwiek jego dzieci odziedziczyły przynajmniej połowę jego tchórzostwa, to na pewno się nie zjawią pod moim zamkiem, i to ci mogę śmiało gwarantować. Mówię ci, że jedyne, czego powinniśmy się obawiać, to przybycie najstarszego syna Mütteji'ego, a jestem pewien, że to nastąpi.

Obawy Bradosa się potwierdziły – do zamku w ciągu kilku dni przybył posłaniec, mówiący w imieniu prawowitych spadkobierców tronu. Nie został nawet wpuszczony, ale wyszedł do niego sam Brados i spytał, czego tu szuka. Ten mówił o sobie jako o przedstawicielu synów prawdziwego króla Walkii.

– Dlaczego nie przybyli do mnie osobiście?

– Nie chcieli – odrzekł zakłopotany goniec.

– Czego nie chcieli? Przyjść tu i pomówić ze mną w cztery oczy czy tego abyś tu w ogóle się znalazł?

– Jednego i drugiego. Nie konsultowano z nimi naszej decyzji – mówił, tłumacząc się nieporadnie. – Ale mówimy w ich imieniu i w imieniu i według interesów narodu.

– Gdzie oni stacjonują?

– W mieście Atenberg.

– A co robią?

– Z tego, co ja wiem, to nic. Synowie siedzą i piją. Córki na pewno nie interesują się polityką.

– Kto cię wysłał? I skąd znasz valkiriański? Przyznaj się, że coś kombinujesz, gnojku! Nie dam sobie odebrać ani kawałka ziemi! Rozumiesz?!

Gdy skończył to mówić, przybysz stwierdził, że musi przyznać, na czyje zlecenie przybył.

– Jestem na usługach loży walkijskiej – oznajmił.

Na wieść o przynależności posłańca do tej sekty kolaborantów kazał mu odjechać. Ani chwili dłużej z nim nie rozmawiał. Musiał niedługo wyruszać na wielką bitwę, ale zwlekał z wyjazdem.

Jeszcze w ciągu kilku dni odwiedził go sam syn Mütteji’ego. Ten również pojechał pod Rillun. Wpuścili go ludzie na zamku. Władca chodził po ulicach, a tam spotkał się z nim potomek byłego króla Walkii. Powiedział w ojczystym języku do Bradosa:

– Widzę, że starasz się mnie unikać. Nie możesz przyjąć do wiadomości tego, że należy mi się walkijski tron.

– Kim właściwie jesteś? – spytał Brados po walkijsku.

– Jestem Angréji, syn Mütteji’ego.

– Twój ojciec przekazał władzę nad Walkią w moje ręce.

– Ale ty mógłbyś przekazać ją mnie.

– Dlaczego?

– Może niekoniecznie od razu miałbym rządzić, ale mógłbyś mnie ustanowić twoim zastępcą. Nie masz przecież dzieci.

– Nie mam, ponieważ oprócz tego, że jestem królem, to jeszcze walczę jako żołnierz i dowódca.

– No i dlatego mógłbyś mnie usynowić. Może nie jestem tak młody, ale nie walczę, a więc gdybyś zginął w boju, ja na pewno będę żył.

– Ale wtedy musiałbyś zostać również królem Valkiriany, a na to nie pozwolę – mówił, a po chwili głębokiej ciszy krzyknął: – Wynocha!

Angréji musiał oczywiście wyjść z zamku. Był wyprowadzany przez ludzi, którzy jeszcze przed chwilą wpuszczali go ufnie do środka. Po opuszczeniu tego miejsca wsiadł na konia i odjechał w dal. Potem valkiriański władca nigdy go już nie widział.

Brados wrócił do swej siedziby i tam urządził sobie luźną rozmowę z jednym ze swoich sług. Podczas tej pogawędki doszło do jego uszu wiele interesujących i ważnych informacji, takich jak plotki o służącej Falacha lub historia życia Filipa. Brados widział tego rycerza nie raz, ale dopiero wtedy dowiedział się o nim tak wiele. Przede wszystkim nie podejrzewał, że jest jednym z podróżników z nieznanego wszechświata. Jednak najbardziej zafascynowała go Fadma, którą chciał niegdyś osiąść Henryk. Uznał, że to ją chce mieć za żonę i z nią spłodzić następców tronu Valkiriany. Był wariatem, który pragnął upodabniać się do innych wielkich wodzów poprzez naśladowanie ich postępowania, albo jak w tym przypadku, sercowych wyborów. Myślał, że ta kobieta nie da się dobrowolnie zabrać do Rillun, więc będzie musiał wymusić to na niej siłą. Niestety jego szaleństwo nie należało do tych nieszkodliwych, a wręcz zagrażało wielu jego poddanym.

Jego współrozmówca dalej mówił, a Brados, gdy wszystko przemyślał, zaczął się wsłuchiwać w jego słowa. Gdy król dowiedział się o uwięzieniu Gerdoka, niezwykle się zdziwił. Co to był za człowiek, skoro próbował po kryjomu zabić króla Eniceni i dał się uwięzić, podczas kiedy jest realizowany jego wielki plan? – myślał.

Po skończeniu rozmowy Brados bezzwłocznie poszedł do jednego z doradców, który przesiadywał obecnie w swojej komnacie. Król powiedział:

– Przyszedł do mnie niedawno jakiś kolaborant, który koniecznie chciał, abym oddał władzę nad Walkią w ręce syna Mütteji’ego.

– Skąd on był?

– Z organizacji jakichś pomyleńców, którzy kochają Walkię i koniecznie chcą zdetronizować mnie i wyniszczyć nasz kraj!

– Ale chyba nie był niebezpieczny.

– Oczywiście, że nie, dlatego kazałem mu odjechać!

– A dlaczego go nie zabiłeś? Przecież w końcu to bezczelny zdrajca! W biały dzień chwali się swoimi knowaniami.

– Masz rację, że mogłem tak uczynić, ale teraz jest już za późno. Przyszedł do mnie jeszcze Angréji, czyli syn Mütteji’ego. Ten chciał, abym uczynił go jego spadkobiercą.

– I zrobiłeś to?

– Nie.

– Dlaczego? Nic by cię to nie kosztowało, a wręcz zapewniłoby króla Valkirianom. Chyba nie chciałbyś bezkrólewia.

– Tak, nie chciałbym. Ale zrozum, że mogli go wysłać ci spiskowcy.

– Mało prawdopodobne. Ale żeby się upewnić, musisz coś zrobić. To może brutalne rozwiązanie, ale skuteczne by było spalenie kilku wiosek w okolicach krainy Vöttemaji.

– Przecież to Valkirianie! – mówił prawie że zgorzony tymi słowami Brados.

– Ale nieprzyjaciele Valkiriany! Stamtąd pewnie też się wywodzą ci, którzy chcą intronizować Angréji’ego.

– Dobrze – powiedział, mając nadzieję, że wina za takie ludobójstwo spadłaby na doradcę, i licząc się z tym, że niestety ten człowiek mógł mieć rację. – Każę spalić i splądrować, ale nikogo nie zabijać.

– I tak po kilku miesiącach wielu umrze z głodu.

– Wręczę im jakieś odszkodowania. W końcu mam tylko postraszyć knujących.

Brados zrobił tak, jak powiedział, z tym że nie mógł nic wypłacić ludziom, których wioski stały w ogniu, gdyż niedługo musiał wyjechać. Część jego armii już czekała na polach Elden. Teraz przyszedł czas na niego.

Ekleh Mintos Elker po raz kolejny otrzymał wiadomość od władającego rameńską mową posłańca z Eniceni. Przypuszczenia króla się sprawdziły, więc należało powiedzieć, że Falach chce wziąć udział w bitwie na polach Elden. Mężczyzna wszedł do pałacu króla, gdyż strażę wpuściły go do środka, rozpoznając w nim rzecznika eniceńskiego władcy. Pan Rameńskiego Akh leżał w swym łóżu, trzymając w ręku kufel piwa. Posłaniec powiedział do niego:

- Czcigodny panie! Musi nam pan pomóc!
- Mów natychmiast, co się stało?
- Trzeba wysłać oddziały na pola Elden! Król potrzebuje pomocy!
- Elden... to daleko.
- Niestety tak, ale trzeba się pospieszyć.
- A Falach wysłał już swoje wojska?
- Nie.
- A Brados? Słyszałem, że to on teraz włada Walkią.
- Też nie wysłał.

– To świetnie. Będziemy tam pierwsi. Zjawią się tam moi najlepsi ludzie. Annos! Kirwas! Przyślijcie po Ekleha, Dasnifa i Hostafa. Oni poprowadzą naszych do boju. Powiedz im, że mają się zjawić na niejakich polach Elden. Gdzie to jest?

- Również blisko granicy z Walkią i Valkiriana. Niedaleko gór Hanas.
- Więc niech tam jadą. Powinni trafić na to ustalone miejsce.

Podwładni króla zrobili, co do nich należało. Odprawili wymienionych dowódców i kazali jechać ze swoimi oddziałami tam, gdzie miało się odbyć wielkie starcie. Wszyscy trzej przebywali w innych zamkach. Jedynie Dasnif chciał się sprzeciwić swojemu władcy. Powiedział do posłańca:

- Dlaczego mam poświęcać siebie, swój czas i moich ludzi dla interesu Enicenian?
- Dlatego, że król tak ci każe, a to był rozkaz, a nie pokorna prośba! Jeśli nie chcesz spełniać woli swojego władcy, to dlaczego niby ty masz mieć jakąś władzę?

Oczywiście Dasnif również okazał posłuszeństwo, mimo że był w tej kwestii najbardziej oporny. Teraz już nikt nie mógł zwlekać, oprócz takich ludzi jak Mintos, którzy nie brali udziału w żadnych walkach. Ten mężczyzna miał możliwość jedynie modlenia się o zwycięstwo. Jedną z wiadomości, jakie wtedy otrzymał, była ta o śmierci Keslafa. Usłyszawszy ją, powiedział:

– Teraz to i tak nie ma znaczenia. Jeśli przegramy, prawdopodobnie wszyscy zginiemy, a jeśli wygrają, cały kontynent będzie nasz. Częścią oczywiście będzie rządzić Falach, ale częścią ja. Działania Keslafa były pomocne tylko wtedy, gdy nie mieliśmy bezpośredniego kontaktu z Valkiriana.

- A jeśli przegramy, co król będzie robił?
- Prawdopodobnie zostaną zabity albo trafię do niewoli.
- Nie ma innego wyjścia?
- Nie widzę żadnej alternatywy.
- Wyklucza król ucieczkę?

Po usłyszeniu tego pytania król wstał, rozglądając się po pałacu. Spojrzał na wszelkie ornamenty, stworzone przez najlepszych artystów na kontynencie, na pomniki ze złota, na łoża wyścielone wszelkimi drogimi i pięknymi materiałami oraz na wyłożone na stole dania, których w jakimkolwiek innym miejscu na świecie by zabrakło.

– Dokąd indziej miałbym uciec? Czy w jakimkolwiek innym miejscu na tej ziemi byłoby mi lepiej niż w niewoli? Tu jest mój dom. A jeśli zostanie mi odebrany, nie będę chciał żadnego innego. Zrozumiano?

- Tak, panie.

Na pięknych i otwartych polach Elden znalazły się już prawie wszystkie możliwe oddziały. Liczebność wojsk po wszystkich stronach liczona była w dziesiątkach tysięcy. Ekleh, Dasnif oraz Hostaf przyjechali na czas, wielu Enicenian również, ale przede wszystkim mogli się tam znaleźć wykorzystywani do tej pory przez Entennera Valkirianie oraz Walkijczycy. Ludzie z Granei również chcieli dołączyć do walki, odwdzięczając się w ten sposób swoim wybawcom. Teraz doszedł jeszcze Brados ze swoim wojskiem. Bitwa miała dopiero nadejść, jednak nastął wtedy początek końca wojny, za sprawą rameńskich wojowników, którzy nie zamierzali odkładać walki na później. Według rozkazu króla Falacha, na polach Elden, gdzie przebiegała granica eniceńsko-walkiriańska, rozbito obóz, gdyż właśnie tam miała być stoczona ostateczna bitwa. Atmosfera w eniceńsko-rameńskich bazach była wyjątkowo napięta, głównie za sprawą mężczyzn ze wschodu, którzy cały czas próbowali prowadzić walki między sobą. Enicenianie czuli się bardzo niekomfortowo, jakby musieli stacjonować obok gniazda wściekłych szerszeni. Nawet gdyby Enicenianie znali ich język, na pewno baliby się do nich odezwać. W pewnym momencie w oczach Enicenian miarka się przebrała, ponieważ gdy przybył walkijski posłaniec, jeden z rameńskich wojowników wskoczył na konia i ściał tamtemu głowę swoją maczetą. Poddani Falacha byli zażenowani lub nawet oburzeni, jednak ich przeciwnicy również nie byli zachwyceni. Gdy dowiedział się o tym Brados, rozkazał garstce swoich ludzi zaatakować prowokatorów. Wysłał około pięciuset żołnierzy, aby wezwali do walki część wojsk przeciwników. Liczebność wroga Valkirian i Walkijczyków była znacznie większa, więc Rameńczycy wyruszyli w stronę nieprzyjaciół. Walka trwała krótko, a wysłannicy Bradosa zostali całkowicie rozbici. To jeszcze bardziej rozzłościło namiestnika Walkii oraz Valkiriany, który wysłał w tamto miejsce jak najwięcej swoich oddziałów. Postanowił jednak poczekać na króla Eniceni, a więc nie rozpoczynać bitwy, zanim ten nie przybędzie.

Doradca Bradosa nie wiedział, czy na pewno chciał, aby jego pan uczynił to, co w tej chwili miał rozkazać. Teraz nie było czasu na żadne sentymenty, gdyż król wyjeżdżał. Zjawił się przed Rillun i odjechał ze swoim prywatnym orszakiem. Mówił do nich:

– Słuchajcie! Za chwilę zjawimy się na słynnych polach Elden. Są niedaleko, dlatego podróż nie będzie długa. Jednak z góry muszę was ostrzec, że musicie szykować się na śmierć, gdyż to właśnie dzięki temu, że poświęcamy was, nasz kraj może przetrwać. Zostajecie złożeni na ołtarzu naszej ojczyzny, a więc musicie za nią umrzeć. DO BOJU!

Doradca tylko patrzył, czy Brados nie wyjeżdża, ale na pewno zobaczył, że oznajmia coś swoim ludziom. W końcu władca odjechał, a obserwator szybko zszedł do podziemi, wziął ze sobą jakieś pudło i krótki sznur, który obwiązał wokół szyi. Podeszedł do drewnianego drążka, wspiał się na zabraną skrzynkę, przywiązał się i kopnięciem usunął podparcie stóp. Już nikt nigdy nie znalazł jego ciała w zakamarkach pod zamkiem Rillun. Być może to bezsilność zmusiła go do powiedzenia czegoś, czego nie chciał, lecz jego niemożność przyznania się do niemocy sprawiła, że musiał ponieść srogą karę.

Król Rameńskiego Akh'u dalej przebywał w swoim przytulnym, wielkim i luksusowym mieszkaniu, czekając na rozstrzygnięcie bitwy, a tym samym wojny. Chwila, w której słynny król Falach miał zwyciężyć albo ponieść śmierć, miała być tą

chwalebna i taką, którą można będzie opowiadać do końca świata. Nie wiadomo było, czy ktokolwiek by wspomniał przegraną Falacha, a na pewno nie przedstawiłby jej w dobrym świetle. Valkirianie oraz Walkijczycy nie mieli zamiaru przejmować Eniceńskiej kultury i obyczajów, a chcieli wręcz wprowadzać tam własną i zarażać nią ludzi. Nie wykluczali również zabraniań mówienia w tej mowie, niezwykle podobnej do języka polskiego. Z drugiej strony to samo planowali robić Enicenianie, próbujący zrównać ten wielki i rozwinięty cywilizacyjnie kraj z ziemią. Tak niestety wyglądała polityka w świecie – nie tylko tym, do którego trafili Benjamin oraz Tomasz.

Jednym z innych przyjaciół króla był wojownik Axal, który prawdopodobnie posiadał największe zdolności w walce, dzięki wykorzystanym talentom. Właśnie to wykorzystanie talentów było dla Falacha najlepszą rzeczą, jaką może zrobić człowiek. Gdyż każdy, kto nie wykorzystać zesłanych od kogoś dla siebie darów, to tak jakby przepuścił majątek ojca, a to zbrodnia wobec duszy i innych ludzi. Dlatego też Axal był przydatnym człowiekiem w wojsku, ale nikim więcej dla króla. Ów młody mężczyzna podziwiał Falacha i widział w nim swój autorytet. Obecnie władający król Enicenie mógł się takim nie wydawać, ale był niegdyś tylko zdolnym chłopakiem, a dziś stał się władcą wielkiego królestwa. Nikt nie powinien zaskoczony podziwem ze strony Axala. Dlatego też chłopak ten cenił sobie autorytet króla i nie chciał, aby nawet następca Falacha go podważał. Powiedział do Filipa:

– Panie, nie sądzisz, że nie powinniśmy nawet pomyśleć, że nasz król mógłby nas opuścić? Nie możemy jeszcze wyruszać! Poczekajmy na naszego władcę!

– Cóż... – mówił zamyślony Filip. W końcu wykoncypował, że musi zostać z wojskami, gdyż król „po prostu się nieźle wkurzy” i uzna szlachetny czyn Filipa za niesubordynację. – ...zostańmy, ale tuż przed zamkiem. Sądzę, że król powinien nas dojrzeć, kiedy będziemy naprzeciw grodu.

Jak powiedział, tak zrobił – wszyscy wyszli przed zamek, ale zostali tam, oczekując z niecierpliwością swego władcy.

Falach wszedł do celi Gerdoka, gdyż strażę wpuściły go od razu, nawet gdy widziały w jego ręku broń. Widział tam siedzącego plecami do krat mężczyznę ze śladami po batogu na ciele. Gerdok odwrócił się w stronę Falacha i uśmiechnął się szyderczo. Falach patrzył na niego z pogardą i obrzydzeniem, zastanawiając się, czy nie szkoda bełtu na „takiego gada”, jak mówił w myślach. Jego rozumowanie było błędne, zwłaszcza w wypadku tak nagłego samosądu, którego chciał się dopuścić. Gerdok nie był zdrajcą, na pewno niedoszłym skrytobójcą, ale był lojalny, choćby wobec swego ojca, a właśnie ten odwrócił się od swoich. Gerdok wyłącznie próbował go pomścić, gdyż myślał, że w ten sposób spełni jego wolę. Można by go uznać nawet za ofiarę Faruqāla, gdyż ten zatrzał jego umysł nienawiścią do Enicenie. Mimo to zaraz potem Falach z zacisniętymi ustami, bez słów, pociągnął za spust. Krew Gerdoka zaczęła tryskać na wszystkie strony, natomiast jego ciało zadrżało. Zwłoki więźnia upadły obok nóg króla. Falach, jak szybko przybył, tak też wyszedł. Zdecydowanym krokiem opuścił zamek i udał się w stronę zniecierpliwionej już armii. Wyruszyli i jeszcze tego samego dnia rozbili obóz na polu bitwy.

Falach chciał zamienić jeszcze parę słów ze swoim następcą. Odszedł więc wraz



z Filipem na parę kroków od armii, która musiała niestety poczekać. Niektórzy mówili: „jeszcze pewnie będzie pół godziny zagrzewał nas do boju”. Jednak patetycznej motywacji nie wygłoszono, za to król odezwał się tak do swego przyjaciela:

– Dzięki ci, że byłeś wobec mnie lojalny i mi zaufałeś, że wyruszę z wami, zwłaszcza że ogłosiłem cię swoim następcą i sądziłem... że przewróci ci się w... Nieważne. W każdym razie podziwiam cię. Dobrze, że w tobie położyłem swoje nadzieje.

– Lecz uwierz mi! Ja nie nadaję się na władcę! Nie mam takiej charyzmy, temperamentu, zdolności, ani nawet chęci... – mówił, lecz współrozmówca mu przerwał.

– I właśnie dlatego jestem utwierdzony w moim przekonaniu, że zrobiłem dobrze.

– Po czym zmienił temat. – Martwi mnie tylko jedno. Ty i moja służąca, Fadma...

– Ależ mówię ci. Musisz mi wybaczyć, ale to nie to, co zwykle spotykało mnie w naszym świecie. Fadma jest piękna jak anioł! To jest prawdziwa miłość.

– Cóż, Filipie. Nie to mnie martwi. Wiem, że jesteś nie stąd, że znasz inne obyczaje, i tak dalej. Lecz z czysto racjonalnego punktu widzenia, to nawet lepiej, bo jeśli spłodziłeś syna, to gdybyśmy zginęli, ten mógłby rościć sobie pretensje do tronu.

– Cóż, nie patrzyłem na to z takiej strony. Ale dręczy mnie jeszcze inna rzecz. Czy jeśli tutaj przeżyję, to mam... zawrzeć z nią małżeństwo?

– Czy tak bardzo zależy ci na przysięganiu wierności przed Heniquezem?

– Nie wiem. Ale gdybyśmy znaleźli się w naszym świecie, to na pewno bym wziął ślub.

– Cóż! Jeśli masz teraz takie życiowe cele, to wiem, że cię odmieniłem na lepsze.

Jeśli ktoś, słysząc tę opowieść, powiedziałby, że zaczęła ona przypominać romans rycerski, to zdecydowanie byłby w błędzie. Sir Filip zdradził rycerskie ideały, tak samo jak zrobił to legendarny sir Lancelot. Falach zawiódł się i zezłościł na swojego przyjaciela, gdyż żywił od ostatniego czasu nadzieję, że stał się on znów kimś szlachetnym. Miał wrażenie, że kulturowego dna przeniósł się na wyżyny moralności. W tej kwestii miał oczywiście rację. Jego przyjaciel dzięki niemu zmęźniał i wydobył z siebie same cnoty. Cokolwiek by nie powiedzieć na temat charakteru Filipa i tego, jakim był w młodości jako Tomasz, na pewno stał się w tym świecie dobrym wojownikiem oraz zacnym przyjacielem. Falach uznał tylko, że wielkie czyny budzą wielkie uczucia i namiętności, takie jak strach, ból, poczucie tego, że przeżywa się przygodę, wrażenie, że można będzie więcej nie zobaczyć własnego domu. Jak wiadomo, przez takie multum stresów i wysiłku popełnia się błędy, a przecież złe życiowe postępowanie nie umniejszało nigdy niczyjego dorobku, a więc tym bardziej dokonań na polu bitwy, a to właśnie te miały być teraz najważniejsze.

Dwóch przyjaciół przeprowadziło jeszcze rozmowę na temat tego, czy ludzkie życie ma sens i czy ludzie powinni przychodzić na świat. Filip mówił, że skoro życie bywa pasmem udręk, a nie istniejąc, nikt nie jest krzywdzony, to może płodzenie i rodzenie dzieci jest głupotą i czymś niepotrzebnym, a poza tym nikt nigdy nie daje zgody na przyjście na świat, ponieważ w tej kwestii zwyczajnie nie może mieć wolnego wyboru. Falach powiedział, że miał takie same poglądy na tę sprawę w dzieciństwie, lecz gdy ujrzał wszelkie dobro na świecie, uznał, że chociażby tworzenie cywilizacji jest warte poświęceń, a życie przedstawił jako nieustanną bitwę z przeciwnościami losu. Życie jest

darem oraz misją, a żeby ją wykonać, trzeba często zmierzyć się z wieloma przeszkodami.

Po tej rozmowie przybyli do Falacha Gramdling z miasta Endis na południu oraz Mort i Arghalehbet z Andy. Byli to żołnierze, którzy walczyli u boku Falacha w bitwie na polach Etten. Chcieli przybyć do króla, aby pogratulować mu wstąpienia na tron Enicenii. Uznali, że są na tyle dobrymi druhami, iż nie będzie żadnego nietaktu, jeśli zwyczajnie podadzą rękę swemu nowemu władcy. Falach był niezwykle wdzięczny za pamięć. Mówił:

– Dziękuję wam, moi drodzy przyjaciele, ale musicie wiedzieć, że właśnie ruszamy na od dawna planowaną ostateczną bitwę, która ma zakończyć na dobre tę wojnę.

– Ależ panie! – mówił Mort. – Nie przyszliśmy tylko pogratulować ci tego, że zostałeś królem. Ani tego, że wygraliśmy z tobą tak wielki bój. Ani nawet tego, że jesteś jednym z największych eniceńskich przywódców od wielu lat. My chcemy po prostu ruszyć z panem! Wiemy, że to będą wielkie i chwalebne dni, których nikt nie zapomni, ale dla nas najważniejsze jest być u boku króla. Będziemy walczyć z tobą ramię w ramię, a być może nawet zginiemy razem z tobą.

– Wiem, że to będzie dla was niezwykle przeżycie. Nieczęsto w ciągu jednego dnia zażegnane są tak wielkie światowe konflikty. Poza tym dziękuję wam za wszystko.

Następnie Falach przedstawił Filipa towarzyszom.

– A więc to jest to twój słynny przyjaciel – rzekł zdumiony Arghalehbet. – O nim również wiele słyszeliśmy.

Potem Falach, Filip oraz pozostali trzej towarzysze wyruszyli wraz z całą armią z Vareal, a niektórzy dosiedli wierzchowców, które czekały na nich w niedalekiej stajni. Falach został jeszcze kilka minut, stanął wraz z koniem przed zamkiem, uniósł swój miecz, a światło słońca odbiło się w blasku ostrza. Po chwili ruszył w bój na śmierć... i życie...

W trakcie podróży natrafili na oddział agresywnych zbójów. Niestety doszło do konfliktu. Falach zeskoczył z wierzchowca, aby nie ryzykować kontuzji swego rumaka, a następnie manewrował włócznią. Gdy prawie zwyciężyli, król rzucił nią w pędzącego na koniu zbira. Broń przebodła jeźdźca, jednak koń przeżył i dalej galopował w stronę króla. Potrafił go i uderzył gdzieś w okolicach ramienia. Falach upadł i z tego, co mówił, wynikało, że złamał sobie obojczyk.

– Naprawdę? Możesz wstać – pytał Mort, usłyszawszy te słowa od leżącego na ziemi lorda.

– Chyba tak – mówił, próbując wstawać na nogi.

– Dobra. Chyba możesz wsiąść na swojego konia – zapewniał Arghalehbet.

– Tak, mogę, ale nie wiem, czy sam dojadę na miejsce. O to się już nie martwcie.

Ruszajmy!

Falach wsiadł bez problemu na swojego wierzchowca i jechał na pole bitwy, zachowując pełną ostrożność, a i tak miał wątpliwości, czy w ogóle będzie mógł walczyć. Był wyczerpany i prawie pozbawiony nadziei, a przecież zbliżała się wielka i chwalebna chwila.

## Część dziesiąta i ostatnia

*Liczebność nie miała znaczenia. Każda nasza minuta mogła być ostatnią. To była bardzo stresująca, długa potyczka, w której bałem się śmierci, zapominając o tym, że rzekomo mieliśmy wrócić do naszego macierzystego wymiaru. Gdy zostałem wystawiony na próbę, zdałem test, lecz za cenę mojego życia. Chociaż nie zginąłem w tej bitwie, to popełniłem błędy, które przyczyniły się do upadku mojego kraju. Tych błędów nie popełniłem tu i teraz, gdy patrzę na pole bitwy, lecz na samym początku. Rozpętałem wojnę, która nie miała sensu. I taki banalny morał otrzymałem ja. Podbój świata kolejny raz zakończył się farsą, jak w przypadku Hitlera, Stalina, Imperium Rzymskiego czy Macedońskiego. Ja jednak miałem taką nadzieję, że jeśli nie tam, to tutaj mogę stać się Bogiem na ziemi. Nie stałem się nim, ponieważ kto się może stać Bogiem, jeśli nie jest nawet szanowany u siebie wśród przyjaciół czy w rodzinie. Od tak dawna nie widziałem matki. Powinienem być przynajmniej do niej zadzwonić. Rozdzieliłem się na dwa światy, a okazało się, że przegrałem w obydwu. Choć jest jeszcze nadzieja...*

*– Królu, atakujemy? Nie możemy zwlekać.*

*– Tak jest. Szykować się. Naszych przeciwników jest pięć razy więcej, a zatem każdy z nas musi pozbyć się co najmniej pięciu przeciwników i nie zginąć samemu. Jest to w naszym zasięgu, gdyż jesteście świetnie wyszkoleni. Miecze w dłoń, siodło na koń i pokażmy im, komu tak naprawdę należą się te granice.*

*Po paru minutach rozpoczęła się szaleńcza szarża w stronę wroga. Nikt już nie martwił się o życie. Chciano uratować honor swój i swoich braci, nawet ginąc w polu bitwy. Walka była wyrównana, był tam Filip, rycerze Henryka, rycerze Falacha i ochotnicy, pragnący zginąć u boku człowieka, którego uważali za Boga, nawet jeśli ten nie podbił świata, jak oni oczekiwali. Szala zwycięstwa była nieruchoma, nikt nie wiedział, kto wygra. Mimo iż pozbyliśmy się Mütteji'ego i Gerdoka, to po stronie Valkirian był jeszcze Brados, zdający się być nadzieją reszty świata, której groziły dalsze podboje Eniceniei. Poza tym władał wtedy niewyobrażalnie wielką armią. W całej kampanii z królem Henrykiem nigdy nie groziło przegranie wojny, a teraz zależy to od wygranej tutaj. Jednak nie jest to pewne.*

*Przybył posłaniec rameński.*

*– Ej! Król Falach musi przybyć nad wielkie jezioro Heller, aby spotkać się ze wszystkimi wojskami wojny. Jeśli nie opuści pola walki, możemy przepuścić przez granicę głodnych podbojów przeciwników!*

*„Myśliwy stał się zwierzyną”, jak pomyślałem ja i Filip. Teraz nie mogliśmy zostawić swoich ludzi. Bez nas musieliby przegrać.*

*– Idziesz, królu? – spytał, jeżdżąc dookoła na koniu.*

*– Nieee! – krzyknąłem.*

*I tak oto zostałem wystawiony na ową próbę. Zdałem egzamin braterstwa. W furii, a zarazem radości i nadziei, jaką pokładali we mnie żołnierze i rycerze, wznowili szarżę i pokonali armię wroga. Wielu się wycofało, a przywódcy walkijscy po ciężkiej, ponad czterogodzinnej walce, uciekli, aby kontynuować ataki, o których mówił zwiadowca rameński. Z bitwy o rozmiarach podobnych do tej z Grunwaldu ilość walczących zmalała*

*do kilkuset. Walka była krwawa, ale piękna. Każdy Enicenianin rzucał się przed drugiego, chroniąc go ciałem. Po tym chwalebny zwycięstwie Filip wraz ze mną oraz ze swoimi przybranymi rodakami wrócili szczęśliwi, śpiewając rycerskie pieśni i idąc w stronę zachodzącego słońca – w kierunku Rameńskiego Akh'u. Widok ten był piękny, lecz nie tak bardzo jak jutrzejszy dzień.*

*Zatem pierwsza walka mająca charakter potyczki została stoczona. Nasze szanse zostały się wyrównały, gdyż ilość wojsk dowodzonych przez Bradosa uległa znacznemu zredukowaniu. Jednak wielkie i ostateczne starcie miało dopiero nadejść. Mój złamany obojczyk wcale się nie przyczynił do wyniku batalii. Po tej małej bitwie miałem być opatrzony oraz otrzymać diagnozę, czy mogę dalej walczyć.*

*Rozbiliśmy obóz, a gdy wstaliśmy, Rameńczycy przynieśli nam nowe zbroje. Piękne arabskie kobiety zajmowały się mężczyznami, którym dawano zimne napoje i obfite dania. Mnie i Filipa ubrano w grube, białe i lśniące zbroje, w których mieliśmy wyglądać niczym orły. Choć nie był to symbol narodowy Enicenu, to uznaliśmy, że w takim stroju będziemy bardziej czuli się jak Polacy, a to nam doda otuchy. W obozie – mimo że był rozbity przez moje wojsko oraz podstawowe jego elementy pochodziły z mieszkań jego członków – większość organizowali arabscy ochotnicy. Nie pokładali zbyt dużych nadziei we mnie, ale wiedzieli, że w kulturze ich gości będzie na miejscu zająć się nimi. W południe koło jeziora już stały oddziały trzech armii przeciwników. Dochodziły do mnie coraz to nowe eniceńskie oddziały, lecz to wciąż była śmieszna liczba. Co najwyżej tysiąc. A Rameńczyków mogły być nawet trzy tysiące. Trzy armie przeciwników były niezliczone. Ta sytuacja, gdy jedna seria strzałów mogła zniszczyć całość wojsk naszego bohatera, już się wydarzyła. Tym razem jednak szanse były jeszcze mniejsze, a mnie ogarniała pycha, co nie wróżyło nic dobrego.*

Fadma od dnia, w którym Falach został koronowany oraz w którym wyjechał do Vareal, cały czas spędzała w Andzie. Na dzień przed wyruszeniem króla na pola Elden rozmawiała z obecnym opiekunem stolicy. Zapytała się go, gdzie obecnie przebywa jej pan. Odpowiedziano jej, że król szykuje się do wzięcia udziału w bitwie, która według niego ma rozstrzygnąć wynik tej wojny. Przejęta tą informacją, pragnęła wyruszyć w owo miejsce. Poprosiła jednego ze stajennych w zamku, aby znalazł dla niej konia. Dano go jej, a ona nie czekając ani chwili, pojechała do swego króla, aby go ujrzeć, zanim ten niechybnie zginie w boju. Fadma chciała go przeprosić, gdyż bała się, że to może być jej ostatnia szansa. Dodatkowo uważała, że lepiej będzie powiedzieć swemu władcy, żeby nie brał udziału w tak ryzykownym przedsięwzięciu. Zdawała sobie jednak sprawę, że jej starania mogą się okazać bezskuteczne.

Dzień, w którym Falach się tam zjawił, był niezwykle słoneczny, ale również chłodny. Radość z otaczających go warunków niestety nie trwała długo, gdyż na chwilę przed dojechaniem na miejsce walki zjawił się ułamek armii Bradosa. Falach, posiadający niewielką ilość własnych oddziałów, musiał zmierzyć się z atakującymi go dywersantami. Trzeba było walczyć przed tą najważniejszą potyczką po raz wtóry, tym razem z wyszkolonymi valkiriańskimi żołnierzami. Ci przed bitwą zostali wysłani w stronę Vareal, aby się rozprawić z królem oraz jego ludźmi, którzy mieli tamtędy podążać. Pokonanie ich nie było trudnym zadaniem. Zdarzenie to tak na niego podziało, że opisał

je na kartach swojego pamiętnika, kiedy dojechał do obozu. Jednak zanim wziął się do tworzenia tej historii i kiedy dopiero znalazł się w wyznaczonym miejscu, był niezwykle uradowany, ale cały czas myślał o tym, że złamał kość. Natomiast gdy dotarł, doszedł do wniosku, że nawet jeśli zginie, to poniesie godną śmierć na polu chwały.

W miejscu, gdzie rozbito obóz, wysoka trawa targana przez wiatr miała ciemnozielony kolor, a pośród niej można było dostrzec wyrastające mlecze. Oddziały, które tam spoczywały, były otoczone z jednej strony iglastym lasem, a z drugiej masywnymi górami. Pomiędzy tymi wzniesieniami a miejscem spoczynku eniceńskich oddziałów znajdowało się jezioro, w którym brali kąpiel stacjonujący tam żołnierze. Do króla Enicenie podszedł lekarz, który stwierdził, że żadna kość nie jest złamana, a Falach może walczyć. Ten sprawdzał swoje możliwości skacząc, robiąc pompki czy podciągając się. Gdy wykonywał te czynności, nie dostrzegał żadnego urazu ani nie czuł się, jakby miał kontuzję. Pomyślał sobie: „Może podświadomie nie chcę walczyć. Wymyśliłem sobie uraz, aby nie brać udziału w bitwie. Jestem tchórzem i wiem, że mogę zginąć, i tego się obawiam”.

Z bitwą cały czas zwlekano. Zbierano coraz to nowe wojska. W końcu wydano pierwszy konkretny rozkaz. Falach podszedł do namiotu jednego ze swoich wasali i powiedział mu stanowczo:

– Słuchaj! Masz wziąć każdego mężczyznę potrafiącego władać bronią z każdego miasta w kraju. Po prostu będziesz sam jechać i werbować do nas nowych ludzi.

– Oczywiście, mój panie – odpowiedział bez wahania mężczyzna.

Król chciał uczynić jeszcze jedną rzecz. Spotkał się po raz kolejny z Filipem i zaczął rozmowę o ich sytuacji na polu bitwy.

– Jak nasze wyposażenie?

– W porządku. Podobno mają nam skądś dowieźć.

– Dobra! Mniejsza o to. Jeśli wszystko jest dobrze z bronią, to fajnie. Jak mają się nasi ludzie?

– Chyba dobrze.

– A jak się czują?

– Nie wiem!

– Jak to nie wiesz?

– Po prostu nie rozmawiałem z nikim.

– Dlaczego?

– Nic. Źle się czuję. Ale mogę tylko powiedzieć, że ludziom nie podoba się przebywanie z tymi Arabami. Są dziwni... i agresywni. Chociaż nie wyglądają na takich, ale cały czas robią tutaj jakieś rozróby. Biją się, krzyczą!

– To dobrze. Wydaje mi się, że dzięki temu będą dobrze się sprawować na polu bitwy. A tak przy okazji, podobno zabiliście kogoś na granicy Walkii i Enicenie. Czy to prawda, że wyglądał jak Rameńczyk?

– Tak! Był dość... ciemny.

– O rany... czekaj! – Zastanawiał się, czy dokończyć. – To chyba głupie. Zresztą on nie żyje.

– Powiedz, o co ci chodzi!

– Pewnego dnia rozmawiałem z królem Bradosem. To było wtedy, gdy zdobyliśmy Rillun. Mówił mi wtedy, że niejaki Keslaf, niegdyś będący lordem, to najniebezpieczniejszy człowiek w Valkirianie!

– Co robił?

– Infiltrował kraj i podburzał w nim ludzi. Był w połowie Rameńczykiem i jego zadaniem było wprowadzać religię Rameńczyków od środka. Kazał swoim ludziom palić świątynie Heniqueza i zabijać tych, którzy nie zgadzali się przyjąć...

– ...islam? – próbował dokończyć Filip.

– Tak! Tutejszego. Rameńczycy są potomkami mahometan. Nie znają imienia tego proroka, ale na przykład używają słowa Allah.

– I dlaczego Ender go nie zabił?

– Nie mógł. Właściwie Keslaf był panem na swoim zamku i mógł skazywać, kogo chciał.

– Co?

– Tak jest w Valkirianie. Król mógł jedynie pozbawić go tytułu lorda za inne czyny. Wybrał obrazę majestatu. Nie musiał nic udowadniać.

– Dziwny kraj.

– Tak. Zamek Keslafa wrócił do normalności, a ludzie odetchnęli tam z ulgą. Całe szczęście, że zabiliście go od razu.

– Kazałeś nam to robić z każdym, kto będzie przechodził przez granicę. Ale dalej sądzisz, że sojusz z Rameńskim Akh'em to dobry pomysł? Przed chwilą ci mówiłem, co oni robią i dlaczego nie darzymy ich sympatią, a teraz ty mówisz o tym, że w naszym kraju prawie wylądował infiltrator.

– Całe szczęście, że już go się pozbyliście. A co do tego, czy dalej uważam, że pakt z Rameńczykami był dobry, to myślę, że właśnie nie za bardzo. Tak właściwie to nie zależało ode mnie. Walka się od nas odłączyła, a więc teraz jedynym naszym sojusznikiem jest Akh.

– Musimy jednak przyznać, że są dobrzy w walce.

– Oczywiście! Nigdy nie zaprzeczałem. Nawet słowa „rameński akh” oznaczają w ich języku „kraj walecznych”. Jednak walczą tak samo dobrze z Walkijczykami, jak i z Enicenianami.

– Co masz przez to na myśli?

– To, że również my musimy na nich uważać. Zarówno w polu walki, jak i poza nim. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć.

– Ale ja mam jeszcze jedno pytanie.

– Jakie pytanie?

– Jakiej śmierci boisz się najbardziej?

– Nie wiem... nie zastanawiałem się nigdy nad tym. Przecież moja praca polega na ryzykowaniu życia, więc jakbym miał jakiś rodzaj śmierci, której najbardziej się obawiam, oznaczałoby to, że boję się zajęcia, które sam sobie wybrałem. A ty czego się boisz?

– Utonięcia na wzburzonym, zimnym, głębokim morzu. Uduszenia się pośród morskiej zwierzyny... bez towarzysza ani bez szans na odnalezienie mnie i godne

pochowanie.

– Ale masz towarzysza.

– Lecz nie wiem, czy ktoś jeszcze kiedyś mnie pochowa i zapamięta.

– A więc boisz się. Jeśli tak, to powiem ci, że na pewno twoje czyny będą wspomniane przez wiele dziesiątek lat w każdym zakamarku tego kontynentu.

– Dzięki. Cześć.

– Na razie.

W ciągu zaledwie paru dni wysłannik Falacha odwiedził wszystkie eniceńskie miasta. Przy większości reakcja ludzi była taka sama. Mówili, że nie dołączą do Falacha, gdyż ten według nich był tyranem i swoją wojnę powinien prowadzić sam. Mimo wszystko w każdym mieście, osadzie czy zamku znaleziono wielu chętnych do boju. Jednak w stolicy sytuacja wyglądała inaczej. Ludzie uznali, iż nie wystarczy odmowa walki. Tam rozpoczęła się kolejna bitwa. Sensem tego wydarzenia miało być to, iż kraju należy bronić u siebie. Choć faktycznie bitwy przy jeziorze powinny być ważniejsze dla Rameńczyków.

– Nie chcemy przelewać krwi dla kogoś, kto tylko czeka, aż zginą nasi ludzie i będzie mógł nas zaatakować. I nie będzie odwrotu. Dlaczego starcia z Valkirianą i Walkią mają być gorsze od tych z Rameńskim Akh'em? – tak brzmiał głos jednego z mieszkańców miasta.

– Czy chcecie – zwrócił się jeden z eniceńskich przywódców – abyśmy zostawili króla na pastwę losu?

Do żołnierzy słowa mieszczan trafiały, ale jako że za prawdziwe słowa nikt im nie płacił, uznali, iż lepiej będzie odeprzeć ataki ze strony niepokornych obywateli.

O dziwo, w walce zginęło bardzo wielu ludzi, którzy stali po stronie króla i sojuszu z Rameńczykami. Ci wtargnęli do miast, nie zastanawiając się nad tym, czy buntownicy będą dobrze przygotowani. Otóż byli. Już wcześniej spustoszyli miasto, splądrowali kuźnie i pozbyli się jakichkolwiek autorytetów. Uzbroili się, utworzyli sprytne kryjówki za, na przykład, beczkami, schodami czy metalowymi tacami. Zza nich wyskakiwali i strzelali. Z blanek zrzucali kamienie, mali chłopcy skakali na głowy dorosłych mężczyzn, a kobiety biegały z pochodniami i metalowymi prętami. Były półnagie, wrzeszczały i absolutnie nie zachowywały się zgodnie z dobrymi obyczajami. Ich przeciwnicy mieli hamulce moralne, zabraniające skrzywdzenia niewiasty, a one to wykorzystywały. Było to starcie krwawe i pozostawiło trwały skutek na naszej historii, która powoli dobiega do końca. Jednak zanim wyjaśnię, w jaki sposób wojna się skończyła, wrócimy do króla i jego rozterek.

Otóż ten myślał wiele. O WSZYSTKIM. O wszystkim, co go spotkało i co go miało spotkać. Bał się tego, co się stanie. Choć wielu miało powoli dosyć tego, jak mówił o tym, jakie to będzie wielkie starcie. Pokładano w nim nadzieję jako w przywódcy, a nie jako w bardzie, który wysławiał wydarzenia, zanim te nastąpiły. Postanowił, że nie może być jak płaczliwa dziewczyna, która panicznie boi się tego, że zginie, ani też jak chłopiec, którego drażni fakt, że poniesie pierwszy raz od długiego czasu sromotną klęskę. Jednak nie zdołał tego postanowienia przez dłuższy czas dotrzymać, ponieważ nie minęło parę godzin czekania, a podszedł do swojego doradcy i spytał:

- Ile oni tam stacjonują?
- Już od wczoraj.
- A ile będą jeszcze tak sterczeć?
- Nie wiem. Myślę, że czekają, aż dojdzie do nich reszta wojsk, albo czekają na ciebie, aż zaatakujesz pierwszy.
- Dlaczego mieliby to robić?
- Być może oni też pragną, aby trwającą wojnę zakończyła jedna potyczka, i chcą, abyś zebrał wszystkie swoje siły.
- To świetnie. W końcu możemy je zbierać, ile chcemy.

W końcu zdecydował się przesunąć termin tej bitwy o jeszcze jeden dzień. Zdjął zbroję swoją i Filipa i oznajmił, że reszta też powinna to zrobić. To niezwykle drażniło zniecierpliwionego Bradosa. Falach zanim położył się do swojego namiotu, przyszedł do jednego z żołnierzy.

- Słuchaj! – powiedział mu.
- Tak, panie!?
- Chciałbym się napić czegoś. Masz może wody?
- Wody? Ależ jak mógłbym pić wodę w takim dniu?
- A co miałbyś pić?
- A wie pan... taki... magiczny napój – powiedział, wyciągając butlę z wódką.
- Och... gdybyś mi pozwolił skosztować...
- Ależ odmówić królowi? Niech się pan napije. I tak jutro zginiemy, więc teraz nic nam chyba nie zaszkodzi.

- Ależ z wielką chęcią!
  - Dobrze! – po czym otworzył i podał królowi swój alkohol.
- Falach napił się łyka, otarł usta i powiedział:
- Aaa! Ohyda. Dobrze, że zawsze mi zabraniano tego pić.
  - W świecie króla też to znają?
  - Oczywiście. Być może jest to popularniejsze niż tutaj. W ogóle mój świat jest dziwny, dlatego nie chciałem do niego wracać.

– Zawsze dziwiło mnie, że ktoś żyjący w innym wymiarze mógł zostać królem Enicenu, ale teraz wiem, dlaczego tak się stało. Jeśli wy macie mocniejsze głowy niż Enicenu, to musicie być chyba jakimiś nadludźmi.

Falach wrócił do swojego namiotu, a tej samej nocy przybyła tam służąca Fadma. Pytała ludzi, gdzie był Filip. Spotkała go, a z nim poszła do namiotu Falacha, aby wszystko razem przy nim wyjaśnili. Zastali Falacha krzyczącego te słowa:

- Śmierć! Śmierć! Wojna! Głód! Ból!
- Ależ Filipie! – mówiła Fadma. – Co on mówi?
- Nic. Pił. Teraz majaczy.
- Owszem, piłem, ale zaledwie łyk wódki. I to, co mówię, to nie majaczenie, lecz prawda! To nas tylko czeka! – krzyczał, lecz po chwili uciszył się. – Niepotrzebnie wysyłam was wszystkich na pewną śmierć.

– Uspokój się – mówił Filip. – Nikt nie wie, co się stanie ani co by było, gdybyś tutaj nie przybył.



– Masz rajcę – przyznał Falach. – Ale po co przysłała tu jeszcze moja służąca? Czy nawet ona nie ma po co żyć?

– Przybyła, gdyż chciała cię zobaczyć. Sama uważa, że jutrzejszy dzień może być twoim ostatnim.

– Ja również nie wiem, czy tak będzie. Ale i tak nie tego się boję. Zacząłem się bawić w królowanie, a teraz nie mogę przestać.

– Więc ucieknij! – mówiła kobieta. – Może jeszcze da się cię uratować.

– I co? Mam zostawić tych ludzi i uciec sobie do stolicy?

– Niech tego nie robi – mówił Filip do Fadmy. – Musimy zostać tutaj. Zginiemy, albo zwyciężymy u boku twoich pobratymców. To ty musisz uciekać! Ani Walkijczycy, ani Rameńczycy nie dadzą ci przeżyć, jeśli tu zostaniesz! Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Więc bierz swojego konia i uciekaj najdalej, jak tylko możesz.

– Po prostu wróć do Andy.

– A jak ta zostanie podbita? – pytał Falach.

– Niech jedzie do Vareal.

– To dalej zbyt niebezpieczne miejsce. Niech ruszy lepiej do Arlem. To niezwykle dobra forteca. Sam się o tym przekonałem w dniu, w którym zginął Henryk.

– Dobrze – powiedziała Fadma, po czym uściskała mocno obydwu mężczyzn, wsiadła na konia i odjechała. Nie jechała ani do Vareal, ani do Arlem, lecz czekała kilkaset metrów od obozu. Tam położyła się i obserwowała przyszłe miejsce bitwy. Tego dnia na firmamencie widać było wyraźnie gwiazdy i coś zupełnie podobnego do Księżyca. Cała planeta była właściwie taka sama jak Ziemia, a momentami wydawało się, że jest to nawet piękniejsze miejsce. Tak jak chociażby tej nocy, kiedy setki małych i jasnych obiektów rozświetlały mrok nocy. Wszyscy wtedy zasnęli, a po kilku godzinach wzeszło słońce.

Falacha tej nocy zdążyły nawiedzić jeszcze sny. Śniło mu się, że czytał przy zgromadzeniu wszystkich znajomych mu osób z obu światów, w których przebywał, jakąś pogańską Biblię, w której nawoływano wszystkich wyznawców Świętowita, Swaroga, Welesa czy Odyna oraz Thora, oraz innych pogańskich bogów, aby się złączyli, gdyż nadchodzi nowa religia, która teraz zjednoczy wszystkie znane im bóstwa i przemieni dotychczasowy świat. Potem też zobaczył valkiriańskie morze. W rzeczywistości nigdy nie ujrzał na oczy tego miejsca, ale pamiętając jego opisy, był przekonany, że to właśnie ono było widoczne w jego marzeniu sennym. Była tam niebieskozielona woda, glony, zaskakująca roślinność i piękne zwierzęta. Szedł po tej plaży, rozglądając się po horyzoncie. W końcu zauważył przyplływający statek. Wtedy właśnie Falach się obudził. Nie wiedział, jakie znaczenie może mieć ten sen oraz dlaczego akurat o tym śnił teraz, w momencie, w którym miała nadejść wielka bitwa. Wstał, ubrał się, wyszedł z namiotu i został ponownie odziany w białą, lśniącą zbroję. Tak samo zrobił jego przyjaciel. Podeszli do nich giermkowie i zaczęli uzbrajać swoich panów tak, jak należało. Król dowódca wsiadł na konia i dał rozkaz do ustawienia się Rameńczykom oraz oczywiście swoim poddanym. Stał na ich czele, a obok niego siedział na koniu sir Filip. Jednak teraz trzeba było czekać na przeciwników, ponieważ bój w końcu miał się zacząć. Gdy do uszu Falacha doszły wieści o rewolucji w stolicy, jego nadzieja,

jakkolwiek rozumiana, odeszła. Wtedy oto król oznajmił żołnierzom, że cokolwiek się stanie, ci ludzie nie przejdą. To były jedne z jego ostateczne słowa wymówionych do Enicenianina. Jeszcze tylko zamienił parę zdań z druhem.

– A więc to dla nas koniec? – spytał Filip.

– Na to wygląda. Choć chciałbym cię zapytać, jak życzyłybyś sobie umrzeć.

– Na wojnie.

– Jakie będą twoje ostatnie słowa?

– Nie przejdą – oznajmił patetycznie.

– Dlaczego: „nie przejdą”?

– „Ils ne passeront pas!” Chodzi mi o to, że jeśli przegramy, Brados i jego wojska przejdą dalej, a Enicenianie nie będą mieli wielkich szans w walce z nimi. Dlatego ta bitwa jest taka ważna. Rozumiesz? Poza tym sam wiesz, że wielu mieszczan chciało się buntować przeciw nam, kiedy nas nie ma. Nikt ich nie obroni. Dlatego też musimy się starać, aby ci ludzie nie przeszli przez granicę.

I taki okrzyk wydał tego dnia z siebie każdy wojak po stronie Falacha.

– A ty zapewne też zginiesz. Muszę komuś przekazać dowództwo.

– Ależ nie. Jeszcze tego dnia wydostanę się z pola walki, jeśli zginiesz ty. Wtedy zacznę sprawować władzę w Eniceni.

– Módl się, synu, abyś zdołał to zrobić.

Wtedy król zaczął mówić do każdego mężczyzny dołączającego do szeregu, w którym znajdowali się ludzie uzbrojeni.

– Nie będę wygłaszał żadnych mów tego krwawego dnia. Zapewne powiecie, że przecież właśnie to robię, lecz moje kazanie będzie wyjątkowo krótkie. Każdy z nas będąc chłopcem, przynajmniej raz marzył, aby być tym, za kogo dzisiaj się podajecie. Za żołnierzy. A ja wam mówię: jeśli chcecie nimi być, to musicie znaleźć się tam – wskazał na pole bitwy – i nie odejść, póki nie zabijemy każdego wroga, który stoi kilkaset metrów dalej.

Ta motywacja przemówiła zarówno do ludzi, którzy pragnęli walki, jak i do tych, którzy dalej chcieli jej uniknąć. Dotarła także do serc Rameńczyków, którzy okazali się równie entuzjastycznie nastawieni wobec bitwy. Gdy kawaleria, piechota czy nawet drobne rzeźmieszki obu tych nacji były w pełni gotowe do krwawego starcia, Brados powstał i uczynił to samo, co zrobił Falach, a więc ustawił poddanych żołnierzy w strategicznym punkcie. Zanim rozkazał swoim ludziom wyruszyć, również wykrzyczał parę słów:

– Moi drodzy poddani! Jeśli chcecie dzisiaj wygrać, nie możecie zapomnieć o męstwie i chwale, jaka was tam czeka. Nie wyrzucajcie w niepamięć również bólu i zmęczenia, z którym także dzisiaj będziecie musieli się spotkać. Wystarczy, że Valkiriana zwycięży i pójdzie dalej na podbój kontynentu, a wtedy wy wygracie, nawet jeśli poniesiecie śmierć. A teraz do boju! – krzyknął, wysuwając do przodu klingę i rozpoczynając galop. Obie armie zrobiły to samo.

Król Eniceni wraz ze swoim następcą jechali z przodu, siedząc na koniach, a za nimi podążali niepewni Enicenianie oraz wściekli Rameńczycy. Zmierzali w stronę niezliczonych wojsk wroga. Uniesiono wszystkie miecze, a ostrza zajaśniały w blasku

słońca. Gdy oponenty zderzyli się ze sobą, wszystkim wydawało się, że ludzie, którzy jechali na przodzie, zostali zmiżdżeni przez wojsko wroga. Wszyscy uważali, że walka będzie mieć sens tylko wtedy, gdy będzie się toczyć na otwartym polu, a każdy będzie miał szansę zmierzyć się w pojedynku z przeciwnikiem. Gdyby ktoś obserwował przebieg tego starcia z lotu ptaka, zauważyłby, że na samym początku istniało tylko wściekłe przepychanie się i żadna inna taktyczna operacja. Właśnie na tamtym etapie potyczki śmierć poniósł kowal Gramdling, będąc przydeptanym przez konia, na którym siedział Enicenieanin. Jednak jego bardziej doświadczeni towarzysze uszli z życiem i dalej uczestniczyli w bitwie, napierając na nieprzyjaciela. Trawa była wyrwana przez naciskające na podłoże, uzbrojone stopy, gdyż w tej części batalii priorytetem było przepchnąć wroga tak, aby ten nie mógł się już tak skutecznie bronić. Jednak Enicenieanie dodatkowo próbowali dosięgnąć mieczami swych wrogów, którzy na nieszczęście Falacha, ukrywali się za wielkimi prostokątnymi tarczami, zasłaniającymi cały korpus wojownika, a ci, którzy wyjątkowo dobrze się za nimi schowali, byli zakryci całkowicie i mogli całkowicie uchronić się przed gradem ciosów Eniceniean. Nieliczni żołnierze Falacha mogli próbować wyrwać Walkijczyków wraz z ich uzbrojeniem za pomocą koni. Jednak większość wierzchowców nie wytrzymała zbyt długo takiego obciążenia i tym samym nie wykonywała swojej roli w tak zwartym starciu. Rumaki Filipa i Falacha, które jeszcze niedawno były widziane przez nich pierwszy raz na oczy, zginęły po paru minutach od valkirijskich i walkijskich włóczy. W walce nie widać było żadnych postępów, ani ze strony Eniceniean, ani Walkijczyków. Jedynie agresywni Rameńczycy starali się podjąć jakieś nietypowe działania. Nie mieli zbyt dobrego opancerzenia (ledwie zawieszono niechlujnie kolczugi, spiczasty hełm, naramienniki oraz nagolenniki), ale nie bali się pojawiać w żadnym miejscu bitwy, a przy tym tak szybko wymachiwali swymi maczetami, że przy jednym zamachu ranili kilku przeciwników – ale również często swoich sojuszników. Po obu stronach konfliktu ginęło paru ludzi w ciągu dziesiątek minut. W większości tylko raniono wrogów, sojuszników trutowano. Mimo iż zabijaniem Valkirian oraz Walkijczyków zajmowali się wyłącznie Rameńczycy, to niestety trzeba powiedzieć bez ogródek, że walczyli oni ze wszystkich najbardziej nieporadnie. Gdy się zmęczyli, a ich dzika furia minęła, byli zabijani od razu. Najczęściej byli przebijani włóczniami, lecz nierzadko trafiały w nich również strzały wypuszczane przez wrogów, którzy stacjonowali z tyłu. Wtedy niektórzy Rameńczycy, oddaleni od centrum bitwy, powzięli odwet i również strzelali. Naciągali cięciwy tak mocno, ażeby z końca pola walki, a więc z około stu metrów, ich pociski doleciały do wroga. Tak też się działo. Jednak strzały, które nie poszybowały wystarczająco daleko, zanurzały się w ciałach również ich sprzymierzeńców. Dzięki tym działaniom starcie stało się bardziej dynamiczne. Szala zwycięstwa dalej wahała się między dwoma stronami, ale na dłuższą metę nie przechyliła się w niczyją. Teraz wszyscy żołnierze mieli szansę się wykazać, gdyż walki zaczęły toczyć się „jeden na jednego”. Okazało się, że największym wojownikiem wśród Eniceniean jest ich król, gdyż ten, niczym antyczny heros, pozbywał się dynamicznie nieprzyjaciół, mając niezwykle wyraz twarzy, który wskazywał na to, że ten władca czuje się jak ryba w wodzie, zabijając dziesiątki ludzi. Eniceński władca nie odnosił wielu ran, a dodatkowo ratował swoich druhów przed mieczem i włócznią, które

zmierzały do nich ze strony wroga.

Król, oprócz niezwykłych popisów w walce, wykazał się niezwykłym talentem do uników przed ciosami. Nasz bohater był chudy oraz zwinny i nawet w tak ciężkiej zbroi potrafił uciec przed ostrzami swoich przeciwników. Schylał się i skakał, zostawiwszy swój oręż gdzieś na polu bitwy. Nie miał wcześniej żadnej innej broni, oprócz swojego obosiecznego miecza, więc wziął w ręce topór, który znajdował się w ciele martwego towarzysza. Za jego pomocą walczył z jednym z Valkirian. Najpierw uderzył go w tułów, a potem przeciwnik padł na kolana. Wtedy Falach złapał go za włosy i uderzył go siekierą w szyję, ucinając mu w ten sposób głowę. Potem zamachnął się jeszcze parę razy w stronę kilku Valkirian, jednak nie zabił wtedy nikogo. Wielu uciekało na widok tak brutalnego i świetnie walczącego przeciwnika. To, że był szybki, nie oznaczało, że uderzał słabo lub że nie stwarzał zagrożenia dla swoich przeciwników. Jego siłę w rękach mogło potwierdzić to, że nawet, gdy był pozbawiony ostrej broni białej, potrafił powalić na ziemię niejednego człowieka. Topór, który wtedy trzymał, był zbyt tępy, aby słabym uderzeniem zranić uzbrojonego po zęby wojownika. Falach walił precyzyjnie i mocno, ogłuszając często mężczyzn w hełmach. Jednego uderzył nawet nie tą stroną, którą należało, a ten i tak upadł z hukiem na ziemię i stracił przytomność.

Przyjaciół tego sprawnego wojaka nie był wcale od niego gorszy, gdyż nikt tego dnia nie krzychał tak szaleńczo ani nie zaskakiwał tak swoich przeciwników, jak właśnie Filip. Ten młody mężczyzna może nie dał popisu techniki walki, ale za to wyglądał na niezwykle spontanicznego i mimo zagrożenia śmierci, bardzo radosnego. Miał tak szeroki uśmiech na ustach, że nawet wtedy, gdy odnosił rany, wyglądał na uradowanego. Być może tak duża ilość adrenaliny, którą wydzielał tego dnia jego organizm, zniweczyła cały ból. Posiadał, oprócz sporego i masywnego miecza, dwa sztylety oraz zabrany ze sobą wcześniej nóż kuchenny, lecz w walce nie miał okazji ich użyć. Valkirianie bali się go jeszcze bardziej niż niejednego doświadczanego żołnierza, ponieważ gdy tylko się zbliżał, wymachując swoją wielką obusieczną bronią białą, od razu ranił mocno kilku wrogów. Ta passa nie trwała długo, gdyż już po kilkudziesięciu sekundach tego szaleństwa Filip został dorwany przez walkijskiego rycerza, całego w zbroi płytowej. Ten nie dał się tak szybko wystraszyć, gdyż oprócz wielkiego i mocnego pancerza miał ostry, również duży miecz, a przede wszystkim był wysoki i silny. Filip z początku nie dojrzał masy ani nie zwrócił uwagi na siłę wojownika, gdyż gdy tylko ten stanął przed nim, przyjaciel lorda uciekł. Ów potężny człowiek nawet nie zdążył zrobić zamachu bronią. Arghalehbet zauważył towarzysza w potrzebie, dlatego wziął łuk i strzelił w olbrzyma. Jego pocisk zabił mężczyznę, przebijając mu szyję na wylot.

Wyszkoleni do wszelakich działań wojennych Arghalehbet i Mort bardzo różnili się od pozbawionego doświadczenia Filipa. Ci nie wykonywali żadnych niepotrzebnych ruchów, a mimo to zdawali się być całkiem skutecznymi zabójcami. Podobnie jak ich król, potrafili unikać ciosów, a nawet przed nimi uciec, ale nie robili tego z taką gracją, nie jak tancerze odziani w pancerze. Mieli na sobie zwykłe, eniceńskie zbroje, dokładnie takie same, jakie widział Filip, gdy pierwszy raz znalazł się w tym uniwersum. Dodatkowo Arghalehbet miał schowany sztylet, a Mort osłaniał korpus okrągłą, wykutą przez znajomego płatnerza tarczą. Dwóch towarzyszy walczyło osobno i żaden z nich nie

wiedział o śmierci Gramdlinga. Ci dwaj nie zabili zbyt wielu wrogów, ale wykorzystywali ku temu każdą sytuację. Enicenie nie dawali zbyt wielu możliwości i pola manewru bardziej doświadczonym pobratymcom. Wielu walczących dosłownie rzucało się na przeciwników, i w większości nawet nie zdążyli upaść, a dziesiątki rąk łapały go i podnosiły na nogi. Falachowi i Filipowi przeszkadzały w walce głównie włosy, gdyż nie mieli hełmów, w których mogłyby się znajdować ich czupryny. Dzień jednak był tak upalny, a słońce tak bardzo raziło, że kolejny kawał żelaza na głowie sprawiłby, że w walce więcej ludzi poniosłoby śmierć z powodu udaru aniżeli od ostrzy.

Cały czas było słonecznie, ale wiatr przestał wiać i nie ochładzał już tak skóry walczących. Oprócz fizycznego wysiłku oraz bólu zaczęła doskwierać temperatura. Ta cały czas rosła, a słońce przestało chować się za chmurami. Teraz jedyne, co stało w miejscu, to wynik bitwy. Nie dlatego, że nic się nie działo, ale dlatego, że rozmiary batalii były ogromne. Ludzie znajdujący się z tyłu praktycznie odpoczywali, a niektórzy jedynie szli do przodu, zastępując zmęczonych lub poległych towarzyszy.

Bój dalej toczył się niezwykle dynamicznie. Cały czas ktoś miał kolejnego przeciwnika, z którym musiał się mierzyć. Oczywiście Arghalehbet i Mort wyróżniali się w technice walki na tle swoich towarzyszy, sojuszników, a nawet króla, ale dalej niewiele im to dawało, gdyż ta batalia była tak chaotyczna i tak szybko przebiegała, że nie było czasu na zadbanie o styl, a nawet jeśli ktoś to zrobił, to na pewno nie zdołał pozbyć się dużej ilości wrogów. Falach ciął toporem, dźgał włócznią, a nawet rzucał kamieniami. Co jakiś czas rozglądał się, czy nie może wsiąść na jakiegoś konia, jednak wszystkie wierzchowce, jeśli nie zostały zabite na początku bitwy, zdążyły już uciec. Zatem eniceński król musiał sobie radzić sam. Sytuacja Enicenie zaczęła się powoli polepszać, jednak ich przewaga była bardzo niestabilna. Wystarczyło, że Brados zarządzi jakieś sprytne i taktyczne rozwiązanie albo przybędą posiłki, chociażby z Granei, by jakikolwiek plan Falacha legł w gruzach, a jego armia została obrócona w perzynę. W jednym z etapów bitwy, gdy Enicenie znów ruszyli do przodu, Falach ujrzał władcę Valkiriany. Chciał się powoli do niego zbliżyć, jednak ten był niesamowicie dobrze osłaniany. Każdemu wrogowi, który chciał się zbliżyć do króla Bradosa, przebijano gardło włócznią. Władca Enicenie jedynie rzucił mieczem w stronę tego orszaku. Dwóch Walkijczyków podbiegło do swego króla, a ten usłyszawszy od nich pewną informację, ruszył gdzieś na koniec miejsca tego starcia.

Ciekawie zachowywali się wojownicy granejscy. Graneja nie była zbyt dużym państwem, ale jej mieszkańcy wyróżniali się sumiennością, punktualnością, solidnością, prostotą i pracowitością. Innymi słowy, byli najnudniejszym narodem w historii tamtego kontynentu. Tacy sami okazali się w tej bitwie. Nie było ich dużo, ale od razu można było zauważyć tych precyzyjnych i wytrzymałych wojowników. Właściwie mogliby sami wygrać tę bitwę, gdyby nie przeszkadzali im sojusznicy. Poza tym mieli wyróżniające się stroje. Ich pancerze były w czarnym kolorze, a właściwie w bardzo ciemnym fiolecie. Poza tym niektórzy nanieśli na siebie pomarańczowe ozdoby. Ich przywódca niezwykle cenił sobie wygląd swoich wojowników. Inna sprawa, że prezentowali się komicznie. Jednak biada temu, kto nie traktował ich poważnie. Ciosy zadawali mocno i szybko. Ich wadą była spora ociężałość i powolne ruchy, ale nie miało to znaczenia, gdy ludzie, którzy

do nich podchodzili, na dwa metry, natychmiast byli zabijani. Enicenianie byli narodem bardziej licznym, ale nie mieli w zwyczaju tak często walczyć i większość nie potrafiła w ogóle posługiwać się bronią. W walce tego się nie widziało, gdyż każdy człowiek, którym władał Falach, musiał być w pełni wyszkolony i mieć za sobą długotrwały trening. Podwładni eniceńskiego króla upodobnili się niesamowicie do Granejczyków, nawet o tym nie wiedząc.

Zupełnie odróżniający się od reszty styl walki mieli rameńscy dowódcy oraz ich ludzie. Ekleh był człowiekiem wysokim, walczył dobrze, jednak kiedy nie mógł wydawać komuś rozkazów i nie miał możliwości obmyślenia strategii, był w szeregach armii kimś bezużytecznym. Wymachiwał swym orężem podobnie jak jego towarzysze, a tylko gdy zbliżył się do przeciwników z Walkii, natychmiast został zmiążdżony bronią obuchową i porzebijany dziesiątkami mieczy. Jego ciało było właściwie nie do rozpoznania. Był kolejnym człowiekiem, który poległ na tym polu, chociaż jego śmierć nie wyróżniała się na tle innych. Wielu Rameńczyków zginęło tego dnia, mimo że byli najliczniejszą grupą. Ekleh przywiózł ze sobą ludzi, których liczebność przekraczała dwukrotnie ilość Enicenian, natomiast Dasnif oraz Hostaf mieli pod swoim dowództwem nieco mniej mężczyzn niż ich pobratymiec. Ten pierwszy był chyba najlepiej radzącym sobie w obronie dowódcą, gdyż był jedynym, który wyszedł z tej bitwy bez szwanku. Jego popisy wśród tłumu przeciwników wyglądały jak taniec w deszczu ostrzy, a to, jak operował mieczem, budziłoby skojarzenia z dalekowschodnimi sztukami walki. Jego broń przebijała nieustannie czyjeś korpusy, a on sam nie odniósł większych ran. Inaczej miała się sytuacja trzeciego wyznaczonego przez króla Ekleha przywódcy. Gdy pewien wojownik z Valkiriany pozbawił go dłoni, natychmiast począł uciekać. Być może dlatego, że ujrzał właśnie wściekłą grupę walczących po przeciwnej stronie. Szli w stronę jego oraz jemu podległych. Ci nie ugięli karku przed napastnikiem i próbowali powstrzymać przed dezercją swojego zwierzchnika.

– Walcz, jeśli nie chcesz, żebym ja cię zabił! – krzyczał wściekły Rameńczyk.

Ilość osób, które ponosiły śmierć, nie zwiększała się. Oczywiście ginęło wielu, ale na tak dużą skalę żołnierzy właściwie nic się nie zmieniło. Nad polem bitwy parę razy przeleciały jakieś ptaki. Swoim doskonałym wzrokiem spoglądały na gromadę zarzynających się ludzi. Nie oglądały całej bitwy, ale domyślały się, że jeszcze tego dnia będzie w tamtym miejscu pachnąć krwią.

Wszyscy walczyli dalej, a wielki bój toczył się w najlepsze. Grupka Valkirian została rozbita, ale na polu bitwy zostało jeszcze wiele osób, które mogły albo się poddać, albo być zabite. Większość ludzi z Akh nie zamierzała uciekać, mimo że niektórzy dawali o nich nieprawidłowe świadectwo. Enicenianie jeszcze bardziej byli nastawieni na dalszą walkę, dlatego wielu próbowało ostudzić ich zapał. Na przykład Walkijczycy, aby zagrać na nerwach swym przeciwnikom, wrzucali ciała martwych Enicenian do pobliskiego jeziora. Woda w tym zbiorniku była niesłychanie głęboka, więc ciała trudno było wydostać z powrotem na ląd i zapewnić członkom sił zbrojnych Eniceni godny pochówek. Po raz kolejny waleczni Semici postanowili przystąpić do kontrataku, gdyż ci Rameńczycy, którym udało się dożyć tego epizodu walki zbrojnej, odcinali nożami głowy Walkijczykom, a następnie rzucali je pod nogi ich rodakom. Eniceński przywódca był

w impasie, ponieważ w momencie, w którym wściekli rameńscy wojacy, nieodróżniający pana przyjaznego kraju od człowieka walczącego po stronie Walkii oraz szalenie dobrze wyszkoleni i wrodzy żołnierze napierają z obu stron, nie można atakować żadnej ze stron, a jedyna rzecz, jaka jest w tej chwili możliwa, to bycie zadżganym i zmiażdżonym. Monarcha postanowił uciekać w bok. Wysportowany i sprytny Falach miał pewność, że zdoła umknąć przed setkami ostrzy. Udało mu się. Mimo że nie znajdował się już w niebezpiecznym miejscu, Walkijscy łucznicy nie mogli pozwolić na to, aby mężczyzna władający Enicenią mógł podczas tak wielkiej bitwy zwyczajnie stać w miejscu, w którym nic mu nie zagraża. Aby zlikwidować go, wypuścili strzały w jego stronę. Król położył się, odrzucił miecz oraz schował się za zwłokami towarzysza, a walkijskie pociski nawet go nie drasnęły. Poszła oczywiście druga seria strzałów, ale tym razem było wystarczająco dużo czasu, aby schować się pod taflą jeziora. Uciekinier nabrał powietrza, zanurzył się tam z całą swoją zbroją, a nieprzyjaciele uznali, że nie ma sensu dalej strzelać w jego stronę. Wtedy on wyszedł z wodnego zbiornika, wziął miecz i finalnie mógł przystąpić do ataku. Po raz kolejny brał bezpośredni udział w starciu, tym razem jednak ruszył na flankę, a tam odciągał uwagę wroga od głównego zagrożenia, jakim byli wtedy wojownicy z Akh. Świetnie bronił się za pomocą broni białej oraz doskonale zadawał nią ciosy. Żaden mąż nie miał szans zwyciężyć go w walce jeden na jednego. Monarcha nie pozwalał na żadne nieczyste zagrania, szczególnie na zachodzenie go z drugiej strony. Wymachiwał mieczem, chodząc tyłem. W ten sposób udało mu się wyrwać z pola walki garść przeciwników. Pozbył się wszystkich, którzy oddalili się od centrum bitwy. Podbiegł jeszcze raz i uderzył z impetem na zwarty walkijski szyk. Jego mokra zbroja suszyła się w rażącym słońcu. Wokół niego znajdowali się praktycznie sami Rameńczycy oraz poddani Bradosa, a Enicenianie stali kilkadziesiąt metrów dalej. Gdy zaczął zauważać postępy w walce, nawoływał do ruszenia w stronę wroga swoich ludzi. Sojusznicy Enicenian ustąpili im miejsca, aby ci mogli znaleźć się z przodu. Gdy zetknęli się z wrogimi oddziałami, coraz bardziej je odpychali. Falach doszedł do wniosku, że dobrze się stało, gdy sytuacja z początku bitwy się nie powtórzyła. Jego ludzie nie tylko przepychali się, ale również nie przestali walczyć. Gdyby po prostu ruszyli na wroga, wyłącznie napierając na niego, uczyniliby bardzo nierozsądnie, ponieważ jeśli udałoby im się oddalić Walkijczyków, ci prędko by się wycofali, a ich ludzie, stacjonujący z tyłu, rozpoczęliby ostrzał.

- Do boju – mówiono cały czas.
- Ruszać – krzyczeli inni.
- Ciąć!
- Dźgać!
- Nie mieć litości!

Te wszystkie rzeczy krzyczano podczas rzezi, jaka miała tam miejsce. Arghalehbet oraz Mort, którzy wcześniej, jak reszta Enicenian, ustąpili miejsca sojusznicznym oddziałom i znaleźli się z tyłu, teraz walczyli z wrogimi wojskami. Nikt dokładnie nie wiedział dlaczego, ale tym razem precyzyjni i dobrze wyszkoleni wojownicy ponieśli śmierć. Po tym, jak Walkijczycy zauważyli ich walkę i to, jak w niej sobie dobrze radzą, dwaj druhowie polegli na polu chwały. Najpierw strzała ugodziła Morta w szyję. Ten

upadł na ziemię, właściwie już martwy, ale jego przyjaciel nie zdawał sobie sprawy, że pocisk przebił tętnicę jego towarzysza, więc uklęknął i próbował sprawdzić, czy tamten jest przytomny. Chciał go ocucić, jednak jego próbę zakończył valkiriański rycerz, który toporem z całej siły uderzył go w plecy. Biedak męczył się długo po tym, jak otrzymał cios w kręgosłup. Długo nie mógł się ruszyć, leżąc obok zwłok swego towarzysza. Jego cierpienia musiał skrócić mężczyzna, który zadał mu ten cios. Ów człowiek jeszcze raz go uderzył, tym razem w szyję, a wtedy miał pewność, że przeciwnik rozstał się z życiem.

Podczas tego zajścia Filip musiał się na chwilę oddalić. On również należał do tych, którzy byli wykończeni tym jałowym starciem. Przez chwilę stał na polanie, ale zaraz potem był zmuszony ruszyć powolnym krokiem do przodu. Rozmawiał przy tym z kilkoma żołnierzami.

– Co się stanie, jeśli przegramy? – spytał.

– Dlaczego uważasz, że przegramy? Jak na razie nasza sytuacja jest całkiem dobra.

– Tak? To dlaczego wszyscy się wycofują? – pytał dalej, dysząc z wyczerpania.

– Skąd mam wiedzieć? Jesteśmy zmęczeni, a Rameńczycy zabijają każdego, kto im stanie na drodze.

Filip po raz pierwszy sam zaczął obcego Enicenianina. Dopiero teraz usłyszał tę naturalną mowę. Musiał przyznać, że brzmiała zupełnie inaczej niż jego ojczysty język. Teraz jednak było to nieważne, gdyż na oczach tych ludzi odbywała się ostateczna rozgrywka w wielkim konflikcie z Valkirianą. Krew lała się coraz większymi strumieniami, a ludzkie krzyki słychać było w najdalszych miejscach pola bitwy.

Rameńczycy poprawili się w walce, zabijali coraz więcej ludzi walczących po przeciwnej stronie, strzelali celnie prosto w ciała nieprzyjaciół. Inaczej czynili Valkirianie, Walkijczycy oraz ludzie z Granei, którzy ze strachu przed nadchodzącym najeźdźcą, powoli się cofali. Szli w kierunku łuczników, aby ci uczynili to, czego pragnął uniknąć Falach.

– Słuchaj! – powiedział eniceński król do jednego z Rameńczyków.

– Nie rozumiem cię! – oznajmił wojak w swoim języku.

– Nie róbcie tego! – krzyczał Falach. – Wycofajmy się! Unikać łuczników! Nie mogą nas dostać!

Jednak nikt go nie wysłuchał. Szaleńczy bój zaczął się na dobre, a wystraszeni Walkijczycy wycofywali się w popłochu. Niektórych uciekinierów zestrzelili Rameńczycy. I to właśnie oni mieli najmniej litości podczas tego starcia. Zabijali każdego, nawet jeśli był gotów na trafienie do niewoli. Po raz kolejny oddziały sojuszu valkiriańsko-walkijskiego ruszyły w stronę Falacha. Wszyscy przeciwnicy pobiegli jeszcze raz prosto na jego ludzi. Enicenianie nie mieli większych problemów w tej walce. Jednak gdy dostrzegli setki łuczników, trzymających broń miotającą, natychmiast się rozpierchli.

Niektórzy próbowali podejść do tych mężczyzn z łukami i dokonać jakiejś dywersji, odwracając ich uwagę od większości przeciwnych wojsk. Podbiegali do Walkijczyków i kręcili się naokoło, unikając w ten sposób ich strzał. Gdy zobaczyli, że zaprzestano strzelania, uznali, że przestaną to czynić, więc podbiegali do łuczników, wyciągając z pochew miecze i wykonując za ich pomocą wszelakie ciosy. Nie udało im



się jednak nie zdziałać, ponieważ od razu, gdy złapali za oręż, zostali zastrzeleni. Pociski przebodły ich korpusy wielokrotnie, więc eniceńscy wojownicy musieli paść martwi.

W tym czasie Fadma stała w osłupieniu, patrząc na to, jak przebiega walka. Oczywiście nie widziała ani Filipa, ani Falacha, ale domyślała się, że obydwaj mają kłopoty. Co jakiś czas ktoś próbował uciec z bitwy, a ona starała się go powstrzymać. Krzyczała z rozpaczą:

– Walczcie! Musicie ginąć za króla! Nie macie honoru!?

W końcu zdobyła się na odwagę i sama ruszyła do bitwy. Wzięła leżące gdzieś ostrze i wywijała nim nieporadnie. W końcu podbiegło do niej trzech Walkijczyków, którzy dzierżyli w rękach niewielkie miecze i sztylety. Mówili między sobą:

– To chyba jest ta kobieta, która służy Falachowi. Brados, ten wariat, chciał ją mieć dla siebie!

Nie wiedzieć czemu uznali tę możliwość za prawdopodobną. Przeczuwali, że albo ich armia wygra bitwę, albo że król Valkiriany ucieknie do Rillun. Na wszelki wypadek woleli ją zatrzymać, nawet gdyby ich pan nie traktował swoich planów tak poważnie. Na pewno by im się przydała po bitwie, dlatego gonili ją, lecz ona nie chciała się poddać i próbowała co jakiś czas uderzyć któregoś zdobytych przez siebie orężem. Nikt nie robił sobie nic z jej wrogich gestów i groźnych słów, aż w końcu niewiasta dźgnęła jednego żołnierza. Ten padł martwy, a jego towarzysze zdecydowali się nie ryzykować życia i uciekli z powrotem do innych Walkijczyków, którzy unikali walki jak ognia. Kobieta wyrzuciła broń i oddaliła się. Po pewnym czasie przybiegł do Fadmy mężczyzna, którego ona w ogóle nie poznała. Powiedział do niej:

– Słuchaj, kobieto! – Po czym złapał ją za podbródek. – Gdy w końcu wszyscy Enicenieńskie zginą, ty posłużysz mi jako niewolnica. Będę robić to, czego Falach nie potrafił.

– Nie obrażaj mojego króla! – krzyknęła i kopnęła agresora w krocze.

Ten rzucił się na nią i oboje upadli na trawę. Fadma sięgnęła jeszcze po miecz i ugodziła mężczyznę w plecy. Ten zaczął ją dusić, jednak z odsieczą przybiegł pewien eniceński wojownik. Nie godząc przy tym niewiasty, ściał Walkijczykowi głowę, która spadła na twarz służącej, co jeszcze bardziej ją wystraszyło. Wywróciła zwłoki, które na niej leżały. Cała drżała. Enicenieńskie złapał jej drżące ręce i pomógł wstać. Powiedział potem:

– Dziękuję ci, białogłowo. Dzięki tobie zabiłem króla Bradosa.

Po tym zdarzeniu Fadma schowała się w namiocie, aż do skończenia bitwy.

Krwawe starcie nie mogło się skończyć. Falach oraz Filip odjechali razem, nieznacznie oddalając się od miejsca walki, które w tamtym momencie wyglądało jak stos trupów. Właściwie nikt już nie mógł z nikim walczyć. Zostali praktycznie tylko strzelcy, niewielu uzbrojonych w miecze Valkirian oraz garść uciekających Enicenieńskich i Rameńców. Król krzyczał do swych ludzi, aby pobiegli za nim, gdyż razem mogli stanąć przeciwko nadchodzącym wojownikom, mającym miecze. Jednak na tamtą chwilę, aby uchronić się przed byciem ustrzelonym, nie można było stawać w jednym miejscu. Walkijscy łucznicy celowali na razie tylko do biegających dookoła przeciwników, a rzadko udawało im się trafić. Choć i tak wynik walki zdawał się być już dawno

przesądzony. Falach oraz Filip zastopowali, oddaliwszy się od przeciwników na około pięćdziesiąt metrów. W ich stronę podbiegło jeszcze kilkudziesięciu Walkijczyków. Falach musiał wołać swoich poddanych, aby ci pomogli mu się z nimi rozprawić. Jednak niewielu jego sojuszników przeżyło. Byli to głównie Rameńczycy, którzy nie mieli zamiaru ratować króla Enicenii. Dwaj walczący dalej mężczyźni rzucili włóczniami, które leżały koło nich, a następnie wystawili naprzód swe miecze. Na nie nadziało się kilku przeciwników, jednak dalej nie sposób było wyjść z takiej opresji cało. Posiłki jednak przybyły, więc władca Enicenii oraz jego przyjaciel mogli odetchnąć z ulgą. Kilkunastu Enicenian walczyło przeciwko kilkudziesięciu uzbrojonym po zęby Walkijczykom. Poddanym Falacha udało się pokonać większość wrogów, jednak niewielu z nich uszło z życiem. Ostatnimi ludźmi po stronie Enicenii był Falach, Filip oraz kilku żołnierzy. Gdy wybito większość rameńskich strzelców, zrealizowano plan całkowitego pozbycia się Enicenian, z królem Falachem na czele. Zostawiono swoich ludzi, aby zajęli wrogów, przy okazji oczywiście ginąc. Grad bełtów wystrzelonych przez wiele setek łuków i kusz, należących do przypadkowych ludzi z trzech bratersko walczących narodów, nie pozostawił po sobie na polu nic oprócz setek zwłok lub mężczyzn w agonii oraz gęstej krwi, spływającej do jeziora. Falach zdążył wymienić parę słów z Filipem.

– Mój... przyjacielu... Czy byłem dobrym królem?

– Byłeś wspaniałym człowiekiem. Dziękuję ci za wszystko.

Obydwoj dogorywali z dziesiątkami pocisków w członkach.

Walkijscy łucznicy, jako jedyni, którzy przeżyli, nie uciekając przy tym z pola bitwy, zaczęli świętować. Nad trupami walczących zebrało się wiele padlinożernych ptaków. Teraz zadaniem Walkijczyków nie było pójście dalej, w stronę Enicenii, lecz powrót do kraju i powiadomienie o wielkim zwycięstwie. Nie mieli przy tym zamiaru zajmować się polem bitwy. Przez następne lata na polach Elden gniły zwłoki poległych, ale zanim to się stało, czuć było wokół zapach krwi, a zwłoki wojowników leżały na sobie warstwami. Było widać wszystkie twarze ludzi, którzy polegli tutaj od miecza, strzały, czy nawet padli ze zmęczenia. Oprócz zakrwawionych ciał porzucane były również elementy uzbrojenia, proporce i truchła koni. Niektórzy co jakiś czas przybywali tutaj, aby obejrzeć ciała poległych i zobaczyć, czy wśród nich nie ma przypadkiem kogoś z ich rodziny, lecz gdy ujrzeli ogrom strat, natychmiast porzucili wszelką nadzieję, nie mówiąc już o odnalezieniu ciał. Pole to stało się miejscem zarazy. Teraz nie było jednak czasu na takie poszukiwania, gdyż według wszelkich przewidywań do Enicenii miały wkroczyć wszystkie pozostałe wrogie wojska i z łatwością przejąć kraj. To jednak nie było pewne, patrząc, że łącznie z królem zginęła większość armii, a przeżyła wyłącznie garstka walkijskich strzelców. Natomiast gdy ci zwycięzcy znaleźli się we własnej stolicy i oznajmili, że król nie żyje, w kraju również rozpoczęło się wielkie święto. W Valkirianie oraz Walkii na jakiś czas zapanowała wielka anarchia, a więc porzeczano również walczyć. Teraz jednak, cokolwiek się stało, te sprawy nie interesowały już Falacha, ani tym bardziej Filipa. Ten świat odszedł dla nich w niepamięć.

Przez wiele godzin Falach i Filip bytowali w nieświadomości. Znajdowali się w swego rodzaju transie. Ich umysły krążyły między ziemią a niebem, co mogli odbierać jako metafizyczną nieprzytomność. Ich umysły były wyłączone. Później mogli już zacząć

normalnie rozumować, lecz dalej nie znaleźli się w żadnym materialnym świecie. Przechodzili co chwilę ze świata umarłych wprost do świata żywych, a przynajmniej takie mieli wrażenie. Nie myśleli wtedy, co ma się stać, a jedynie skupiali się na swoich wizjach. Było to coś pomiędzy snem a halucynacją. Gdy to minęło, obaj obudzili się w tym samym momencie. Podnieśli powieki i zaczęli interpretować bodźce, aby dowiedzieć się, gdzie się znajdują. Nie musieli się zbyt wysilać, gdyż po minionej wielkiej bitwie wcale nie umarli, a znaleźli się znowu w mieszkaniu Beniamina. Mieli na sobie te same ubrania co w dniu, w którym wszystko się zaczęło. Wszelkie rany odniesione podczas ostatniej bitwy zniknęły, a po bliznach powstałych w Enicenie, nie było już nawet śladu. Nie wiedzieli, dlaczego znaleźli się tutaj, skoro portal został zniszczony, lecz jak Beniamin mówił – świat jest pełen tajemnic, których nie odkryje nikt, myśląc racjonalnie. Tak też tajemnicą pozostało, czy powrócili do domu dzięki czystemu sumieniu, czy wystarczyłoby, że ich serce przestało bić w tamtym wymiarze. W każdym razie przenieśli się ponownie do swojego świata i nie mogli przestać się radować z tego powodu, gdyż przez ostatnie miesiące i lata niczego nie pragnęli ujrzyć bardziej niż swojej ukochanej okolicy. Mimo iż trwał wtedy okres późnej zimy, były to naprawdę ciepłe i słoneczne dni, a i ten moment nie był ewenementem, gdyż gdy tylko ściągnęli firanki z dawno zasłoniętych okien, natychmiast promienie słońca wleciały do tego starego i niezamieszkanego domu i rozświetliły całe wnętrze. Poza tym nie było tam prawie żadnych mebli, w tym szafy, która przysłaniała zniszczony przez nich portal. Chwilę potem siedzieli w milczeniu i rozglądali się, tłumiąc radość w sercu i próbując odpocząć po tych wyczerpujących przeżyciach, ale mimo wszystko po paru minutach ciszy radosnym okrzykiem i szalonym gestem nie było końca.

– Ha! Nie wierzę! Żyjemy! Teraz jest prawie wiosna. Nie było nas kupę czasu...  
– mówił Tomasz z radością i przejęciem w głosie.

– Tak, ale nasza rodzina się martwi – przypomniał sobie, zmartwiony tą nieciekawą i nagle zastaną sytuacją. – Szybko, rób coś. Ja idę po telefon, a ty lepiej biegnij do siebie.

– Jak weźmiesz telefon, skoro wszystko wynieśli?

– Ale telefon zostawili. Być może ktoś tutaj przychodzi co jakiś czas. Trzeba go tylko podłączyć. Ostało się tu jeszcze parę rzeczy, dlatego muszę jeszcze tu posprzątać. Ktoś tutaj wchodził, jak nas nie było. To bardzo dziwne odczucie – dodał. – Poza tym zapytam kogoś, gdzie jest reszta moich rzeczy, a przynajmniej meble.

Tomasz wybiegł z mieszkania do swojej rodziny, a Beniamin, jak mówił, sięgnął po telefon stacjonarny, podłączył do gniazdka i okazało się, że można było jeszcze z niego korzystać. Prawdopodobnie ktoś przychodził co jakiś czas do tego mieszkania i musiał zawsze do kogoś zadzwonić. Beniamin wykręcił numer do mieszkania rodziców oraz rodzeństwa.

– Halo!

– Kto mówi?!

– To ja, Benek.

– Ale... Matko Boska, przecież ty nie żyłeś, to znaczy, ZAGINAŁEŚ. Nie! Nie było Benka i jego przyjaciela, dom był pusty, policja przeszukała wszystko! Był pogrzeb!

Zaraz! Muszę iść do domu.

Beniamin odłożył słuchawkę. Następnie próbował ogarnąć sytuację i ustalić wszystko po kolei. Mimo że mówił Filipowi o przyniesieniu tam wszystkich potrzebnych mebli, chciał jedynie z powrotem otrzymać szafę, która przysłała i chroniła przejście do Enicenii, aby móc później wspominać dawne czasy wielkich przeżyć i namiętności. Mebel ten znajdował się obecnie w jego własnej piwnicy, więc nie było problemu z wyniesieniem jej na górę, czyli na jej poprzednie miejsce. Była wtedy niedziela, 18 lutego, 2015 roku, czyli trzy lata od spotkania z Tomaszem i przeniesienia się wraz z nim do innego wszechświata. Stało się tak dlatego, gdyż bariera między wszechświatami przeciążyła się i straciła własną barierę czasową. Wiem, że może to brzmie niemądrze, ale wierzcie mi. Nauka nie zawsze da odpowiedzi na wszystkie pytania i jeśli coś brzmi głupio, to wzrasta prawdopodobieństwo, że wydarzyło się w świecie ludzi. Co do rzeczy, które zaszły w tym czasie, to okazało się, że jego brat i dwie siostry znalazły już sobie mieszkania, a matka i ojciec żyli sami. Jego przyjaciele (którzy wbrew pozorom nie byli nieliczni) i rodzina uznali go za zmarłego, a przywitali go niczym Mesjasza. Ustalił z Tomaszem, że będą mówić, iż pewnego dnia poszli na piwo, upili się, następnie zgubili drogę i chodzili tak po Polsce, zwiedzając ją pieszo i zatrzymując się w tanich hotelach i chatkach. Rzekomo ich to wciągnęło i nie mogli przestać. Rodzina Beniamina uwierzyła, gdyż zapamiętała go jako ekscentrycznego obywatela, a gdy mówił to Tomasz, wszyscy pękali ze śmiechu. Pewnie dlatego, że przesiedział całość swojego życia w jednym miejscu.

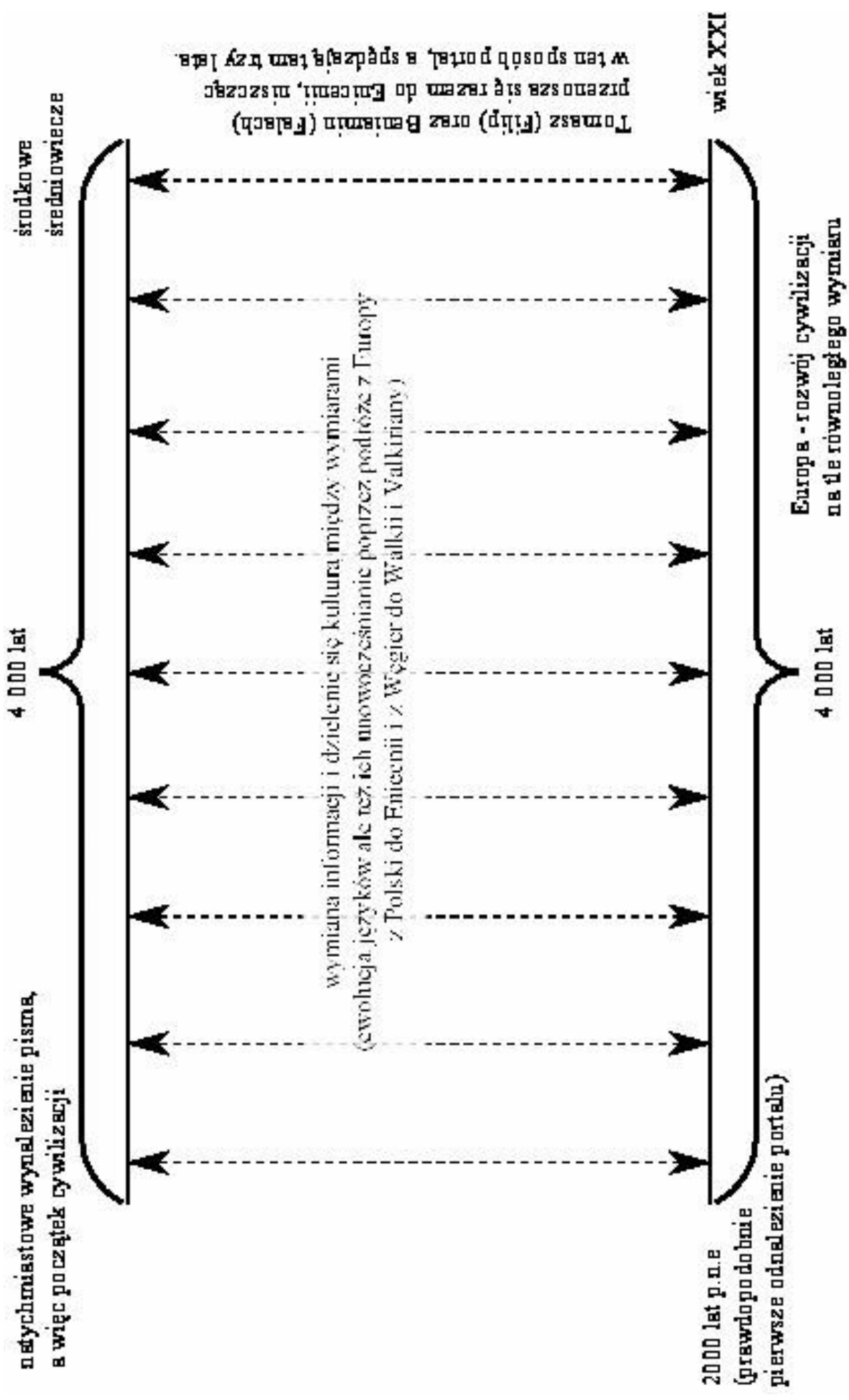
Beniamin długo myślał, że dobrze by było, gdyby to samo, czego dokonał w Enicenii, mógł zrobić w Polsce. Ten kraj potrzebował tak walecznego przywódcy jak lord i król Falach. Jednak ten na razie planował urządzić sobie normalne i spokojne życie. Być może za dużo ujrzał w swoim życiu bitew, trupów, ostrzy i krwi.

Można powiedzieć, że obaj powrócili do dawnego życia. Choć jeśli ktoś bardziej lubi używać metafor, wyraziłby się pewnie, że zyskali nowe życie. Odmieniony powrócił nie tylko Filip, czyli Tomasz, ale również Falach, czyli Beniamin. Obaj dowiedzieli się, co to odpowiedzialność, i zdali sobie sprawę z prawdziwych niebezpieczeństw, które niesie ze sobą dorosłość. Nasz świat różni się tym od Enicenii, że tutaj, aby stać się dorosłym człowiekiem, trzeba mieć za sobą określoną liczbę przeżytych lat, a tam potrzebne są tylko doświadczenie i mądrość. Dlatego tak ważna była dla nich taka podróż. Zauważyli to nie tylko oni, ale przede wszystkim ludzie ich otaczający.

Jeśli chodzi o Enicenię, którą rządził do tej pory Falach, to ta upadła, gdyż Państwa Sojuszu przeszły przez jej granicę, gdy w tym kraju panowała anarchia i trwały tam bezsensowne sprzeczki dotyczące tego, kto ma sprawować władzę. Król Brados szybko został zastąpiony przez jednego z charyzmatycznych wojowników, który poprowadził Valkirian do wielkiego zwycięstwa. Ten przekazał Walkię Angréji'emu, który nie okazał się wcale złym władcą, a na pewno nie zaszkodził poddanym. Za to większość decyzji politycznych konsultował z nowym królem Valkiriany – Aldár'em. Luqst objął władzę w Jelqę, czyli w państwie, któremu Aldár przywrócił wolność. Odrodziło się ono jako potężne, lecz małe królestwo, które po zaledwie kilku latach ponownie było podziwiane za swoją siłę militarną i dobrze rozwinięty handel na całym świecie. Aldár niezwykle

dobrze gospodarował funduszami państwa, a po kilku miesiącach jego rządów wioski, które dotknęła pożoga zaplanowana przez Bradosa, otrzymały tyle żywności, że wielu wieśniaków nie musiało pracować przez wiele lat. Filip nie spłodził potomka, jednak Fadma znalazła swą miłość i urodziła syna. Ten nigdy nie domagał się swojej intronizacji, choć był zawsze zafascynowany dokonaniem króla Falacha oraz jego wielkiego przyjaciela – Filipa. Gdy dowiedział się, że jego matka współżyła z prawowitym następcą Enicenie, uznał to za zwyczajną plotkę i nieprzyzwoitą legendę. Enicenia niegdyś powstała jako niepodległe państwo, jednak Falach ani żaden świadek wojny z Valkiriana nie dożył tego dnia. Niestety, może tak po prostu miał się skończyć żywot wielkiego króla, o którym natychmiast zapomniano w królestwie Valkiriany, „...gdzie zielononiebieska woda tamtych stron połyskiwała w blasku zachodzącego słońca...”.

Tak oto skończyła się ta historia, historia krainy i postaci których koniec nie nastąpił, choć opowieść ta będzie zawsze mieć jeden prawdziwy koniec. Umieściłem go w tym miejscu ich życia, gdyż był to dopiero początek.



*Związki między wymiarami, szczególnie między następnym cywilizacyjnym w Europie a w Eneiceni / Valkirianie / Walkii.*

